

LEONARD CARPENTER

CONAN NIEPOSKROMIONY

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE INDOMITABLE

PRZEKŁAD MARCIN STADNIK

Dianne, oczywiście,

a także chłopcom i mężczyznom: Rusty'emu Medleyowi,  
Steve'owi Scatesowi, Gregowi Brownowi i Slickowi Reavesowi,  
którzy pomogliby pogrzebać zwłoki bez zadawania pytań

I

Kopiec kamieni dorównujący wysokością wzrostowi dorosłego człowieka wskazywał ten

punkt na pustkowiu, gdzie łączyły się ziemie Brythunii, Koryntii i Zamory. W miarę upływu

wieków wiatry i deszcze, mrozy i upał pozostawiły swój głęboki ślad na wyniosłej niegdyś

kolumnie, wygładzając ją do postaci bezkształtnego pagórka wznoszącego się nad jałową

ziemią. Górę, u podnóża której ustawiono kopiec, prawie zawsze pokrywał śnieg, a bardzo

częste ostre burze zniechęcały większość żywych istot do oglądania punktu orientacyjnego o

tak pospolitym i nieciekawym wyglądem.

Wąską, ośnieżoną ścieżką omijającą kopiec podążali, sprzecząc się, mężczyzna i kobieta.

- Tam były konie - stwierdziła kobieta - ale oczywiście, nawet nie przyszło ci do

głowy, żeby parę złapać! - Kobieta, a właściwie piękna młodziutka dziewczyna urodzona na

pustyniach Khauranu miała na imię Elashi. Jej bujne piersi kontrastowały ze smukłym,

muskularnym ciałem nawykłym do ciężkiej pracy i długich wędrówek. Nosiła ciężki płaszcz

narzucony na wełnianą koszulę i chroniącą przed zimnem, wełnianą spódnicę, która częściowo przykrywała wysokie buty na jej nogach. Do lewego biodra przypasała

krótki,

zakrzywiony miecz.

- Większość koni albo już nie żyła, albo zaraz by zdechła - odparł sucho jej towarzysz

- ja wolę iść, niż jechać na zdychającej chabcie. - Mężczyzna też wyglądał młodo, ale z

pewnością był dorosły. Wysoki, barczysty, miał imponująco umięśnione ramiona i potężną,

szerszą klatkę piersiową, gładko ogoloną twarz i przycięte w prostą grzywkę czarne włosy, a

jego oczy zdawały się płonąć wewnętrznym ogniem. Zwał się Conan i pochodził z twardego,

górskiego ludu barbarzyńców zamieszkującego mroźne ziemie Cymmerii, daleko na północy.

On również nosił wełnianą koszulę pod zimowym płaszczem oraz grube spodnie wciśnięte w

ciężkie buty. Miecz, który przewieszał przez muskularny grzbiet, był długi i prosty,

wykonany ze starożytnej, błękitnej stali, o krawędziach ostrych niczym brzytwy.

- Co też ty powiesz - zakpiła Elashi - czasem zastanawiam się, czy jest cokolwiek, do

czego byś się nadawał, ty wielki, barbarzyński gburze!

Conan potrząsał głową. Od czasu gdy spotkał Elashi w świątyni czcicieli Suddaha, nie

mógł narzekać na nudne życie. Razem walczyli z piękną kobietą-zombie, ścierali się z

zaślepienymi wyznawcami i sługami nekromanty i chyba z tuzin razy ledwie uszli z życiem.

Już od dłuższego czasu dzielili również łożę, ale mimo to wciąż robiła mu wymówki przy każdej nadarzającej się okazji. Wydawała się niezmordowana w wynajdywaniu i wytykaniu mu jego wad, nieważne, prawdziwych czy wymyślonych.

- Nie słyszałem żadnych narzekań ostatniej nocy, gdy przygasło ognisko - stwierdził i uśmiechnął się do niej szeroko.

Po kilku sekundach i, wydawałoby się, wbrew sobie Elashi odparła, uśmiechając się:

- Cóż, może czasem rzeczywiście do czegoś się przydasz. - Ucichła na kilka kroków,

by zaraz dorzucić: - Ale gdybyśmy jechali konno, zachowalibyśmy znacznie więcej energii na podobne zajęcia.

- Ja nie odczuwałem braku energii - rzekł Conan. - Ale skoro już wypowiadamy życzenia, by mieć to, czego nie mamy, czemu nie zażądać królestwa i dworu pełnego sług? Albo może złotego pałacu?

- Och ty, ty... barbarzyński gburze!

Mężczyzna uśmiechnął się znowu i zamilkł. Po śmierci nekromanty zwanego Neg Maleficus, którego zabił, uzgodnił z Elashi, że będą podróżować razem, dopóki ich drogi się nie rozejdą. Cymmerianin postanowił odwiedzić dziwaczne miasto Shadizar w Zamorze, gdzie zamierzał uprawiać złodziejski fach, a Elashi zdażała dalej na południe, do rodzinnego Khauranu. Z wieści krążących na szlaku Conan wnioskował, że bezpośrednia droga nie byłaby bezpieczna. Najlepsza trasa zbaczała nieco na ziemie Koryntii, by po nadłożeniu kilku dni drogi powrócić do Zamory. I właśnie wtedy gdy wspominał otrzymane wskazówki, ścieżka, którą wędrowali, zaczęła skręcać na zachód i zbiegać powoli do podnóża góry.

Może na szlaku leżała jakaś wioska lub miasto, gdzie mogliby coś ukraść i zamienić na tyle, żeby starczyło na kupno dwóch koni, kładąc tym samym kres ciągłym narzekaniom Elashi. Miał szczerą nadzieję, że tak właśnie będzie.

Śnieg przykrywał grubą warstwą całą ziemię, oszczędzając chyba tylko ścieżkę, po której kroczyli podróżni. Mimo że trwała zima, niebo lśniło czystym błękitem. Powietrze było zimne i rześkie. Conan uwielbiał takie miejsca. Miasta miały wiele do zaoferowania, owszem, ale powietrze w nich zatruwał obrzydliwy odór, nieznany w górskiej okolicy. Należało zatem rozważyć, co jest ważniejsze. Mięsiwo, wino i wesołą kompanię łatwiej znaleźć wśród cywilizacji niż na pokrytym śniegiem szlaku wiodącym donikąd. I choć bóg Conana Crom sam żył we wnętrzu góry, przecież nigdy nie nakazywał swym ludziom czynić tak samo.

Nagle przed nimi dał się słyszeć jakiś dźwięk. Na tyle słaby, że słuch mniej czuły niż Conana uznałby to za szelest wiatru w liściach krzewów lub stukot kawałka skały odłamanego przez jakieś małe zwierzę. Potężny Cymmerianin stanął, wsłuchując się intensywnie.

- Co jest?

Conan machnął do Elashi, nakazując ciszę. Po chwili odpowiedział głuchym szeptem:

- Ktoś się tam czai, zaraz za tym wielki głazem.

Elashi zerknęła na skałę wielkości domu, którą wskazał Conan.

- Nikogo nie widzę - odrzekła szeptem.

- Słyszałem hałas - upierał się Conan.  
- Ja tam nic nie słyszałam. A nie zapominaj, że jestem kobietą pustyni. Jakże mógłby zapomnieć?! Przypominała mu o tym przynajmniej raz dziennie.  
- Może twoje uszy potrzebują piasku do prawidłowego działania. Ja słyszałem chrząknięcie. - Tym komentarzem zarobił na spojrzenie ostrzejsze niż sztylet, który posiekałby go w krwawe ochłapy rozrzucone na ośnieżonej ziemi.  
- Słuchaj no, ty barbarzyński niezgulo...  
- Koniec żartów - uciał, dobywając miecza. - Wyczuwam niebezpieczeństwo. Elashi kiwnęła głową. Mimo że dokuczała swemu kompanowi jak tylko mogła, przebywała już z nim wystarczająco długo, by zrozumieć, że zmysły miał znacznie bardziej wyczuwane niż zwykli ludzie. Również dobyła miecza.  
- Co robimy?  
- Ty idź dookoła tej skały, a ja pójdę dalej szlakiem, żeby odwrócić ich uwagę. W ten sposób zaskoczysz ich z tyłu, gdy będą gapić się na mnie.  
- Nie ma mowy! - jej szept stał się bardziej słyszalny - Tylko dlatego, że jestem kobietą, chcesz mnie chronić przed ryzykiem! Nigdy nie zapominaj, że jestem pierworodna.  
Conan wlepił w nią wzrok, zadziwiony tak, jakby nagle rozpostarła skrzydła i zamierzała poszybować w przestworzach. Był młody i wierzył, że z wiekiem wiele się jeszcze nauczy, ale w tym momencie wydało mu się niemożliwe, by kiedykolwiek zrozumiał, co kieruje kobietami. Prawdopodobnie żaden mężczyzna tego nie rozumiał.  
- Dobrze - odrzekł - ty idź wzdłuż szlaku, a ja okrążę skałę... i tego, kto tam czeka.  
- To brzmi lepiej - odparła. Ale po chwili triumfu jej uśmiech zbladł i spojrzała nerwowo na Conana.  
- Mógłbyś wysłać mnie szlakiem prosto w szczęki czyhającej śmierci? - spytała drżącym głosem, patrząc na niego z niedowierzaniem. Zachowywała się tak, jakby dotkliwie ją zranił.  
Conan potrząsnął głową i rozejrzał się wokół. Czy ukrył się tu jakiś demon, wysłany, by go opętać? I czego właściwie chciała Elashi? Nie zgodził się z nią - zaczynała się kłócić. Gdy się z nią zgadzał - kłóciła się jeszcze bardziej. Na Croma! Zaczynał już odczuwać palący gniew. Walcząc ze sobą, by nie podnieść głosu, rzucił:  
- No dobrze. Co zatem proponujesz?  
- Cicho - nakazała.  
Z narastającym gniewem stał i patrzył na nią bezradnie. Była piękna, to pewne, ale czasem doprowadzała go do szaleństwa!  
- Ty idź ścieżką w dół i zajmij uwagę czegokolwiek lub kogokolwiek, kto się tam ukrywa  
- powiedziała. - Ja zaś okrążę skałę, by znaleźć się za nimi. W ten sposób będę mogła wziąć ich z zaskoczenia.  
Conan gapił się, nie mogąc wyrzec ani słowa, gdyż gniew dławił go w gardle.  
- Czyż to nie lepszy plan niż twój? - spytała słodko.  
W jej ustach masło by się nie roztopiło, pomyślał. Z pewnością musiałem obrazić jakiegoś boga, a to jest moja kara. Stał w milczeniu przez chwilę, po czym bez słowa ruszył do przodu.  
Cokolwiek było po drugiej stronie tej skały, lepiej żeby nie utrudniało mu dziś życia.  
Po okrążeniu skalnej osłony, stanął twarzą w twarz z kłopotami. Zobaczył przed sobą

pięciu mężczyzn - krępych, muskularnych i smagłych. Każdy z nich dzierżył w dłoni ostro zakończoną pikę. Odziani w popękane i przepocone skórzane napierśniki, ciężkie buty i rękawice, stanowili gwardię szóstej osoby, dosiadającej rosłego, karego ogiera, który stał tuż za nimi. Osoba ta nosiła ciężki płaszcz jeździecki, wełnianą koszulę i skórzane spodnie, a w urękawiczonej dłoni dzierżyła wąski miecz, opierając go w gotowości w poprzek siodła.

Conan nie do końca umiał określić, kim była ta postać. Na pierwszy rzut oka wyglądała na mężczyznę - sądząc z ubioru i zachowania - ale po dłuższej obserwacji gładka twarz ujawniała typowo kobiece rysy, podkreślone dodatkowo makijażem. Ukarminowane wargi, wyskubane, kształtne brwi, a do tego powieki podkreślone niebieskawym cieniem nie pozostawiały wątpliwości co do płci właścicielki. Rudobrzowe włosy nosiła obcięte krócej niż Conan, ale wycieniowane w efektowne strzępki na końcach.

Poza tym przednia część koszuli, którą nosiła ta dziwna postać, ujawniała dwa bliźniacze wzgórki - cechę absolutnie kobiecą... w odróżnieniu od pokaźnego zgrubienia w okolicach krocza, wypychającego skórzane spodnie.

Głośny rozkaz oderwał Conana od jego pasjonujących obserwacji.

- Oddasz swe dobra albo życie! - krzyknęła konna postać, pogłębiając tym samym niepewność Conana. Głos był głębokim barytonem silnego mężczyzny. Fakt, że wydały go rubinowe, kobiece usta powodował, iż brzmiał tym bardziej niewiarygodnie.

- Moje dobra?! - odkrzyknął Conan. - Czyś ślepy albo na tyle głupi, by wziąć mnie za jakiegoś opasłego kupca, obładowanego złotem i towarami? To, co widzisz, jest wszystkim, co mam, a to już i tak wystarczająco mało.

- Wezmę twój miecz - odparła postać.

W tym momencie pojawiła się Elashi. Wspinała się właśnie na skałę, chcąc znaleźć się za gwardzistami.

Conan zamachnął się mieczem w przód i w tył, żeby rozruszać ramię, po czym złapał rękojęść oburącz i wymierzył czubek ostrza w gardło najbliższego gwardzisty, zgodnie z techniką, jakiej nauczył go mistrz szermierki wśród czcicieli Suddaha.

- Nie wydaje mi się - odrzekł.

Gwardzista przełknął z trudem.

- Nie bądź głupcem - krzyknął jeździec - jest nas sześciu na ciebie jednego. Daj nam swój miecz, a zachowasz życie. Odmówisz - zginiesz.

- To trochę dziwne, że tak lekkomyślnie gotów jesteś poświęcić swoich ludzi, by zyskać miecz. Taka wymiana to kiepski interes. Odnoszę wrażenie, iż coś jeszcze chodzi ci po głowie.

Hermafrodyta zaśmiał się, głęboko i gardłowo.

- Nieźle myślisz, jak na dzikusa.

Stojąc na głazie, Elashi odłożyła swój miecz i podnosiła właśnie kamień wielkości głowy.

Wódz Bandytów pochylił się w siodle. Skrzypienie skóry, z której je wykonano, dało się wyraźnie słyszeć w nagle zapadłej ciszy.

- Bardzo dobrze. W takim razie będziemy musieli osiągnąć nasz cel w trudniejszy sposób. Brać go!

Elashi wybrała dokładnie ten moment, by cisnąć kamieniem, który trzymała wysoko nad głową. Ta zahartowana kobieta pustyni nie była wprawdzie mistrzynią miecza, a do tego stanowczo zbyt dużo gadała jak na gust Conana, ale najwyraźniej miotanie kamieni zaliczało się do jej specjalności. Duży kamień uderzył w głowę jednego z gwardzistów, ścinając go z nóg niczym ostry sierp zdźbło trawy. Uderzenie kawałka skały w czaszkę przypominało trzask melona rozbijanego o ciężką ławę. Ten śmiałek nie będzie już niepokoił nikogo na tym świecie.

Zaskoczeni gwardziści obejrzeli się, usiłując zobaczyć, skąd nadciąga nowe zagrożenie.

Wierzchowiec, wystraszony nagłym poruszeniem, jał wycofywać się nerwowo w stronę głazu. Zanim jeździec zdążył się obrócić, Elashi, z mieczem w dłoni, skoczyła nań z dzikim wrzaskiem.

Korzystając z zamieszania, Conan rzucił się naprzód, wyjątkowo zręcznie jak na tak

rosłego człowieka, i ciał starożytnym ostrzem z błękitnej stali. Siła ciosu zagłębiła je w ciało

i, przecinając mięśnie i kość, wysłała drugiego gwardzistę w śmiertelną drogę ku Szarym

Krainom albo raczej Gehennie.

Elashi i jeździec spadli z konia. Conan widział, jak tajemniczy wódz bandytów napręży

mięśnie i obraca się gwałtownie. Tym nagłym ruchem odrzucił Elashi dokładnie tak, jak terier

podrzuca szczura. Kobieta grzmotnęła o ziemię, ale pozbierała się szybko, trzymając miecz w

pogotowiu.

Piąty uznał za najmądrzejsze zmienić pośpiesznie profesję na chyżonogiego posłańca.

Zbiegł, porzucając swą broń, by zyskać na szybkości. Przez chwilę Conan rozważał, czy nie

podnieść jednej z porzuconych pik i nie zabić uciekiniera, ale zdecydował, że ważniejszy jest

teraz wódz. Jednakże, gdy się odwrócił, ujrzał, że tamten zdołał już złapać swego konia i,

wskoczywszy na siodło, spał zwierzę ostrogami, ruszając prosto na Conana.

Cymmerianin uskoczył, godząc mieczem w jeźdźca, ale postać uchyliła się przed ciosem i

trafił tylko w powietrze. Siła bezwładności wytrąciła Conana z równowagi.

Wykorzystując

ten moment, koń wraz z jeźdźcem przemknął obok, poruszając się zbyt szybko, by Cymmerianin zdążył ponowić atak.

Conan obserwował oddalające się sylwetki gwardzisty i jeźdźca. Ten ostatni zakrzyknął:

- Jeszcze zdobędę twój miecz, barbarzyńco!

Conan potrząsnął głową. Dlaczego ktoś chciałby ryzykować życie dla miecza o nieznannej

wartości? Owszem, broń z błękitnej stali cechowała przednia jakość i świetnie służyła mu w

walce, ale nie była specjalnie cenna. Rękojeść wykonano bez ozdób z kamieni czy kości

słoniowej i owinięto pasami skóry, za jelec zaś służył gruby kawałek miedzi. Ten dziwny

bandyta musiał być szalony.

Elashi podeszła, strząsając kurz ze swego płaszcza.

- Jesteś ranna? - zapytał Conan.

- Nie. - Skończyła już czyścić odzienie i patrzyła teraz krzywo na Conana. - Pozwoliłeś dwóm z nich uciec.

Nie mógł się powstrzymać od pełnego zdziwienia chrząknięcia.  
- Nigdy nie wspominałaś mi, że wy, mieszkańcy pustyni, gustujecie we krwi.  
- Nie ma sensu zostawiać na wpół skończonej roboty, to wszystko - odrzekła - ale podejrzewam, że teraz i tak nic się już nie poradzi. Chodź, przeszukamy zwłoki.  
- Przeszukiwać je? Po co?  
Spojrzała na niego jak na nedorozwinięte dziecko. - I ty chcesz zostać złodziejem? -  
zawiesiła znacząco głos. - Dla zysku oczywiście.  
Conan skinął głową. Choć raz miała rację. Ale nawet wtedy, gdy przetrzasali skromne sakwy poległych bandytów, nie przestał się zastanawiać, dlaczego zostali zaatakowani. I ta groźba dziwnego hermafrodyty, że zdobędzie jego miecz - o co tu w ogóle chodziło?  
Cóż, to już nieważne. Sprawa została załatwiona toteż zapewne widzieli dziwną postać po raz ostatni.  
II  
Mimo że sakiewki zabitych zawierały zaledwie kilka miedziaków, Conan i Elashi, nie zrażeni tym faktem, zabrali je i podzielili równo między siebie. Z pewnością nie przydadzą się już tym bandytom tam, gdzie teraz trafili.  
Gdy Cymmerianin i kobieta pustyni ruszyli w dół górskiej ścieżki, w oddali ujrzeli małą osadę. Dzięki bandytom mogli teraz zakupić jadło i nocleg. Zaledwie kilka dni temu Conan miał jeszcze dwie srebrne monety - jego ostatni łup, zdobyty na uśmierconym wilkołaku.  
Niestety, podczas wizyty w zamku nekromanty jakimś sposobem zgubił srebro ze swej sakwy. Teraz, po nieudanym ataku bandytów, ze zdziwieniem stwierdził, że kolejni zmarli zapewnią mu kolację i schronienie na noc.  
Wieczór wyparł już prawie dzień, na horyzoncie zaczęły się gromadzić purpurowo - szare chmury. Coraz chłodniejszy wiatr niósł w swych zimnych szponach zapowiedź śniegu.  
Conan rozpoznawał te znaki. Zbliżała się śnieżycą.  
Byłoby wyjątkowo niekorzystnie, gdyby burza złapała podróżników na dworze. Wioska musiała leżeć jakąś godzinę drogi stąd, a oni powinni dotrzeć tam tuż przed śnieżycą. Jeśliby się pospieszyli.  
Wioska wyglądała jak wiele innych, które Conan widział podczas swych podróży. Kilka budynków, w większości małych kamiennych domków pokrytych torfem, zebrało się wzdłuż szlaku, nieco tutaj szerszego niż w górach. Największym z nich musiała być oczywiście wiejska karczma. Szyld nad wejściem ukazywał niedbale wyrzeźbioną figurkę owcy, niewątpliwie nawiązując do dominującego tu gatunku zwierząt hodowlanych. Dom zbudowano z kamienia, spękanego na skutek srogiej pogody, a okna wypełniono natłuszczoną, gdzieniegdzie już poszarpaną skórą z jagnięcia. Przez nią właśnie prześwitywał migotliwy, żółtawy blask z wnętrza gospody.  
Gdy Conan i Elashi zbliżali się do karczmy, śnieg zaczynał już wirować wokół nich. W jednej chwili świszczący wiatr poderwał puchową biel do tańca w wieczornym powietrzu.  
Połączenie śniegu i gęstniejącej ciemności szybko skróciło widoczność do zaledwie kilku kroków.  
- Niezbyt zachęcające miejsce - zauważyła Elashi.  
- Odnoszę wrażenie, że niewielki mamy wybór - odparł Conan.

- Fakt.

Z rozmachem pchnął ciężkie, drewniane drzwi i wszedł do karczmy. Wnętrze, przytłoczone sufitem znajdującym się niewiele wyżej niż głowa Conana, gościło może dwudziestu ludzi, w większości mężczyzn. Siedzieli przy obdrapanych stołach lub stali w pobliżu wielkiego paleniska, w którym jasno płonęła spora kłoda. Łukowate przejście po przeciwnej stronie wiodło, jak podejrzewał Conan, do izb sypialnych i składziku na żywność i trunki.

Wszedłszy do pomieszczenia, Conan zamknął drzwi za Elashi, nawet na chwilę nie spuszczać wzroku z siedzących w gospodzie. Większość z nich była oczywiście tutejsza:

śniadzi, starsi mężczyźni odziani w pasterskie łachy. Dostrzegł też kilka kobiet, ubranych

podobnie jak ci mężczyźni i w tym samym wieku - najpewniej również stąd.

W przeciwległym końcu izby jadalnej siedział chudy mężczyzna ubrany jak w środku lata,

w krótkie spodnie do połowy uda i krótką tunikę. Z włosami koloru słomy i głupkowatym

uśmiechem na twarzy sprawiał wrażenie pijanego albo półgłówka.

Za tym wyletnionym głupkiem siedziało dwóch mężczyzn wyglądających bardzo podobnie

do tych, którzy zaatakowali Conana na szlaku. Nie zauważył nigdzie włóczni, ale każdy z

nich miał miecz i długi sztylet przytroczone bez pochew do pasów, a w niewyraźnym blasku

kaganków umieszczonych w nierównych odstępach na kamiennych ścianach z ich twarzy

wyczytał bitewne doświadczenie i surowość.

Gdy tylko Conan skończył rozglądać się po pomieszczeniu, zauważył zbliżającego się do

nich wysokiego i kościstego mężczyznę, którego twarz tonęła w kłębowisku siwej brody. Bez

wątpienia karczmarz.

- Ach, witajcie, podróżnicy! Czy życzyście sobie jadła i napoju?

Conan przytaknął:

- Tak. I izby na noc.

Siwobrody z zadowoleniem pokiwał głową.

- Oczywiście, załatwione! Udało się wam w samą porę. Właśnie zaczyna się zawieja. -

Jakby na potwierdzenie jego słów, wiatr zagwizdał i dmuchnął śniegiem przez jedną z

podartych osłon w oknie. Siwobrody krzyknął:

- Lalo! Zakryj no tę dziurę!

Chudy blondyn wstał, podszedł do okna i zaczął naprawiać skórzaną powłokę za pomocą

łaty i dratwy, którą wyciągnął z kieszonki w tunice. Przez cały czas nie przestawał się

uśmiechać, a podczas pracy nucił cicho jakąś melodyjkę.

Tymczasem Conan i Elashi ruszyli do pustego stołu nieopodal paleniska, podczas gdy

Siwobrody zniknął gdzieś, by przynieść wino i coś, co nadawałoby się na wieczerzę.

Posiłek, jak się okazało, nie był wcale taki zły. Baraninę, trochę tłustawą, ale znośną

podano z twardym razowym chlebem i czerwonym winem - dość cierpkim, lecz i tak lepszym niż niejedno z tych, których Conan w życiu kosztował. Elashi wydobyła

za pasa

niewielki nóż i pokroiła mięso w cienkie paski. Conan układał je na kromkach chleba, a

połknawszy, popijał winem. Uznał to za zdecydowanie lepsze od myszkowania wzdłuż

szlaku

w poszukiwaniu jadalnych korzonków i wiewiórek ziemnych, do czego zmuszała ich dotychczasowa uciążliwa podróż.

Siwobrody przyjął pół tuzina miedziaków za jedzenie i zażądał dodatkowych czterech za nocleg. Conan targowałby się, gdyby nie ogarniające go coraz bardziej zmęczenie. Poza tym, jakie to miało znaczenie, ile zapłaci? Pieniądze gościły w jego sakwie dopiero od kilku godzin, toteż nie zdążył się do nich jeszcze przyzwyczaić. Zapłacił za posiłek i izbę do spania, wzbudzając lekki uśmiech zadowolenia na ledwie widocznej zza włochatej zasłony twarzy Siwobrodego.

Wypiwszy trzeci z kolei kubek wina, Conan poczuł się wreszcie odprężony. Podróż przez góry przebiegła stosunkowo spokojnie, pomijając atak bandytów, ale mimo wszystko był to raczej długi spacer. Mając żołądek pełen wina i stawy oraz znalazłszy schronienie przed szalejącą zamiecią, czuł się wolny od wszelkich trosk.

Powinien był się domyślić, że to oznaczało kłopoty. Ostatnio za każdym razem, gdy tylko układał się, by odpocząć, pojawiała się coś, co skutecznie psuło miłą atmosferę.

- Uważaj, głupcze! - Głośny okrzyk wyrwał Conana ze świeżo osiągniętego błogostanu.

Podniósł wzrok, by ujrzeć płowowłosego mężczyznę, zwanego przez Siwobrodego Lalo, wycofującego się od stołu, przy którym siedziało dwóch zbrojnych.

Najprawdopodobniej Lalo potrafił stół, przepychając się pomiędzy siedzącymi, i teraz zbierał obelgi za swoją niezręczność. Jednemu z wojowników brakowało dużego kawałka ucha. Drugi musiał mieć wielokrotnie złamany nos, gdyż wykrzywił się on nienaturalnie w jedną stronę.

- Wybaczcie, milordzie - odrzekł przepraszająco Lalo.

Krzywy Nos prawie wstał.

- Czy ty kpisz sobie, nazywając mnie lordem, głupcze?

- Ależ nie milor... to znaczy, panie. Byłoby trudno kpić sobie z kogoś takiego jak ty, panie.

- No, tak już lepiej.

Uśmiech na twarzy Lalo nie zbladł ani trochę.

- Po prostu nie za bardzo jest nawet z czego kpić.

Krzywy Nos zamrugnął, wyraźnie nie rozumiejąc.

Przy swoim stole Conan uśmiechnął się. Nawet jeśli wyglądał na barbarzyńcę, miał przecież poczucie humoru.

Na nieszczęście dla Lalo, Jednouchy kojarzył nieco szybciej niż jego kompan.

- Głupcze - warknął - on cię obraził!

Krzywy Nos spojrzał na niego, nadal nie rozumiejąc.

- O czym ty mówisz?!

- Ach - rzucił Lalo - widzę, żeś pan doprawdy niezmiernie zmyślny - ucichł na chwilę, ale zaraz dodał: - chociaż, jakby się tak dobrze przyjrzeć, to chyba tylko miernie.

Conan zachichotał, krztusząc się winem. Sądząc z reakcji Krzywego Nosa, musiała to być prawda.

- Z czego się śmiejesz? - spytała Elashi. - Ci dwaj potną biedaka na krwawe plasterki!

Conan wrzucił ramionami.

- To jego problem. Ostрым językiem nie wygrasz z ostrym mieczem.

- Ty idioto! On znowu cię obraża! - krzyknął równocześnie Jednouchy.

Tego było za wiele dla Krzywego Nosa. Dobył broni.

- Zrobię sobie z twojej rozrehotanej głowy miskę do zupy! - wrzasnął, zbliżając się



powoli do Lalo.

Elashi skoczyła na równe nogi, wyciągając swój miecz.

- Co ty wyprawiasz?! - spytał Conan.

- Skoro nie ma tu mężczyzn gotowych ratować bezbronnych przed takimi brutalami, muszę sama się za to zabrać!

Conan westchnął. Zawsze coś musiało przeszkodzić mu w odpoczynku. Wstał.

- Siadaj. Ja się tym zajmę.

- Nie chciałam, żebyś się zbyt przemęczał - odparła.

Conan tylko pokręcił głową. Czy to kolejna próba, Cromie? Może jednak należało pozostać w klasztorze ze świętej pamięci Cenghiem i porzucić kobiety. Czasem

doprawdy

sprawiają więcej kłopotów niż same są warte. Krzywy Nos rozejrzał się i zobaczył nadchodzącego Conana. Powstrzymał natarcie

na

Lalo.

- Co cię tu sprowadza, cudzoziemcze?

Conan postanowił przemówić mu do rozsądku.

- Miałem długi i ciężki dzień - rzekł - i nie zamierzam zakończyć go umazany

krwią.

Dlaczego by nie darować temu tu, Lalo, życia?

Krzywy Nos przesunął czubek miecza w kierunku Conana.

- To, jak ci minął dzień, mniej mnie obchodzi niż mysie bobki w kącie izby. Ten

głupiec

mnie obraził i teraz za to zapłaci!

Conan, pozostawiając swój miecz w pochwie, przeniósł wzrok na Elashi, a potem na Lalo.

- Może - zwrócił się do Lalo - gdybyś przeprosił Krzywego Nosa, moglibyśmy

rozstrzygnąć całą sprawę pokojowo?

- Krzywego Nosa? Kogo nazywasz Krzywym Nosem?

- Czy ty kiedykolwiek widziałeś się w zwierciadle? - odpowiedział pytaniem

Conan.

- Obawiam się, że ostatnie, w które spoglądał, pękło na kawałeczki, usiłując

odbić tak

ohydny obraz - zauważył Lalo.

- Wcale mi nie pomagasz - odrzekł Conan uśmiechającemu się mężczyźnie.

- Aaach! - z nagłym okrzykiem Krzywy Nos zaszarżował z mieczem uniesionym nad

głową, gotów rozplatać Lalo niczym suchą szczapę.

Conan miał dużo czasu, żeby dobyć miecza i zablokować atak, ale gdy już, już

obnażał

swe ostrze, Jednouchy podniósł się i rzucił flaszką wina w głowę cudzoziemca.

Chociaż Cymmerianin miał szybki refleks, nawet on nie zdołałby równocześnie

stracić

lecącej butelki płazem miecza i w odpowiednim momencie odbić ciosu Krzywego

Nosa. Gdy

szkło z rozbitej mieczem Conana flaszki rozprysło się wokoło, ostrze Krzywego

Nosa spadło

na nieszczęsnego Lalo... i chybiło!

Lalo z taneczną gracją uskoczył przed ciosem, tak że miecz, który rozplatałby go

od stóp

do głów, z głośnym hukiem uderzył w drewnianą ławę, wbijając się do połowy swej

szerokości. Krzywy Nos próbował wyrwać broń, ale miecz ugrzązł na dobre.

To, co teraz uczynił Lalo, wyglądało zdumiewająco. Zatańczył z powrotem w

kierunku

Krzywego Nosa, złapał jego nadgarstek i wykonał jakiś niespotykany manewr,

wyginając i

skręcając całe ciało w nagłym przykłęku na podłodze. Krzywy Nos wrzasnął i

przeleciał nad

głową Lalo, by niczym bezwładna kukła grzmotnąć twarzą w najbliższą ścianę.

Conan nie miał zbyt wiele czasu na podziwianie tej techniki, ponieważ Jednouchy

szarżował już, wywijając mieczem i wyjąc jak oszalały wilk. Zamierzał wyprzedzić

Conana i

ten błąd drogo go kosztował. Cymmerianin jedynie wyprostował ramię, a zaskoczony

Jednouchy z rozpędem nadział się na ostrze. Pół długości miecza wyjrzało z

pleców

mężczyzny, ukazując na swym czubku krew z przebitego serca. Jednouchy padł, a Conan wyrwał ostrze z jego osuwającego się ciała. Pochylił się i wytarł stal z posoki tunika

Jednouchego, nie wątpiąc ani przez chwilę, iż człowiek ten już nie żył. I tak wyglądał spokojny wieczór w ciepłe ogniska.

Conan odwrócił się i popatrzył na Lalo i Elashi oglądających Krzywego Nosa. Sądząc z kąta, pod jakim wyginała się szyja leżącego mężczyzny, miał z pewnością złamany kark. A biorąc pod uwagę siłę, z jaką uderzył o ścianę, należało sądzić, że miał również roztrzaskaną czaszkę.

Tak też się okazało. Elashi wstała i orzekła:

- Nie żyje.

Conan ruszył w ich stronę, widząc, jak wszyscy goście w karczmie zamarli bez ruchu

niczym namalowani, zbyt wystraszeni, by się poruszyć.

- Nigdy nie widziałem takiej techniki walki wręcz - stwierdził Conan. - Bardzo skuteczna.

Uśmiech nie opuszczał twarzy Lalo nawet na chwilę.

- Nauczyłem się tego od małych, żółtych ludzi w Khitaju. - wyjaśnił. - Spędziłem u nich kilka ładnych lat. Nazywają to jit-jit. Używając tej sztuki, jej niepozorny, ale biegły adept może z łatwością stawić czoło większemu, nawet uzbrojonemu przeciwnikowi.

- Ciekawe - przyznał Conan - jednakże człowiek, który zapanowałby nad swoją wesołością, nie musiałby w ogóle korzystać z tej umiejętności.

- Ach... Widzicie, to już moja klątwa. - Ucichł i zerknął na leżących mężczyzn.

- Doceniam waszą pomoc, mimo że świetnie poradziłbym sobie sam. Pozwólcie, że wyjaśnię wam wszystko przy dzbanku wina.

Conan zerknął na Elashi, która skinęła głową. Oczywiście, była ciekawa, a i on sam nie mógł zaprzeczyć, że interesował go ten dziwny, wesoły człowiek.

- Kiedy byłem chłopcem, w górach wschodniej Zamory, mój ojciec popadł w niełaskę tamtejszego czarodzieja. Bardzo subtelna postać - ten czarodziej. Mógłby sprawić, że stracilibyśmy całe zbiory lub nasze krowy przestałyby dawać mleko, albo zesłać na nas zarazę. Ale nie, jak już mówiłem, mag był bardzo subtelny. A jego czar okazał się równie skuteczny jak inne, bardziej może typowe kary. Rzucił klątwą na synów mojego ojca. - Lalo przerwał, by pociągnąć nieco wina. Jego uśmiech pozostawał nie zmieniony.

- Wszyscy moi bracia, a miałem ich trzech, zginęli w następstwie przekleństwa w ciągu dwóch lat od jego nałożenia. Próbując ucieczki, zbiegłem przez wielką pustynię na wschodzie do Khitaju. Bezskutecznie, ponieważ klątwa nie opuściła mnie nawet na chwilę. Elashi pochyliła się do przodu, zasłuchana. Jeśli zaś chodzi o Conana, odczuwał coraz niniejsze zainteresowanie, ale za to wzrastający niepokój. Tak działo się zawsze, gdy tylko poruszano temat magii. Owe nienaturalne praktyki nigdy nie budziły jego zaufania. Mimo wszystko jednak opowieść była bardzo intrygująca.

- To właśnie tam, w Khitaju, nauczyłem się sztuki walki jit-jit. Khitajczycy są całkiem zręczni w takich sprawach. Niestety, moje przekleństwo zmusiło mnie w końcu do opuszczenia ich krainy. Otóż to, nie mogę nigdzie zbyt długo zagrześć miejsca, bo nawet najbardziej przychylni mi osoby nie zniosą efektów zaklęcia maga dłużej niż

kilka tygodni.

- Na czym polega ta klątwa? - zaciekawił się Conan.

- Nie mogę przestać się uśmiechać - odrzekł Lalo - i nie mogę się oprzeć

robieniu

sobie żartów ze wszystkich dookoła. Ty, Conanie, dla przykładu, masz chyba tyle

mięśni, że

nie zdołasz podrapać się po plecach, czyż nie?

- Cooo?! - Conan już zaczął podnosić się ze swego miejsca, gdy poczuł na

ramieniu

dotyk Elashi:

- Przekleństwo, Conanie.

Usiadł nieco uspokojony, mówiąc ze zrozumieniem:

- Wiem, co masz na myśli, Lalo.

Uśmiechnięty mężczyzna westchnął.

- No właśnie. Wyobraź sobie, jak to jest być z kobietą i nie móc powstrzymać się

od

obraźliwych docinków, nawet gdy jesteście połączeni!

- To okropne! - wymamrotała Elashi.

- Sami widzicie, przychodźcie mi z pomocą w potyczce z dwoma bandziorami

Harskeel,

a nawet wtedy nie mogę się pohamować, by z was nie kpić.

- Kto to dokładnie jest ten Harskeel? - spytał Conan.

- Może niekoniecznie "kto", ile raczej "co" - odparł Lalo - Pełne imię brzmi

Harskeel

z Loplain i należy do hermafrodyty - półkobiety, półmężczyzny.

Elashi nie opanowała westchnienia.

- Znacie to coś? - spytał Lalo.

- Tak - odparł Conan - spotkaliśmy to dzisiaj na szlaku. Czy to jest może

szalone?

- Szalone? Czemu chcesz wiedzieć, małpowaty pajacu?

Conan zawrzał gniewem, ale pohamował się. W końcu ten człowiek był przeklęty.

- To coś zwane Harskeel straciło dziś pięciu ludzi, próbując ukraść jedynie mój

miecz.

- Ach, już rozumiem, dlaczego sądziłeś, że to jest szalone. Nie, w tym szale

jest metoda.

Harskeel z Loplain również zostało przeklęte, ale na skutek swoich własnych

poczynów.

Kiedyś było dwojgiem ludzi, kobietą i mężczyzną. Byli kochankami, ale pożąдали

jeszcze

więcej uczucia i bliskości - pewnie taki barbarzyńca jak ty nic z tego nie

pojmie - więc

ukradli wiedźmie księgę czarów. Na swoje nieszczęście niedokładnie wypowiedzieli

zaklęcie.

W konsekwencji znaleźli się znacznie bliżej, niż kiedykolwiek zamierzali.

- Aha - westchnęła Elashi - ale co to ma wspólnego z mieczem Conana?

- Cóż, to coś zbiera miecze od każdego, kto wykazuje najmniejszy chociaż cień

odwagi.

Podobno istnieje zaklęcie przeciwne, jakiś magiczny zabieg, który przywróci

Harskeel do

poprzedniej postaci dwojga ludzi. Czar wymaga użycia miecza unurzanego we krwi

właściciela. Jeżeli jest, lub raczej był wystarczająco odważny, zaklęcie powinno

zadziałać.

Jak dotąd więcej niż kilku oddało życie, dostarczając wymaganej broni.

- Sądziłem, że ta istota chciała jedynie mego miecza - zdziwił się Conan.

- Z pewnością nie chciała twego mózgu - zauważył Lalo. - Wybacz mi.

Conan tylko skinął głową. Słyszał gorsze rzeczy od Elashi, a ona przecież nie

była ofiarą

żadnej klątwy.

Lalo powiedział im, że jego pobyt w gospodzie dobiegł właśnie końca i musi się

już

zbierać. Conan i Elashi również zamierzali wyjechać natychmiast, gdy tylko

skończy się

śnieżyca, najchętniej zaraz następnego dnia. Wszyscy troje dokończyli wino i

rozeszli się;

jeszcze tylko Lalo ostrzegł Conana, by uważał na siebie podczas wędrówki. Teraz, gdy cudzoziemski wojownik zabił tylu ludzi służących hermafrodycie, Harskeel z pewnością bierze go pod uwagę jako następnego kandydata potrzebnego mu do zdjęcia czaru. Gdy Conan i Elashi opuścili główną izbę, udając się na nocleg, Elashi powiedziała:

- Przykra sprawa, być ofiarą takiej klątwy.

- Zauważyłem, że on ani razu nie obraził ciebie podczas naszej rozmowy - stwierdził Conan.

- Dlaczego miałyby, skoro ty stanowiłeś tak łatwy cel?

- Wy dwoje pasowalibyście do siebie - odparł - macie tyle wspólnego.

Elashi postanowiła obrazić się za ten komentarz, co w najmniejszym stopniu nie zdziwiło

Conana. Ostatnio niewiele z jej zachowań mogło go zadziwić.

Gdy dotarli do swojej izby, na przykład, położyła się przy nim pod grubym kocem, zaczęła

chichotać i dotykać go lekko... zupełnie jakby zostali świeżo poślubieni tego samego ranka.

Potrząsnął głową, nie rozumiejąc nagłej zmiany, jednakże nie miał absolutnie nic przeciwko

temu.

III

Głęboko w krętych korytarzach jaskiń Grotterium Negrotus, Katamay Rey po raz

kolejny

wyrzekł zaklęcie nad płytą zaczarowanego kwarcu. W niezdrowym, zielonym świetle fluorescencyjnych grzybów czarodziej wróżył, przebijając wzrokiem głębię

kryształu w

poszukiwaniu przyszłości.

Błyszcząca skała zmatowiała, by po chwili powoli nabrać przezroczystości na jednym z

końców i ukazać tam twarz mężczyzny. Twarz o ostrych rysach, okolona czarnymi

włosami,

intensywnie niebieskimi oczami wpatrywała się ślepo w Reya, nieświadoma faktu, iż jest

obserwowana.

Rey odprawił serię mistycznych gestów nad kryształem, ale jego pozostała część uparcie

pozostawała matowa. Pomimo usilnych prób maga, nic prócz twarzy mężczyzny nie pojawiło

się w kryształach.

- Niech cię Set strzeli, ty przeklęty kamieniu!

Kwarc nie wydawał się specjalnie przejęty tą groźbą, wręcz przeciwnie, jakby w odpowiedzi na nią nawet twarz mężczyzny stała się niewyraźna i zniknęła, zakryta

mleczną

mgłą. Przeklinając, Rey odwrócił się od upartego kryształu.

Aha, pomyślał. Nareszcie coś miał: niebezpieczeństwo skierowane przeciwko jego włościom wydawało się koncentrować w tej młodzieńczej twarzy. Należało zatem

odpowiednio się nim zająć.

- Wikkel!

W odpowiedzi na krzyk czarodzieja coś poruszyło się niezręcznie na wilgotnej, kamiennej

podłodze. Istota o połowę przerastająca wysokiego człowieka wkuśtykała w zasięg zielonkawego światła. Posiadała jedno różowe oko na środku pochyłego czoła, a na

grzbiecie

dźwigała spory garb, podobny do tych, które mają pustynne bestie występujące na Południowych Pustkowiach graniczących z Puntem i Stygią. Łysą czaszkę okalała od

spodu

broda, a ramiona i nogi pokrywały węzły mięśni. Garbus był nagi, jeśli pominąć

przepaskę

biodrową. Jego dłonie niemal dotykały kamiennej podłogi, po której stapał,

przybiegając na

wezwanie.

- Mistrzu - odpowiedział garbaty cyklop. Jego głos brzmiał jak rozdzierane płótno żaglowe.

- Idź do Północnych Komnat - nakazał Rey - i przygotuj przyjęcie dla straceńca, który śmiałyby stapać po ziemi nad nami. Każdy, kto odważy się próbować zakazanych ścieżek, ma być przyprawiony przed moje oblicze.

- Mistrzu - odrzekł posłusznie Wikkel i ukłonił się, sprawiając tym samym, że jego dłonie uderzyły o podłogę, po czym wyszedł.

- Żywych! - krzyknął Rey za odchodzącym sługą. - Chcę ich mieć żywych! Wiedźma Chuntha pogładziła rzeźbioną kościaną różdżkę i zmierzyła wzrokiem swego niewolnika. Gigantyczny robak leżał przed nią, rozplaszczony pod własnym olbrzymim

ciężarem. Wyglądał tak, jakby ktoś wziął zwykłą dżdżownicę i powiększył ją więcej niż

tysiąc razy, zmienił jej kolor na upiornie biały. Stworzenie to nie posiadało zarysów niczego,

co mogłoby uchodzić za głowę - jeden jego koniec wyglądał tak samo jak drugi - niemniej

jednak zgrupowanie nieregularnych plam w odcieniu odmiennym od reszty ciała świadczyło o

tym, że przód wielkiego robala zwrócony był ku wiedźmie. Trzykrotnie dłuższy niż wzrost

człowieka i z łatwością przewyższający grubością beczkę wina, robak wił się i wyginał,

słuchając swej pani.

- Idź - rozkazała - do Pomocnych Komnat, Deek. Grożące nam niebezpieczeństwo objawi się tam wkrótce. Musimy przejąć nad nim kontrolę, by przeżyć i zwyciężyć Tego

Bękartą - naszego wroga. Zezwalam ci sprzymierzyć się z każdym, kto mógłby nam pomóc:

nietoperzami, Albinosami albo Tkaczkami - nieważne, ze wszystkimi naraz czy każdymi z

osobna. Przyrzekaj im wszystko, czego zapragną, byle tylko nie dopuścić sił Tego Bękartą do

naszego celu. Rozumiesz?

Robak nie umiał mówić, ale w specyficzny sposób szurając ciałem po kamiennym podłożu, mógł tworzyć dźwięki przypominające głos:

- T-t-tak-k.

Gdy jej sługa odszedł, sunąc swym nieruchawym ciałem po pokrytej śluzem podłodze,

pogłaskała się różdżką po policzku, głęboko zamyślona. Od dawna już nie miała tak silnego

snu wizjonerskiego. Niebezpieczeństwo pojawi się wraz z samotnym mężczyzną - tyle

zdołała ujrzeć. Niestety, nie widziała twarzy nieznanego. W przyćmionym, zielonkawym

świetle, spojrzała na różdżkę. Ten magiczny przedmiot posiadał moc, to pewne, ale widocznie

niewystarczającą w tym przypadku. Może należałoby spróbować Kamienia Snów?

Zaklęty

kamień zawierał więcej energii. Wprawdzie z jego użyciem wiązało się pewne ryzyko, ale to

nie był odpowiedni moment na ostrożność. Zbliżało się wielkie niebezpieczeństwo, a chwile

zagrożenia wymagały ryzykownego postępowania. Tak, popieści Kamień Snów i dowie się,

co skrywa jego wnętrze.

W górskiej kapliczce, balansującej na krawędzi stromych skał niczym kozica, Harskeel

oglądało się w wysokim od podłogi do sufitu lustrze, czując, po raz pierwszy od

wielu lat,  
rosnącą nadzieję. Ten barbarzyńca na szlaku... czyżby to jego szukało? Z pewnością był odważny - stanął do walki jeden na sześciu! Nawet z pomocą towarzyszki nie miałyby szans, a jednak... Teraz zaś zabił w karczmie kolejnego gwardzistę, nie wysilając się przy tym bardziej niż człowiek zarzynający owcę. To chyba również świadczy o jego odwadze? Harskeel w lustrze skinęło potakująco. Istotnie, wydawało się, że zakrwawiony miecz tego śmiałka może stać się kluczem, którego poszukiwało przez ostatnie piętnaście lat. A jeśli dzikus zwany Conanem jest, jak twierdzą szpiedzy z tawerny, odpowiednim kandydatem, będziemy mogli stać się tym, czym byliśmy kiedyś. Ach... co za przyjemna myśl. Wkrótce go dostaniemy, powiedziało sobie Harskeel. Oddział naszych ludzi przygotowuje się właśnie do drogi. Nieważne, ilu z nich zginie, zdobędziemy ten miecz... i krew właściciela! Och, doprawdy! Cóż za przyjemna myśl. Świeżo spadły śnieg spowił wioskę jak biały całun, przykrywając ją pradawnym błyszczącego puchu pod lodowatym błękitem nieba. Burza minęła, pozostawiając okolicę w idealnym spokoju. Słońce zdążyło już przebyć większą część swej porannej drogi, gdy Conan i Elashi wyszli z gospody. Zjedli niezłe śniadanie, a ponadto otrzymali od karczmarza buty z rakietami, by łatwiej poruszać się w głębokim po kolana śniegu, który przykrył drogę. - Pójdziemy krótszą trasą, wspomnianą przez karczmarza - zdecydował Conan. Elashi potrząsnęła głową. - A nie słyszałaś aby o bestii strzegącej tej ścieżki i nierzadko polującej na niej? - Owszem. Ale Conan z Cymmerii nie zwykł maszerować przez dodatkowe pięć dni jedynie dlatego, by uniknąć spotkania z jakimś tam kundlem, który "nierządkiem poluje" na ścieżce. - Poklepał swój miecz. - Ostrze, które zabiło wilkołaka, na pewno nie zawiedzie w potyczce z jakimś parszywym pchlarzem, jeśli stanie nam naprzeciw. - Nie słyszałam, żeby karczmarz mówił, że ta bestia to pies. - A cóżby innego? Może zatem ten potworny strażnik to gęś? Tym lepiej dla nas. Posilimy się przynajmniej w dobrym stylu, gdy zagęga na nas odstraszająco - roześmiał się, wyobraziwszy sobie ten widok. Tym razem Elashi milczała. Conan cicho podziękował Cromowi za ten wcale niemały dar. Dwójka wędrowców oddalała się od małej osady, wysoko podnosząc nogi obute w rakiety z giętego drewna i baranich jelit, i słysząc jak suchy puch skrzypi pod ich stopami z każdym krokiem. Dzień pomimo mrozu, był rześki, a Conan czuł się wypoczęty po przespaniu całej nocy i napełnieniu żołądka ciepłym śniadaniem. Za kilka dni znajdą się w górach Karpash, a później opuszczą Koryntię, wchodząc na Płaskowyż Zamorański. Do Shadizar czekał ich dwutygodniowy marsz, tak mu powiedziano. Trwałoby to krócej, gdyby tylko mógł ukraść parę koni. Kiedy dotrą do celu, Elashi pójdzie dalej na południe, a on zajmie się gromadzeniem bogactw drogą poważnie potraktowanego złodziejstwa. Wyczekiwał tego

z niecierpliwością. Dwudziestu jeźdźców z trudem panowało nad wierzchowcami. Gorące oddechy ludzi i zwierząt utworzyły obłok pary w mroźnym powietrzu, gdy konie przestępowały nerwowo w miejscu.

Wtedy Harskeel we własnej osobie wjechało na dziedziniec, dosiadając swego ogiera. Z

jego gardła wydobył się grzmiący głos:

- Chcę tego człowieka i jego miecz! Worek złotych monet dla tego, kto mi go sprowadzi.

A szybka i bolesna śmierć dla każdego, kto sprawi, że zbiegną. Czy to jest całkowicie jasne?

Od strony jeźdźców dało się słyszeć potwierdzający pomruk.

- Dobrze. Zatem ruszamy do wioski. Jazda!

Uderzenia kopyt wstrząsnęły uśpioną o poranku ziemią, gdy Harskeel i jego słudzy opuszczali podwórzec kapliczki.

Po trzygodzinnym marszu, z dala od osady, Conan i Elashi przystanęli, by pożywić się

paskami wędzonej baraniny zakupionej w karczmie. Mięso było suche i gumowate, ale na

szczęście karczmarz wyposażył ich również w skórzany bukłak łagodnego wina, którym z

powodzeniem popijali wędzonkę. Później, kiedy zatrzymają się na noc, Conan mógłby

zastawić sidła na króliki i świstaki, które upiekliby na ognisku. Przy odrobinie szczęścia

udałoby im się przejść przez przełęcz i najwyższe partie górskiej ścieżki przed zmrokiem.

Wikkel, garbaty cyklop, siedł wąskimi korytarzami z mokrego kamienia, rozchlapując

wapienną wodę z licznych kałuż, które czasem bulgotały od jakiegoś wewnętrznego wrzenia.

Istniało wiele dróg prowadzących do Północnych Komnat, ale ten tunel był jednym z

szerszych, mimo że nie najkrótszych. Nic by nie dało, gdyby zaklinował się w którymś z

wąskich korytarzy, wypełniając zadanie dla Katamaya Reya. Jego mistrza nie interesowały

usprawiedliwienia, a nie był delikatny dla tych, którzy go zawiedli. Poprzednik Wikkela na

stanowisku pierwszego asystenta rozgniewał kiedyś czarodzieja i w rezultacie spędził ostatnie

chwile swego życia, zamieniając się w kałużę gnijącej mazi na podłodze komnaty Reya.

Pierwszym zadaniem Wikkela, jako jego następcy, miało być usunięcie resztek poprzednika

- nieprzyjemne zadanie, które na zawsze ostrzegło go, by z najwyższą ostrożnością odnosić

się do czarodzieja rządzącego połową systemu jaskiń.

Wspomnienie tego wydarzenia doskonale posłużyło Wikkelowi jako środek dopingujący

jego rozpląszczone stopy, gdy zmierzał do celu. W wypadku gdyby mu się nie powiodło,

powinien trzymać się z dala od tych okolic. Naturalnie, brał taką możliwość pod uwagę, ale

najchętniej by jej nie realizował. Przyspieszył kroku jeszcze bardziej.

Deek sunął wzdłuż zakręcającego korytarza, poruszając się dość szybko jak na istotę

pozbawioną kończyn. Płyty brzuszne, na których się unosił, dostosowały się do kamiennego

podłoża, toteż wił się naprzód raczej jak wąż niż dżdżownica, kołysząc się z boku na bok z

głową lekko uniesioną nad śliską podłogą jaskini.  
Gdy tak się czołgał, układał plany dotyczące porozumienia z innymi inteligentnymi gatunkami zamieszkującymi Grotterium Negrotus. Nietoperze-wampiry żyły tylko po to, żeby jeść i rozmnażać się, i zawsze potrzebowały więcej przestrzeni. Mógłby im zatem zaoferować jedną z olbrzymich grot w zachodniej części kompleksu jaskiń jako tereny parzenia się. Chuntha utrzymywała je puste dla własnych celów, a nietoperze zrobiłyby wszystko za możliwość zajęcia tak obszernego miejsca. Tkaczki, z kolei, związane były ciągle z jednym miejscem i ich kondycja pogarszała się stale z braku odpowiedniego pożywienia. Gdyby tylko Deek mógł zapewnić im dopływ jedzenia, bardziej niż chętnie pomogłyby wiedźmie w osiągnięciu jej celów. A ślepe Albinosy? Cóż, one to zupełnie inna sprawa. Te ohydne, małpowate kreatury przyjaźniły się z cyklopami i nie należało oczekiwać, by dały się kupić za cokolwiek, co miała do zaoferowania Chuntha. Poza tym wyciągały swe kamienne noże przy spotkaniu z każdym robakiem na tyle nierozważnym, by do nich podejść, najpierw go zakłuwając, a później zadając sobie głupie pytania, gdy już zajadały szczątki. Najlepiej w ogóle unikać tych szkodników. Deek nie widział Chunthy tak podekscytowanej od czasu, kiedy kilka miesięcy temu robale przyprawiły jej mężczyznę-podróżnika. Wtedy dosłownie tańczyła z zadowolenia. Niestety, biedny wędrowiec nie przetrwał zbyt długo pod opieką wiedźmy, jako że pojedynczy epizod w łożu wystarczył jej, by go wykończyć. Niemniej jednak resztki były całkiem smaczne, jak przypominał sobie Deek. Może i teraz wiedźma pozwoli im dobrać się do porzuconych szczątków, gdy tylko ten nowy mężczyzna spełni swą funkcję w jej sypialni. Ale najpierw muszą go schwytać. Deek przyspieszył swe ruchy. Niepowodzenie w tej misji było bardzo niewskazane. Deek nie zamierzał posłużyć jako wypełniacz wapiennych jam, a taki los spotykał wszystkich, którzy nie zdołali zadowolić Chunthy. Conan i Elashi podążali krętym szlakiem, chociaż słońce zaczynało już tonać za najwyższym szczytem na zachodzie. Wędrówka była jak na razie bardzo monotonna. Nie spotkali nikogo, poza może kilkoma ciekawskimi kozicami przypatrującymi im się z wysoka. Jeszcze godzinę lub dwie i powinni zatrzymać się na nocleg, pomyślał Conan. Wtem, wprost przed nimi, z cienia rzucanego przez ostry szczyt pobliskiej skały wyszedł na ścieżkę potwór. Conan i Elashi zatrzymali się i wlepili wzrok w bestię. Wielka jak koń pociągowy, nie przypominała go jednak w niczym poza tym, że miała cztery nogi. Wyglądała tak, jakby powstała z jakiejś szalonej krzyżówki psa, kota i szczura dokonanej przez nieznanego boga. Łeb jej byłby psi, gdyby nie kocie szczęki i kły; ciało, pokryte pasiastym futrem zwykłego kota, kształtem przypominało raczej sylwetkę psa myśliwskiego. Ogon natomiast, długi i różowy, pozbawiony włosów, wydawał się należeć do gigantycznego szczura. Do tego dochodziły szczurze, czteropalczaste stopy, każda zbrojna w czarne pazury.



Bestia warczała i porykiwała krótko jak rozdrażniony dziki niedźwiedź. Nie odrywając wzroku od potwora, oszołomiona Elashi rzuciła:

- Jakiś włóczący się kundel, co? Albo może tłusta gęś gotowa do spożycia, he? Po raz kolejny zdumiewasz mnie swą umiejętnością przewidywania, Conanie.

- Lepiej zrób użytek ze swego miecza, zamiast z języka - odparował Conan, dobywając broni.

Potwór warknął jak niedźwiedź i głośno wciągnął powietrze. Conan zamarł, pozostawiając swą broń na miejscu. Sądząc ze smrodu, który docierał od strony ohydnej istoty, wiatr wiał jej prosto w grzbiet. Być może nie widziała zbyt dobrze, gdyż nie podchodziła bliżej.

- Wydaje się niepewne co do nas - rzekł, ścisząc głos do szeptu. - Możliwe, że jeśli nie będziemy się ruszać, zniechęci się.

- Równie dobrze możemy tu stać, aż umrzemy z głodu - odrzekła Elashi również szeptem.

- Czekam na propozycje.

- Czy ty zawsze musisz to mówić w takich sytuacjach? - jej głos podniósł się nieznacznie.

- Czemu nie krzykniesz, żeby lepiej zwrócić uwagę tego czegoś? To ją uciszyło. Nadal gapili się na osobliwie skomponowaną bestię. O dziwo, i potwór wydawał się dziwnie zmieszany. Przekrzywił wciąż głowę to w jedną, to w drugą stronę, przyglądając się zagadkowo Conanowi i Elashi. Jeśli miało jakikolwiek wzrok, wydawało się niemożliwe, by ich przeoczyło na dystansie krótszym niż trzy kroki.

Wciągało lodowate powietrze, tkwiąc w bezruchu. Conana swędziała ręka, żeby wyciągnąć miecz, ale powstrzymał się. Lepiej poczekać kilka chwil i spróbować zorientować się, co zamierza ta istota. W wypadku ataku z jej strony, miałyby dość czasu, by dobyć broni, lecz walka z taką kreaturą specjalnie mu się nie uśmiechała.

Jeździec dotknął śladów na szlaku i odwrócił się do Harskeel i pozostałych gwardzistów.

- Bardzo świeże, panie. W śniegu zachowały się jeszcze odciski rzemieni w butach. Mogą być nie dalej niż kilka chwil przed nami. Harskeel błysnął swym dwuznacznym uśmiechem.

- Dobrze. Naprzód!

- Czy nie znasz bogów, których mógłbyś wezwać? - wyszeptwała Elashi.

- Żadnego prócz Cromy - oparł Conan - a Crom rzadko słucha modlitw. Daje człowiekowi przy narodzeniu pewien zasób siły i sprytu, a później każdy ma życie na świecie, jak mu się podoba.

- Srogi to bóg - stwierdziła Elashi.

- Owszem. Wszak rządząc srogą krainą nie mógłby być inny.

- Moi bogowie skutecznie pomagają chyba tylko w znajdowaniu wody albo zwierzyny - przyznała. - Nie sądzę, żebyśmy znali jakiegoś boga zajmującego się podobnymi przypadkami - wskazała wzrokiem bestię, która zdażyła już usadowić się na ścieżce, nieustannie gapiąc się na nieruchomą parę.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego to coś po prostu nie podejdziesz bliżej i nie sprawdzisz, kim jesteśmy - zastanowił się Conan.

- Lepiej żeby nie wpadło na taki pomysł.

- Nie możemy tu tkwić wiecznie - odparł. - Może zastosujemy tę samą metodę, co

przeciwko Harskeel... ja przebiegnę tuż obok potwora, a kiedy zaczniesz mnie gonić, ty zaatakujesz go od tyłu.

- Dobry pomysł - zgodziła się pospiesznie.

Conan nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem. Tym razem już nie była taka chętna, by ściągać na siebie uwagę przeciwnika, pomyślał.

- Oczywiście, gdy tylko się ruszę, może zauważyć nas oboje. A wtedy prawdopodobnie wybierze nieruchomy posiłek...

Elashi w mgnieniu oka rozważyła ten wariant i odparła:

- Chociaż z drugiej strony obawiam się, że twój plan jest niedoskonały. Lepiej oboje

wyciągnijmy miecze i ruszmy prosto na potwora.

- Tak, lepsze to niż umrzeć jako sopel lodu. Gotowa?

- Jak zawsze. - Zatem do broni!

Gdy tylko Conan i Elashi dobyli mieczy, obserwująca ich bestia zerwała się na równe nogi,

strosząc sierść i głośno warcząc. Dwójka wojowników już rzucała się do ucieczki, kiedy nagle

usłyszeli jeszcze inny dźwięk.

- Tam są!

Conan spojrział przez ramię i zobaczył horde jeźdźców walących prosto na nich.

- Na Croma! A cóż to!

Elashi nie chciała wystawiać na próbę swojego szczęścia. Błyskawicznie uskoczyła w

kierunku prostopadłym do szlaku i ukryła się za gęstymi krzakami. Conan

zrozumiał, o co

chodzi. Powtórzył skok pustynnej kobiety i skulił się za roślinną osłoną na tyle szybko, by

zobaczyć jeszcze bestię pędzącą wielkimi susami prosto na nadjeżdżającą konnicę. Do niedźwiedzych ryków i pomruków dołączyły wkrótce wrzaski zaskoczonych ludzi i rżenie przerażonych koni.

Potwór skoczył, strącając trzech jeźdźców z wierzchowców, i jał rozszarpywać ich pazurami i potężnymi kłami, rozrywając ludzi równie łatwo jak wilk zająca.

Pozostali zaczęli

miotać swe piki, z których kilka trafiło potwora, raniąc go i rozwścieczając jeszcze bardziej.

Conan zauważył na tyłach kłębowiska ludzi i zwierząt nie kogo innego, tylko Harskeel we

własnej osobie, gestykulujące i wrzeszczące na swych ludzi.

- Myślę, że najlepiej byłoby się oddalić - zasugerował Conan, wskazując na bijatykę.

- Tym razem całkowicie się zgadzam. Oboje, zgodnie i szybko, zbiegli z pola walki.

Po dziesięciu minutach od miejsca bitwy, Conan i Elashi zwolnili nieco kroku.

- Myślę, że Harskeel będzie miał teraz pełne ręce roboty, opatrując swe rany - powiedział Conan. - Poza tym i tak nie mogliby za nami jechać w nocy. Zmrok zapadnie

lada chwila. Jak na razie jesteśmy bezpieczni.

Elashi kiwnęła głową.

- Harskeel chyba rzeczywiście traktuje cię jako głównego kandydata do realizacji swego

zaklęcia.

- Tak... ale kto wie? Być może rozważa również wykorzystanie ciebie. Wszak ty także

władasz mieczem.

Ta myśl kazała jej zatrzymać się i nieco przemyśleć.

- Będziemy szli w nocy - dodał Conan. - Nad ranem powinniśmy już zejść z gór, a wtedy ruszymy w dowolnym kierunku na płaskowyżu. Nie uda im się nas śledzić, jeśli

będziemy dobrze zacierać ślady.

- Zatem sądzisz, że jesteśmy już bezpieczni?

- Nie mam co do tego wątpliwości - odparł Conan, uśmiechając się.

I właśnie w tym momencie ziemia nagle otworzyła się pod ich stopami, wchłaniając

ich

niczym paszcza jakiejś gigantycznej bestii.

IV

Spadli około dziesięciu kroków w dół i wylądowali w lodowatej sadzawce - Conan chlupnął pod wodę, szybko docierając do dna, po czym odbił się i wypłynął na powierzchnię, zdając sobie sprawę, że może z łatwością stać, ponieważ woda sięgała mu ledwie do piersi.

Wkrótce ukazała się też głowa Elashi, ale, wrzeszcząc i krztusząc się, zanurzyła się znowu.

Najwyraźniej wychowanie na pustyni nie uwzględniało nauki pływania. Conan schwycił

jedną z jej dziko bijących wodę rąk i przyciągnął do siebie. Elashi natychmiast owinęła się

nogami wokół jego bioder i objęła go ciasno za szyję, bełkocząc coś niezrozumiale.

Cymmerianin rozejrzał się. Nieduża sadzawka zajmowała część czegoś, co najprawdopodobniej stanowiło korytarz w jaskini. Ściany tej skalnej rury były gładkie niczym

buzia niemowlęcia, a łukowate sklepienie bez żadnych występow uniemożliwiało wdrapanie

się na górę. Cymmerianie uczyli się wspinaczki natychmiast po opanowaniu sztuki chodzenia,

toteż jeśli jeden z nich nie znał sposobu wejścia na coś, znaczyło to, że jest ono po prostu

niewykonalne. Gdyby strop był nieco niżej, może mógłby podnieść Elashi i wypchnąć przez

dziurę, by zrzuciła mu z góry linę ze związanych ubrań lub pńczy. Tak, a gdyby jaszczury

miały skrzydła, to byłyby ptakami...

Gęstniejąca ciemność na dworze z każdą chwilą oferowała mniej światła. Lepiej żeby

wyleźli z tej lodowatej wody tak szybko, jak to tylko możliwe, pomyślał Conan. I żeby

znaleźli wyjście, zanim noc całkowicie spowieje świat. Zaczął brodzić w kierunku najbliższego

brzegu, nie zważając zbytnio na dodatkowe obciążenie w postaci Elashi.

- Na Croma!

Elashi odchyliła się, rozluźniając swój ciasny uścisk, by dojrzeć jego twarz.

- Co tam jest?

Conan nie odpowiedział, zamiast tego wskazując głową cienie w grocie. Elashi odwróciła

się nieco, chcąc zobaczyć, co tak zdziwiło Cymmerianina.

W zakamarkach jaskini mignęło jej szybko w zanikającym świetle kilka kształtów. Białe,

przykurczone kreatury, bliższe chyba małpom niż ludziom, nie nosiły żadnego odzienia poza

własnym obszarpanym futrem. W ich twarzach dominowały pokaźne nosy i usta, ale w miejscu, gdzie powinny być oczy, znajdowała się tylko skóra, ciasno naciągnięta na czaszkę.

Brak ten wydawały się nadrabiać olbrzymimi uszami.

- Na Mitrę! - wyszeptała Elashi.

Woda sięgała teraz Conanowi po kolana. Przyspieszył kroku, chcąc dotrzeć do brzegu,

zanim zrobią to te bezokie, białe istoty. Elashi rozluźniła chwyt na jego szyi i sięgnęła po

miecz. Conan również dobył broni, gdy tylko oboje znaleźli się na suchszej, ale i tak

wilgotnej kamiennej podłodze.

- Może są przyjaźnie nastawione - zaczęła Elashi. Jej głos nie brzmiał jednak zbyt

przekonywająco.

- Możliwe - odrzekł Conan - ale lepiej trzymajmy broń w pogotowiu, gdyby okazało się inaczej.

Z tym nie mogła się sprzeczać. Tymczasem ślepe istoty zbliżyły się do nich. Harskeel eksplodowało. Sześciu z jego ludzi nie żyło, dwóch właśnie umierało, a wśród pozostałych trzech było zbyt poważnie rannych, by kontynuować pościg. Tylko dziewięciu uszło bez zbytek szkody, po tym jak zasiekli piekielną bestię, która ich zaatakowała.

Barbarzyńca i kobieta uciekli. Noc doganiała już dzień, gdy Harskeel rozkazało swym ludziom rozbić obóz. Zaraza! Miało ich już prawie w garści! Teraz będą musieli czekać na pierwsze promienie słońca, a kto wie, czy zabity potwór nie miał towarzysza lub krewnych w tych górach? A Harskeel postawiłoby worek złota przeciwko kupie koziego łajna, zakładając się, że Conan z pewnością nie flirtuje teraz ze swą kobietą, czekając na pogoń. Na

Bezimiennego i wszystkie jego włochate sługi! Świadomość, że nic nie może na to poradzić, doprowadzała Harskeel do wściekłości.

Wikkel obluzowywał właśnie strop jaskini, chcąc zrobić kolejną zapadnię, kiedy jeden z

Albinosów wbiegł do groty w szalonym pędzie, potracając w poślizgu ciężką drabinę, na

której Wikkel z trudem utrzymywał równowagę.

- Idioto! - wrzasnął Wikkel, gdy drabina zakołysała się groźnie. Albinos zabełkotał coś

w swym dziwnym języku, znanym z konieczności także Wikkelowi, z uwagi na jego służbę u

Katamaya Reya.

- Co? Czego tam mamrociesz?

Istota powtórzyła swą niewyraźną wypowiedź i tym razem Wikkel zrozumiał jej sens.

Mężczyzna, którego szukali, wpadł do jednej z zapadni poniżej szczytu korytarza! Wikkel pospiesznie zszedł z drabiny. Sukces, i to tak wcześnie! Czarodziej będzie zadowolony.

- Macie go?

Albinos zapewnił Wikkela, że tak. Dziesięciu z jego braci okrzykło schwytanego mężczyznę i w tej chwili z pewnością niosą go do jednej z cel w głównej jaskini Albinosów.

- Dobrze, bardzo dobrze! - To rzekłszy, Wikkel pobiegł za Albinosem, by złapać swą ofiarę.

Deek słuchał opowieści jednego z brązowych, skórzastoskrzydłych nietoperzy, który

sfrunął ku pobliskiemu stalagmitowi. Deek nie ufał im zbyt, ponieważ były wyjątkowo

skore do zmiany frontu, w zależności od tego, kto oferował im większą zapłatę.

Obecnie

jednak te nietoperze wielkości sporej mały wydawały się chętne do współpracy z Chunthą...

po niezwykle hojnej ofercie w postaci przestrzeni lęgowej.

Deek podciągnął część swego cielska, która służyła mu do artykułowania słów, na twardą

skałę.

- Cz-czy j-j-jesteś p-pewien?

Nietoperz potwierdził.

- Para pełnych krwi ludzi wpadła do pułapki Jednookiego: jeden duży i z pewnością

smakowity, a drugi nieco mniejszy kasek.

Deek gwałtownie zakołysał ciałem w przód i w tył.

- C-co się z n-n-nimi s-s-stało?

Tego nietoperz nie był pewien.

- Raport obserwatora mówił, że dwa soczyste ssaki zostały otoczone przez dużą

bandę

Albinosów, zamierzających je schwytać.

- Z-zaraza!

Deek pospiesznie popełził wzdłuż korytarza. Jeśli Jednooki złapie ludzi, on zostanie pierwszym kandydatem do wapiennej jamy. Niezbyt przyjemna perspektywa. Musiał coś

zrobić, i to szybko! Nad większością tej okolicy panowały Tkaczki, może mógłby namówić je

do pomocy... To powinno przedłużyć jego istnienie. Bez mężczyzny, którego pożąda wiedźma, jego życie miało mniejszą wartość niż guano tego marnego, głupiego nietoperza!

Pierwsza z bezokich białych istot skoczyła - nie tak ostrożnie, jak może powinna.

Przekonawszy się w mgnieniu oka, iż nie był to objaw sympatii, Conan uskoczył i ciał

mieczem płasko, szerokim łukiem. Czubek ostrza dosięgnął boku kreatury, rozcinając ją

niemal na dwoje. Ciało przeleciało jeszcze obok Conana i utonęło w wodzie nieco za nim.

Krew, szkarłatna nawet w przyćmionym świetle, zabarwiła zimne fale rubinowym odcieniem.

Pozostali napastnicy poruszali się już znacznie ostrożniej. Gdy Conan skoczył naprzód,

oddali pola i poszli w rozsypkę, próbując okrażyć Cymmerianina i Elashi.

Wtedy Conan zauważył ciekawe zjawisko. Gdy światło na zewnątrz zgasło, zobaczył dziwny, zielonkawy blask bijący od ścian i stropu jaskini. Była to wprawdzie trupio blada i

przyćmiona światłość, ale dość jasna dla bystrych oczu Cymmerianina.

Otoczające ich istoty nie spieszyły się, by podzielić los swego świeżo przepołowionego

brata, toteż Conan stwierdził, że lepiej opuścić tę nieprzyjazną okolicę, dopóki jest po temu

okazja.

- Może mi jeszcze powiesz, jak chcesz to zrobić? Przelecieć nad nimi? - spytała Elashi.

- Nie - odrzekł Conan, silniej chwytając rękojęść miecza - nie nad nimi, lecz przez

nich. Tylko trzech blokuje nam drogę. Ty weź tego z prawej, a ja zajmę się pozostałymi

dwoma. Na mój znak, gotowa?

Elashi westchnęła, oblizała wargi i skinęła głową.

- Teraz!

Oboje rzucili się na trzy zaskoczone istoty. Ta od strony Elashi po prostu odwróciła się i

umknęła, podczas gdy obaj przeciwnicy Conana wydali z siebie przerażone krzyki i zderzyli

się ze sobą, próbując zejść mu z drogi. Rozległ się tępy trzask, kiedy ich czaszki uderzyły o

siebie. Upadli bez czucia i Conan przeskoczył nad nimi, by natychmiast znaleźć się tuż obok

biegnącej Elashi.

- To nie było takie trudne! - krzyknęła.

Conan zdołał mruknąć coś potwierdzającego, ale zachował resztę oddechu na szybką ucieczkę przed pozostałymi jazgoczącymi istotami - prosto w otchłań żarzących się tuneli.

Wikkel stał nad unoszącym się na wodzie ciałem i gapił się na nie. Mrugnął swym pojedynczym różowym okiem i odwrócił się ku dwóm Albinosom, siedzącym na zimnej podłodze i pocierającym wielkie guzy na głowach.

- Co stało się z ludźmi? - zapytał w końcu.

Oba Albinosy zabełkotały.

- To były potwory - rzekły.

- Rozszarpały jednego z naszych braci olbrzymimi pazurami. Słyszeliśmy, jak jęczy

powietrze, cięte ich ostrzami. Nas także chciały rozplatać. Staliśmy na ich drodze, a rzuciły się na nas i odepchnęły, jakby oganiały się od pajaków! Walczyliśmy dzielnie, lecz pokonała nas potężna siła potworów...

- Dość! - uciał Wikkel. - Pozwoliliście im uciec.

- Ale nasi bracia ich ścigają - odparli równocześnie.

- Módlcie się lepiej, żeby ich złapali - ostrzegł Wikkel. - Jeśli ci ludzie uciekną,

przyplączę to życiem. Ale zanim odejdę, zabiorę ze sobą was i tylu waszych braci, ilu tylko zdołam!

Niechaj spadnie na nich klątwa tysiąca demonów! Wikkel biegł tunelem, przez który

uciekli ludzie. Wiedział już, że wiedźma wysłała jednego ze swych tłustych robali, sunącego

tą samą drogą ku jego ofiarom. Jeśli mu nie przeszkodzi, spędzi resztę życia czekając na

klątwę czarodzieja, która zamieni go w rozpuszczoną galaretę. I z pewnością nie będzie długo

czekał, o nie! Koniecznie musiał schwytać mężczyznę, którego żądał Rey, nie miał innego

wyjścia.

Deek wpełzł do szerszej części tunelu i obserwował swymi ukrytymi ślepiami zwłoki

Albinosa podskakujące na powierzchni wody poniżej dużej dziury w stropie jaskini.

Nietoperz, z którym rozmawiał już wcześniej, zakręcił się i usiadł na martwym ciele, które

wkrótce zatoneło. Skrzydlaty wampir kwiknął i podleciał, by wylądować ponownie na brzegu

stawu.

- N-nie t-trudź s-s-się - rzucił Deek - j-jego k-k-krew j-już d-daw-no w-wyciekła.

- Cóż, zawsze lepszy mały łycecz niż sucha gęba - odparł sentencjonalnie nietoperz. -

Jeśli potężny Deek pomoże wyciągnąć kasek z wody, to może nietoperz powie mu coś ciekawego.

Potężny Deek aż zatrzęsł się z gniewu. Przez moment rozważał nawet ewentualność zrzucenia swych zwojów na nietoperza i zredukowania go do małej plamy krwi na podłodze.

Jednakże wizja wapiennej jamy ostudziła go. Podniósł ogon i mocno uderzył nim w powierzchnię wody tuż za ciałem martwego Albinosa. Rozpryskująca się woda wyrzuciła

zwłoki - i większość zawartości stawu - w powietrze. Gdy tylko martwa kreatura spadła na

ziemię, runął na nią żarłoczny nietoperz i wbił ostrą rurkę, przez którą się żywił, w stygnące

ciało.

- Ch-chciałeś coś p-p-powiedzieć? - skrobął podłogę Deek, nachylając się nad wampirem.

Ten wyrwał swą ociekającą krwią rurkę z ciała.

- Och, tak - odrzekł. - Ci ludzie, których chciał Deek? Właśnie uciekli Albinosom i

Jednookiemu. W tamtą stronę.

Deek nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Uciekli? To oznaczało, że jeszcze miał szansę

ich złapać! Ożywiony nową nadzieją, popęzł z pełną szybkością. Być może uniknie wapiennej jamy, nigdy nic nie wiadomo.

W swej komnacie Katamay Rey oczekiwał wieści o schwytanym mężczyźnie. Rozważał, czy nie nakazać Wikkelowi natychmiastowego zabicia go, zdecydował jednak, że mądrzej

będzie przesłuchać więźnia. W końcu przecież jedna osoba nie zdołałaby spowodować takiej

katastrofy, jaką czarodziej widział w swym kryształ. Bardziej prawdopodobne, że mężczyzna reprezentował innego maga albo jakąś armię. Lepiej zachować go żywego, by dowiedzieć się prawdy. Potem i tak może go zabić... Poza tym niektóre zaklęcia wymagały komponentów w postaci ludzkiej krwi i organów, toteż niewiele by się zmarnowało. Czarodziej uśmiechnął się na myśl o swej przebiegłości. Wkrótce ten drobny incydent przejdzie do historii, a on będzie mógł ponownie oddać się przyjemności spychania Tej Dziwki w zasłużone zapomnienie. Chuntha pieściła kamieniem snów, pełnym ognia rubinem, różne fragmenty swego ciała, jęcząc z rozkoszy, jaką jej dawał. Nie otrzymała wprawdzie odpowiedzi, kiedy Deek wróci ze schwytanymi ludźmi, ale dowiedziała się, że w grę wchodzi więcej niż jedna osoba. Chuntha dostrzegła rozmyte kształty innych, dwóch lub może nawet trzech. To źle wróżyło. Nawet jeden człowiek stwarzał wystarczająco dużo problemów. Musiała zadbać, żeby czarodziej się o tym nie dowiedział. Uśmiechnęła się w spowijającej ją chmurze cuchnącego fosforu. Centralną postacią był mężczyzna o wielkiej sile fizycznej, tyle powiedział jej kamień. Młody, silny, pełen wigoru i potężnej, surowej, męskiej energii stanowiłby smakowite danie po ostatnich miesiącach postu. Rozkosz z kimś takim, jak przepowiedział kamień, dałaby jej wiele mocy. Sensha owinęłaby ich swym uściskiem i życie mężczyzny przepłynęłoby w nią, fizycznie i duchowo. Zanosilo się na najbardziej ekscytujące spotkanie od dłuższego czasu. Chuntha nie mogła się już doczekać! Tymczasem Conan i Elashi pędzili wzdłuż korytarzy, znaczonych powyżej i poniżej skalnymi zębami, próbując zgubić prześladowców. Biegnąc, schodzili coraz bardziej pod ziemię. Powietrze wokół nich stawało się z każdą chwilą chłodniejsze. Wysoko nad nimi noc rozpościerała już nad światem swą ciemną pelerynę, ale nie miało to żadnego znaczenia w porośniętych grzybem głębinach jaskini, która wydawała się nie mieć końca.

V

Poranne słońce rzucało światło na górski szlak, ale jego jasne promienie dawały mało ciepła w czystym, zimowym powietrzu. Harskeel patrzyło z grzbietu swego konia, jak jeden z jego ludzi zagląda do dziury w ziemi. Dwóch innych trzymało jego stopy, podczas gdy tamten zwisał głową w głąb jaskini. Po chwili pomocnicy wyciągnęli go na górę. Wstał i spojrzał na Harskeel.

- Musi jest grota pode szlakiem, panie. Wielka. Ślad urywa się przy krawędzi dziury, musi oboje wpadli do środka. Całkiem długi upadek, tam na dół. Musi jest woda na dnie.

Harskeel uniosło się w siodle, przy akompaniamencie głośnego skrzypienia sztywnej skóry.

- Żadnego śladu po nich?

- Nie, panie.

- Czy to możliwe, że przeżyli taki upadek? Czy woda jest na to wystarczająco głęboka?

Mężczyzna potrząsnął głową:

- Nie wiem, panie.

Harskeel skinęło na dwóch ludzi z tyłu, pokazując oszczędnym gestem głowy na tego, z

którym rozmawiało, a nosem na jamę w ziemi. Zrozumieli. Zanim rozmówca zorientował się,

o co chodzi, gwardziści zbliżyli się i wepchnęli go do dziury. Potknął się i z wrzaskiem

przeleciał przez krawędź otworu. Dał się słyszeć plusk wody, a po chwili ostre przekleństwo.

- Hmm - zastanowiło się Harskeel. - Wygląda na to, że przeżyli upadek. Bardzo dobrze. Zatem zapewne jeszcze żyją. Zbudujemy drabiny i weźmiemy pochodnie. Oni są na dole, więc my też się tam znajdziemy.

Gwardziści wyglądali na zaniepokojonych tą sugestią, ale Harskeel to nie obchodziło.

Czuło się pewnie. Ten Conan miał dostarczyć mu składnik do zniesienia klątwy.

Och, być

znów dwojgiem...

- Pospieszcie się z tym! - rozkazało Harskeel.

Godzinę później prowizoryczna drabina dotknęła dna jaskini. Pozostawiając jednego

człowieka na straży koni, Harskeel i reszta jego oddziału zeszli do jamy.

Ślepi prześladowcy byli uparci, ale szybkością nie mogli równać się z Conanem i Elashi.

Pomimo że Cymmerianin i pustynna kobieta nie zgubili ich całkowicie, zyskali sporą

przewagę, biegnąc przez wijące się i kluczące korytarze jaskiń. Jak dotąd mieli dość

szczęścia, by nie wpaść w ślepy zaułek ani tunel tak wąski, że uniemożliwiałby przejście.

Jednakże po ostatnim zakręcie ich szczęście wydawało się kończyć. U wylotu korytarza

znajdowały się dwa przejścia. To z prawej zwężało się niemal natychmiast tak, że musieliby

się w nim czołgać. Droga w lewo wydawała się szersza, ale blokował ją grzmiący wodospad.

Ze względu na umiejętności pływackie Elashi, kierunek ten nie wróżył sukcesu.

- Lepiej cofnijmy się do ostatniego rozwidlenia - zaproponowała Elashi, zgodnie z

myślą Conana.

- Za późno - odparł. - Ziemia już drży pod ich stopami. - Dobył miecza. - Wygląda

na to, że musimy bronić się tutaj.

Elashi potrząsnęła głową i też wyciągnęła miecz. Razem z Conanem stanęła, ramię przy

ramieniu, oczekując na białe bestie.

- Tędy, tędy - usłyszeli nagle głos przekrzykujący huk wody.

Conan obrócił się, ale nie ujrzał nikogo.

- Tutaj - powtórzył głos.

Zezując w stronę korytarza po lewej, Conan ujrzał, ku swemu zdumieniu, rękę męczyzny

wystającą z wodospadu. Dłoń przywoływała ich gestem.

- Szybciej! - krzyknął głos.

Conan i Elashi spojrzeli na siebie. Nie mieli nic do stracenia. Mimo wszystko potężny

Cymmerianin podszedł do ryczącej ściany wodnej bardzo ostrożnie, przekonawszy się

najpierw, że głęboki basen pod wodospadem okalała wąska półka. Gdy tylko dotarł do

miejsca, skąd znów mógł widzieć rękę, skoczył przez wodospad z mieczem gotowym do

ciosu.

Za wodospadem, który okazał się płytszy, niż się wydawało, stał niski, krępy



mężczyzna

oświetlony zielonkawym blaskiem wszechobecnych grzybów. Wiekiem sięgał może pięćdziesiątki, nosił długą szarą brodę i splątane włosy, przykryte koślawym kapeluszem. Za

ubiór służyły mu przemoczone płócienne spodnie, koszula i proste sandały. W dłoni dzierzył

w gotowości długi nóż. Za nim widniał wysoki korytarz, ciągnący się daleko do przodu.

Elashi skoczyła zaraz za Conanem i stała teraz, ociekając wodą. Gdy tylko spojrzała w

górze, starszy człowiek pokazał ruchem głowy korytarz. Conan nie potrzebował specjalnej

zachęty. Podążyli za nieznanym, byle jak najdalej od wodospadu.

Za kolejnym zakrętem korytarza mężczyzna zatrzymał się.

- Te Albinosy nie usłyszą nas z powodu huku wodospadu, a poza tym nie wywęszą nic

przez wodę. Nie będą nas śledzić.

- Dziękujemy ci za pomoc - rzekł Conan.

- Zważ mnie Tull - odparł stary.

- Miło cię poznać, Tull, szczególnie w takiej chwili. Jam jest Conan z Cymmerii, a to

Elashi z Khauranu. - Cymmerianin zamilkł, po czym dodał: - Co to za miejsce, przyjacielu?

- Odpowiedź na to pytanie zajmie trochę czasu.

Conan rozejrzył się.

- Wygląda na to, że nic innego nam nie pozostało.

- Mam tu kryjówkę, niedaleko stąd - odparł Tull. - Może chodźmy tam, a wyjaśnię wam, co wiem.

Conan i Elashi kiwnęli głowami i ruszyli w ślad za Tullem.

Wikkel uskoczył przed ukruszonym stalaktytem, spadającym z niskiego stropu. Jego przewodnik Albinos zatrzymał się, przechylił głowę, po czym odwrócił się do cyklopa i coś

zabełkotał. Okazało się, że wracają jego bracia. Nadchodzili z głębi korytarza i powinni

zjawić się tu lada chwila.

Wikkel uśmiechnął się, odsłaniając grube, mocno osadzone zęby. To zadanie okazało się

łatwiejsze, niż przypuszczał. Za chwilę dotrą tu ślepe Albinosy - o, już ich widać! - i

przyniosą mu do stóp...

Nikogo!?

- Gdzie są ludzie?

Wódz Albinosów zaszurał stopami po podłodze.

- Było ich dwoje - wyjaśnił pospiesznie. - Jedno to kobieta, sądząc z zapachu. Ale

uciekli.

- Uciekli! - Wikkel wykrzyczał to słowo, jak gdyby było obrzydliwym przekleństwem.

- Otóż to. Przeniknęli przez skałę.

- Ludzie nie przenikają przez skały, ot tak sobie - odparł cyklop.

- No to w takim razie przeszli po wodzie - odparł wódz. - Może są czarodziejami.

- Pokażcie. Chcę to zobaczyć na własne oczy.

- Strata czasu - orzekł wódz Albinosów.

- To mój czas i mogę go tracić, kiedy chcę. - Tyle że jeżeli zdobycz rzeczywiście

uciekła, zostanie mi znacznie mniej czasu do zmarnowania, niż sądziłem. Znacznie mniej. To

myśląc, ruszył w ślad za Albinosami wzdłuż korytarza.

Nietoperz wylądował na skalnym wyłomie na wprost Deeka i zaczął drapać się zębami w

lewe skrzydło. Na widok nadchodzącego robala wyprężył się dumnie.

- J-j-jakieś w-wieści?

- Złe - odparł nietoperz. - Dwoje ludzi, z których jedno jest kobieta, jak zdołałem

podśluchać od tych bełkoczących ślepaków, uciekło. Zniknęli, rozplynęli się. Deek zastanowił się nad tym. Źle, że nie złapał jeszcze kobiety i mężczyzny, ale z drugiej strony dobrze, iż Jednooki też ich nie miał. Być może sprawa jest jeszcze do uratowania.

- Cz-czy j-j-jest inna d-droga do m-miejsca, s-s-skąd-d z-zniknęli l-ludzie? - to była

bardzo długa mowa do wskrobania w kamieniu.

Nietoperz pokazał, że tak.

- Prowadź zatem.

Katamay Rey coraz bardziej się niecierpliwił, czekając w swej komnacie na wieści o

schwytności mężczyzny. Przerzucił do góry nogami posiadaną kolekcję kryształów w poszukiwaniu małego błękitnego kamienia, używanego zwykle do komunikacji. Chciał odnaleźć swego cyklopa i poznać przyczyny opóźnienia.

Gdzie był ten przeklęty kryształ?

Chuntha wrzała z gniewu, czekając na raport swego sługi Deeka. Co mogło zatrzymać go

tak długo? Postanowiła dać mu jeszcze godzinę. Później spróbuje skontaktować się z nim we

śnie. Niecierpliwe napięcie rosło w niej z każdą chwilą, a nie należała do osób łatwo

znoszących oczekiwanie.

Kryjówką Tulla okazała się pokryta grzybem grotą, do której należało wspiąć się po

nierównej ścianie jaskini. Wąskie wejście przesłaniała płachta skóry przysypana dodatkowo

stertą kamieni, tak że zlewały się one niemal całkowicie z sąsiadującymi ścianami, pozostając

niezauważalne dla stojącego niżej obserwatora.

Wnętrze porastała gruba warstwa świecącego porostu, zapewniając bardzo jasne, niemal

pełne światło. Wyposażenie pomieszczenia stanowił mały stolik skonstruowany z rozmaitych

kości powiązanych ze sobą sznurami z kiszek. Na nim stał okazały kufel wykonany z czaszki

jakiegoś zwierzęcia. W rogu zaś leżała sterta futer, niechybnie służąca gospodarzowi za łożo.

Conan spostrzegł, że skóry te bardzo przypominały kształtem i kolorem futra Albinosów.

Ponadto leżały tam jeszcze inne, jakby ptasie, ale w szczerzym kolorze, tworząc razem

całkiem okazałą kolekcję.

- To miejsce nazywa się Grotterium Negrotus - zaczął Tull. - Czarne Groty.

Siedzę tu

już niemal pięć lat, jeśli dobrze się jeszcze orientuję.

- Jakże się tutaj znalazłeś? - spytała Elashi.

- Wpadłem przez dziurę w ziemi nad nami.

- Brzmi dość znajomo - zauważyła.

- Co za istoty nas zaatakowały? - chciał wiedzieć Conan.

- Ach, to ślepe Albinosy. Zwykle bratają się z Reyem.

- Z Reyem?

- A tak. Mamy tu na dole dwoje władców. Jednym jest Katamay Rey - czarodziej używający kryształów i innych kamieni do swej magii. Druga to wiedźma Chuntha.

Jej magia

związana jest bardziej z, yhmm... - zerknął na Elashi - ...yhm, jest raczej osobistej natury.

- Osobistej? - zainteresowała się Elashi.

Tull uczynił rękami gest, którego znaczenia nie sposób było błędnie odczytać.

Conan

wyszczерzył się w uśmiechu, na co Elashi spiorunowała go wzrokiem.

- No, w każdym razie oboje tłuką się ze sobą przez cały czas, odkąd tu jestem.

Według

tego, co zasłyszałem, walczą o władzę nad kompleksem jaskiń już od setek lat.

Zaangażowali w swój konflikt wszystkich rdzennych mieszkańców. Albinosów, których widzieliście, mięsożerne rośliny Tkaczki, nietoperze-wampiry, gigantyczne robale i garbatych cyklopów.

A dla urozmaicenia, od czasu do czasu wszyscy ci sprzymierzeńcy zmieniają front.

- Wygląda na świetne miejsce - stwierdziła Elashi głosem pełnym ironii. - W takim razie czemu tu siedzisz?

- Nie mogę się wydostać. Robale i cyklopi zamykają zapadnie niedługo po tym, jak ofiara wpadnie do środka. Przez pięć lat nie zdołałem znaleźć drogi ucieczki. Conan wlepił wzrok w Tulla. Pozostać tu na resztę życia? Niezbyt miła perspektywa.

- Jakoś sobie radzę - ciągnął Tull. - Nikt jeszcze nie znalazł mojej kryjówki, a Albinosy i nietoperze nie smakują tak źle, jeśli się tylko przyzwyczaić.

- Czy są tu jacyś inni ludzie?

Tull potrząsnął głową.

- Od czasu do czasu ktoś wleci przez jedną z zapadni. Jeśli złapie go Rey, zabija i tyle.

Jeżeli wpadną w ręce Chunthy, cały proces jest znacznie przyjemniejszy, sądząc z tego, co widziałem i słyszałem, ale niemal tak samo szybki i nieunikniony. Jeżeli już miałby mnie ktoś złapać, to wolałbym raczej ją niż jego, ale tymczasem unikam obojga, jak tylko mogę.

Conan przetrawił ten kęs informacji.

- Nie mam zamiaru doczekać końca swych dni w tej dziurze - oświadczył. - Będziemy musieli znaleźć drogę do wyjścia.

- Szukam już od pięciu lat i jak na razie żadnej nie znalazłem.

- Nie szkodzi, musi istnieć jakiś sposób.

- Radziłbym ostrożność - ostrzegł Tull. - Jeśli Albinosy wiedzą, że tu jesteście, wie też o was Rey, a prawie o wszystkim, o czym on wie, dowiaduje się też Chuntha. Będą was szukać.

Conan dotknął głowni swego miecza.

- Mogą jeszcze pożałować, gdy mnie znajdą - odparł.

Tull zerknął na jego miecz i na potężną budowę Cymmerianina.

- No cóż, możliwe. Ale bardziej prawdopodobne, że to ty pożałujesz. Jeden cyklop wart jest dwóch takich jak ty, a są ich wszak setki. A wielkie robale potrafią czasem wycisnąć powietrze z cyklopa, jeden na jednego.

Conan i Elashi spojrzeli po sobie.

- Może lepiej zacznijmy szukać wyjścia - zdecydowała Elashi.

Conan nic nie odrzekł, tylko skinął głową. Wiedźmy, czarodzieje i piekielne bestie z jaskiń nie pociągały go ani trochę. Im szybciej opuszczą to miejsce, tym bardziej go to ucieszy.

VI

Ogrom systemu jaskiń wywarł duże wrażenie na Harskeel, niepokojąc równocześnie jego ludzi. Trzymane przez nich pochodnie rzucały rozedrgany blask, który zlewał się z zielonkawą luminescencją emitowaną przez porośnięte grzybem, wilgotne ściany. Odnalezienie Conana i kobiety mogło okazać się znacznie trudniejsze, niż spodziewało się Harskeel. Ale co za różnica! Conan był tym, kogo szukało! Z każdą chwilą stawało się to bardziej pewne. Gdy tylko zdobędzie miecz barbarzyńcy, rozpocznie procedurę zaklęcia odwracającego to przeklęte połączenie. Magiczna inkantacja zapadła głęboko w pamięć

Harskeel, każde jej słowo, przejrzyste i jasne niczym wypalone gorącym żelazem w mózgu.

Nagle idący na przedzie krótko zaklął.

- Co jest? - zapytało Harskeel.

- Znów zgubiłem ślad, panie. Wygląda, jakby coś przeszło tędy za nimi i zatarło znaki.

Widzicie, panie?

Tropiciel zbliżył pochodnię do podłogi. Zasnęta sól i śluz zostały starte i wygładzone, zupełnie jakby coś szerokiego i ciężkiego sunęło zygzakiem po powierzchni. Ślad układał się w kształcie szerokiej litery S.

- Widziałeś kiedy takie ślady? - spytało Harskeel. Tropiciel potrząsnął głową.

- Nie, takich nie. Raz widziałem co prawda na pustyni ślady węża podobne do tych, ale

wszak nie ma węży takich rozmiarów - wskazał dłonią na podłogę.

Masz taką nadzieję, co? - pomyślało Harskeel. I ja ją mam. Byłoby dość trudno skutecznie wykorzystać Conana i jego miecz, po uprzednim wydobyciu ich z brzucha gigantycznego węża.

- Idziemy dalej tym korytarzem - rozkazało Harskeel.

Albinosy wysunęły się przed Wikkela i szybko pomaszerowały w stronę wodospadu. W ten sposób cyklop pozostał sam, gdy otrzymał wezwanie od swego mistrza. Ni z tego, ni z owego powietrze po jednej stronie tunelu zaczęło wirować i emanować purpurowym światłem. Rozległo się niskie buczenie, podobne do odgłosu wielkiego trzmiela, które powoli zaczęło narastać. Wikkel zatrzymał się, natychmiast rozpoznając źródło tego zjawiska.

Z purpurowej mgły dobiegł go głos Reya:

- CZY SCHWYTAŁEŚ MEŹCZYZNĘ, KTÓREGO ŻĄDAŁEM?

Wikkel przełknął sucho i odrzekł, ostrożnie dobierając słowa:

- Właśnie zdążam, by go pojmać, Mistrzu. Albinosy złapały go w pułapkę w dość odległym korytarzu.

- JAK DŁUGO JESZCZE POTRWA, ZANIM SPROWADZISZ GO DO MNIE?

- Och, to trudno przewidzieć, Mistrzu. Korytarz jest wszak nieco oddalony, jak rzekłem.

A twe komnaty, Mistrzu, są jeszcze dalej, jako że mężczyzna znajduje się w przeciwnym do nich kierunku.

- SPIESZ SIĘ, WIKKEL. NIENAWIDZĘ, BY MNIE ZMUSZANO DO CZEKANIA.

- Wróć, gdy tylko to będzie możliwe, Mistrzu.

Purpurowa mgła w powietrzu zawirowała i zbladła, pozostawiając cyklopa samego w przyciemnionym, zielonkawym blasku. Spróbował znowu przełknąć, ale jego usta okazały się zbyt suche dla tak prostego zadania. Kupił sobie trochę czasu tym kłamstwem... no, może nie do końca kłamstwem, lekkim koloryzowaniem. Ale lepiej będzie, jak się pospieszy, by to, co powiedział Reyowi, stało się prawdą, bo w przeciwnym razie...

Wizja własnej osoby jako kałuży galarety rozlanej na podłodze pobudziła cyklopa do działania. Przyspieszył kroku.

Myśląc, że zachowuje pełną świadomość, Deek miał sen. Leżał u stóp Chunthy, która górowała nad nim, dziesięciokrotnie większa niż zwykle.

- Gdzie są ludzie, których się domagałam? - zapytała.

Deek czuł spływający po całym ciele oleisty smar, spełniający u jego gatunku rolę potu.

- J-j-jeszcze n-nie d-dotarłem d-d-do nich, Pani. S-s-sa... j-jakaś ch-chwilę d-d-drogi s-stąd.

Chuntha powiększyła się jeszcze bardziej, przytłaczając wręcz Deeka. Pochyliła się i podniosła robala, zupełnie jakby się właśnie wyklął z jaja. Trzymała go w

dłoniach tak, jak to  
zwykle czyniła ze swą kościanarózdżką. Bez najmniejszego wysiłku mogłaby go  
teraz  
zgnieść na papkę.  
- Pospiesz się, Deek, bo się zniecierpliwię, a tego byś nie chciał. Zapewniam  
cię.  
Bez skały, na której mógłby skrobać, Deek był niemy, ale oczywiście, że tego nie  
chciał, o  
nie.  
Deek zbudził się i stwierdził, że nadal sunie do przodu jak poprzednio, a jego  
przewodnik,  
nietoperz, lata nad nim w tę i z powrotem. Gdyby tylko umiał, westchnąłby.  
Zamiast tego po  
prostu zwiększył prędkość.  
Conan wysłuchał historii Tulla z zainteresowaniem, ale za nic nie mógł  
zaakceptować  
wyboru starszego człowieka. A jeżeli mają kiedykolwiek znaleźć wyjście,  
najlepiej zacząć od  
razu. Tak też powiedział towarzyszom.  
Ku jego ponownemu zdumieniu, Elashi nie sprzeciwiła się.  
- Tak - rzekła. - Im szybciej damy nogę z tego miejsca, tym lepiej.  
Tull potrząsała głową i zwrócił się do Conana:  
- Po mojemu to głupota, chłopcze, ale nie pozwolę wam wałęsać się po jaskiniach  
bez  
mojej pomocy. A może uda się wam dokonać czego mnie nie było dane. Możecie  
liczyć na  
mój nóż. - To mówiąc, znacząco oparł dłoń na rękojeści sztyletu zatkniętego za  
pas.  
Conan uśmiechnął się. No, to rozumiem, pomyślał. Znacznie lepiej robić choćby  
cokolwiek, niż siedzieć i biernie oczekiwać zrzadzenia Losu.  
- Doskonale - orzekł. - Zatem chodźmy.  
Po czym opuścili grotę Tulla.  
Wikkel stał, gapiąc się na wodospad.  
- Jesteście pewni, że poszli właśnie tędy?  
Albinosy potwierdziły, iż tak było w istocie.  
Cyklop zadumał się na moment. Cóż, jeżeli oni tędy przeszli, to spróbuje i on.  
Zaczął  
brodzić w lodowatej wodzie. Dno opadało szybko, a woda podnosiła się, sięgając  
mu po kilku  
krokach do brody. Za głęboko, żeby ludzie mogli tu brodzić. Może przy brzegu  
byłoby  
płycej...?  
Faktycznie. Gdy Wikkel przesunął się w bok, dno wodospadu podniosło się w górę.  
Po  
chwili woda sięgała mu ledwie do kolan. Był to raczej ryzykowny spacer,  
zważywszy na  
huczącą ścianę wody tuż obok. Stawiał swe szerokie stopy na śliskim podłożu z  
największą  
ostrożnością. Zbiegowie z pewnością musieli uczynić podobnie, gdy przechodzili  
obok  
wodospadu.  
Wikkel poślizgnął się na wystającym kamieniu. Wpadłby niechybnie do głębokiego  
basenu, ale zamachał dziko rękami i, przeważywszy w stronę wodospadu, wleciał w  
niego...  
...i przez niego.  
No proszę! - pomyślał, wstając. Woda kryła inne pomieszczenie i tunel. Odwrócił  
się i  
wystawił głowę przez wodospad, który okazał się szeroką, ale cienką kaskadą.  
- Tędy, ślepi głupcy! - krzyknął. - Tędy poszli!  
Z płytkiej szczeliny w podłożu Deek obserwował, jak Jednooki najpierw zniknął w  
wodospadzie, by za chwilę wystawić głowę i krzyknąć coś do Albinosów.  
Akurat kiedy ostatnia istota przeszła przez grzmiącą wodę, nadleciał nietoperz i  
wylądował  
obok Deeka.

- W-wiedziałeś o-o t-tym?

Nietoperz potwierdził. Drugi koniec korytarza prowadził do komnat łęgowych nietoperzy, jeśli chodziło o ścisłość.

- Cz-czy j-j-jest i-inna d-droga d-d-do t-tych k-komnat?

- Oczywiście - odparł nietoperz. - Nie sądzisz chyba, że za każdym razem, gdy je opuszczamy, przelatujemy przez wodę, he?

- Zaprowadź mnie tam.

- Jak sobie chcesz - odparł znudzony nietoperz.

Sunąc za butnym nietoperzem, Deek odczuł lekki przypływ zadowolenia. Zdobycz nie będzie wracać tamtym korytarzem, nie z Jednookim i Albinosami blokującymi przejście.

Gdyby tylko zdołał dotrzeć do drugiego końca w odpowiednim czasie, mógłby ich wreszcie

schwytać. Z pomocą tłumu nietoperzy w jaskini łęgowej powinny się udać.

- Co leży na końcu tego tunelu? - spytał Conan.

Tull wskazał palcem:

- Z tej strony znajduje się jaskinia nietoperzy, w której się mnożą. Z przeciwnej jak już wiecie - wodospad.

- Czy uda się nam prześlizgnąć niezauważenie wśród nietoperzy? - zaniepokoiła się Elashi.

- Tak, panienko, jeśli przejdziemy cicho i ostrożnie. One tam głównie śpią, jeśli akurat się nie parzą.

- Chodźmy zatem - rzekł Conan. Mimo że był młodszy, jego ton brzmiał rozkazująco.

Potrafił żartować i swawolić z Elashi, gdy wędrowali na górskim szlaku, ale wobec

prawdziwego niebezpieczeństwa instynkty Cymmerianina brały górę. Wtedy uczestniczył w

jej gierkach, tylko gdy mu to odpowiadało.

Conan przejął prowadzenie, wysunąwszy się przed Elashi i Tulla. Dojście do jaskiń

łęgowych zajęło im niecałą godzinę. Gdy zbliżyli się do celu, Tull zatrzymał ich i rzekł

szeptem:

- Nietoperze nie widzą zbyt dobrze - zaczął - ale wyczuwają gwałtowniejsze ruchy.

Jeśli wyda wam się, że któryś was zauważył, zatrzymajcie się, a on ponownie zapadnie w sen.

Conan skinął głową, a Elashi powtórzyła jego ruch jak cień.

- Jest jeszcze jedna rzecz - ciągnął Tull. - Potrafią wyczuć krew nawet z dużej odległości. Jeśli macie gdzieś zadrapania lub rany, rzucają się na was jak muchy na łajno - bez

urazy, panienko - i będzie niewesoło. Cztery albo pięć z nich wystarczy, żeby wyssać

Albinosa w ciągu minuty, a w tej jaskini wiszą ich setki. Uważajcie, żeby nie zadrapać się o

ostre skały.

Conan obnażył miecz.

- Nie na wiele się to zda, gdy musisz stawić czoło całym setkom. - stwierdził Tull.

- Może i nie - odparł Conan. - Ale gdy przylecą spijać moją krew, drogo zapłacą swoją.

Tull postanowił nie sprzeczać się na ten temat i podażył za krocącym przodem barbarzyńcą.

Wikkel spytał:

- Czy wiecie, dokąd prowadzi ten tunel? - Zdał sobie sprawę z daremności tego pytania,

zanim jeszcze bełkoczące Albinosy zdołały wydobyć z siebie odpowiedź.

Oczywiście, że nie

wiedziały! Przecież nie zdawały sobie nawet sprawy z istnienia tego korytarza,

dopóki im go  
nie pokazał. No, to zaraz się przekonamy.  
- J-jak długo j-j-jeszcze?  
- Wkrótce tam dotrzemy - odparł rozmarzony nietoperz. - Czyż nie wyczuwasz  
cudownego aromatu komnat lęgowych?  
Owszem, Deek zdażył już wyczuć zgniły i zatęchły odór unoszący się w powietrzu,  
ale na  
szczęście nie zdażył na niego ponarzekać.  
- Ten gładki, zygzakowaty ślad skręca w tę stronę, panie.  
Harskeel kiwnęło głową. Miało wrażenie, że cokolwiek zostawiło takie ślady,  
zawiedzie  
ich wprost do Conana.  
- Trzymaj się tych znaków - rozkazało.  
Nietoperze były większe, niż Conan się spodziewał. Wisiały przyłączone do góry  
nogami  
do występów w stropie i ścianach wielkiej jaskini i szczelnie zawinięte w swe  
błoniaste  
skrzydła. Wyglądały raczej jak gigantyczne, spłaszczone i bezogoniaste szczury.  
Tu i ówdzie  
jakaś para była złączona ze sobą, ale większość z nich spała cicho i bez ruchu.  
Powoli, ostrożnie cała trójka przesuwała się przez grotę. Wszędzie dookoła  
leżały  
porozrzucane kamienie, czyniąc nader uciążliwym stąpanie pomiędzy tymi skalnymi  
szpikulcami i pazurami, czekającymi tylko, by dopaść nieostrożnego przechodnia.  
Tuzin lub więcej otworów prowadziło na zewnątrz jaskini - niektóre tuż nad  
poziomem  
podłogi, inne wyżej, wzdłuż świecących zielonych ścian. Trzy takie wyjścia  
leżały dokładnie  
naprzeciw miejsca, gdzie właśnie stali. Postanowili skierować się do środkowego  
z nich. Tull  
zauważył, że był to najszerszy i najdłuższy z okolicznych korytarzy, pełen  
różnych zaułków i  
zakrętów, w których można by się w razie potrzeby ukryć.  
Znajdowali się już w połowie drogi do celu, gdy pojawiło się nieszczęście. I,  
jak to zwykle  
bywa, niejedno.  
Za plecami usłyszeli głęboki głos:  
- Tam są! Brać ich!  
Conan zawirował w piruecie, dobywając miecza, i stanął w gotowości. Z tunelu,  
który  
właśnie opuścili, wypadło osiem albo dziesięć Albinosów, bełkocząc coś bez  
sensu. Zaraz za  
nimi dreptała jakaś istota, inna niż wszystkie, jakie do tej pory widział.  
Wzrostem  
przewyższała Conana o połowę, a na zgarbionym grzbiecie dźwigała głowę ozdobioną  
jednym wielkim, różowym okiem. Szurnęła naprzód równie szybko jak Albinosy,  
pomimo  
swej potężnej postury. Silne, pokryte splotami mięśni, koślawe ramiona  
rozzuciła szeroko,  
rozczapierając także palce, jak gdyby chciała schwytać w nie równocześnie  
wszystkich troje  
ludzi.  
Biegnący przodem Albinos wybrał sobie akurat ten moment, żeby się potknąć.  
Upadł, a  
pech skierował go wprost na wystający stalagmitowy pazur tak, że szpikulec  
przebił go na  
wylot.  
Jeśli odgłosy nadbiegających Albinosów nie zdołały do tej pory zbudzić  
nietoperzy, to  
buchająca z ciała Albinosa łamagi krew na pewno tak. Cały sufit jaskini nagle  
ożył.  
Ale to jeszcze nie wszystko. Za plecami Conana Tull nagle zaklął. Cymmerianin  
zerknął w  
tył i zobaczył pojedynczego nietoperza wylatującego z korytarza, a za nim

sunącego... na

Croma! Wielkiego, trupio bladego robala, grubego jak beczka! Bestia wiła się w poprzek kamiennej podłogi, sterując prosto na trójkę ludzi, którzy mogli się ledwie domyślać jej piekielnych zamiarów.

Gdy nietoperze zaczęły szybować w dół, skrzecząc i piszcząc wysokimi głosami, Albinosy jeły sięgać po leżące na podłodze kamienie i ciskać nimi w kierunku atakujących wampirów.

Pomimo że ślepe i zmuszone celować w źródła dźwięków, wykonywały rzuty nie mniej udane, niż gdyby miały oczy. Nietoperze padały bez czucia na ziemię, trafione skalnymi pociskami.

- Ludzi, łapcie ludzi! - darł się cyklop, a jego głos przeszedł w ryk. Jednakże Albinosy

miały teraz znacznie więcej na głowie niż słuchanie rozkazów jednookiej istoty. Jeden z nietoperzy nadleciał nad Conana i spotkał się ze świszczącym ostrzem jego

miecza. Z odciętym skrzydłem, skrzecząc przeciągle, nietoperz opadł w korkociagu na ziemię.

- Tam jest! - zawołał inny głos.

Conan spojrział w stronę źródła nowego zagrożenia. Z tunelu, z którego wypełził gigantyczny robal, wybiegło siedmiu, może ośmiu ludzi uzbrojonych w piki i dzierżących

pochodnie. Conan rozpoznał ich o uderzenie serca wcześniej, niż pojawił się ich wódz.

Harskeel!

Nietoperze również zauważyły nowych intruzów, bo blisko tuzin z nich rzucił się ze

wściekłym skrzekiem w ich kierunku. Gwardziści dźgali i próbowali ciąć latające kreatury pikami - bezskutecznie.

Nietoperze piszczały, Albinosy bełkotały, Harskeel i jego ludzie krzyczeli, cyklop ryczał, a

wielki robal skrobał skałę swym ciałem. W jaskini zapanowało istne pandemonium.

- Lepiej opuśćmy to miejsce! - krzyknął Tull, gdy Conan rozplątał kolejnego nietoperza, strącając go na ziemię.

Conan zamachnął się jeszcze raz, o włos chybiając innego nietoperza. Tak, to była

propozycja całkiem na miejscu.

VII

Wymknięcie się z opanowanej przez nietoperze jaskini okazało się trudniejsze, niż

przypuszczali. Zaledwie Conan zdążył zabić kolejnego nurkującego nietoperza, coś skoczyło

mu na plecy. Wykręcił się, ciskając jednego z Albinosów na ziemię. Elashi wykończyła

kreaturę ciosem swego miecza. Zabulgotała krew.

- Tędy! - krzyknął Tull.

Posuwając się po podłodze śliskiej od posoki, Conan i Elashi starali się podążać za

starszym człowiekiem.

Jeden z pikinierów zdołał zagrozić im drogę, nastawiając broń.

- Stać! - krzyknął, by zaraz dodać: - Urk! - gdy w tej samej chwili dopadły go nietoperz i Albinos.

Z tyłu za Conanem olbrzymi cyklop ryczał i robiąc użytek ze swych masywnych pięści,

roztrącał nimi jak młotami nietoperze, ludzi i Albinosy głupie na tyle, by wleźć mu w drogę.

Z lewej strony z kolei glistowaty robal podpełzał coraz bliżej, strzelając ogonem jak biczem w

ciągle rzucające się na niego Albinosy. Conan nigdy by nie przypuszczał, że tak



wielkie i  
ociężałe z pozoru cielsko może poruszać się z taką prędkością, roztrzacając  
małpowate istoty i  
rzucając nimi o ściany jak dziecięcymi laleczkami.  
Cymmerianin ciął mieczem jeszcze jednego nietoperza, opryskując przy okazji  
twarz  
Elashi jego ciepłą krwią.  
- Uważaj, co robisz! - wrzasnęła.  
Jednocześnie Tull zawołał:  
- Tutaj!  
Conan i pustynna kobieta zaczęli przedzierać się, korzystając z chwilowego  
przerzedzenia  
w szeregach wroga, w stronę tunelu, z którego wołał ich Tull. W następnej chwili  
byli w  
środku.  
Biegając korytarzem, Conan krzyknął:  
- Gdzie to prowadzi?  
- Czy to ważne? - odkrzyknęła Elashi. - Byle z dala od tej jatki!  
- Ten korytarz ma wiele zakrętów i odgałęzień - wyjaśnił Tull ze słyszalnym  
gwizdem  
w głosie. - Zgubimy w nim każdą pogoń.  
- Może w ogóle nie będą nas gonić.  
- Nie liczylibym na to, panienko. To uderzający przypadek, ale oni wszyscy wydają  
się  
ścigać ciebie i tego tu wielkoluda.  
- Wspaniale - wymamrotała Elashi - po prostu wspaniale.  
Harskeel bez wahania poświęciłoby życie wszystkich swych ludzi, gdyby tylko  
zdołało w  
ten sposób osiągnąć swój cel, ale nie było sensu rzucać ich na oczywistą rzeź  
bez żadnej  
korzyści. Korytarz, w którym zniknęli Conan i dziewczyna (i ten stary człowiek -  
a cóż to za  
jeden!?) znajdował się dokładnie po przeciwnej stronie jaskini wypełnionej  
dziwnymi  
istotami zajętyymi wzajemnym wyniszczeniem. Najlepiej byłoby się wycofać i  
przegrupować  
siły celem dalszej pogoni, pomyślało Harskeel.  
- Do mnie! - zabrzmiał rozkaz.  
Tylko czterech pikinierów zdołało go wykonać, a Harskeel, z krwawym mieczem w  
dłoni,  
wyprowadziło ich do najbliższego wyjścia. Po drodze zabrali ze sobą jednego z  
rannych  
nietoperzy, zamierzając go później przesłuchać, jeśli umiał mówić.  
Wikkel stał, przeszywając wzrokiem gigantycznego robala i ciężko oddychając z  
wysiłku.  
- Odwołaj swe nietoperze! - rozkazał obłej kreaturze.  
Deek wyciągnął się nieco i skrobnął częścią swego cielska w podłogę:  
- N-nakaż s-s-swoim Albinosom z-zaprzestać z-zabijania! Cyklop i robal stanęli  
naprzeciw siebie.  
- Pozwoliłeś im uciec!  
- J-ja?! To t-t-tyś ich w-w-ypuścił!  
Za Wikkelem jakiś Albinos wrzeszczał, walcząc o życie z trzema nietoperzami,  
które  
wbiły w niego swe ssące rurki.  
- My się tu kłócimy, a oni pędzą pewnie korytarzami, coraz bardziej się  
oddalając. Czy  
nie moglibyśmy się dogadać? Działajmy razem, w końcu jest już troje, jakoś ich  
między  
siebie podzielimy. Tylko najpierw ich złapmy. Wszyscy wyglądają tak samo... kto  
się  
zorientuje?  
Deek rozważał to przez chwilę. Tak, lepiej mieć Jednookiego w zasięgu wzroku.  
Poza tym  
w jego planie było sporo sensu... nie żeby zamierzał się z nim dzielić, gdyby

złapali ludzi, o  
nie. Ale temu zaradzi się później.

- Z-zgoda!

Wikkel powstrzymał uśmiech. Gdy tylko schwytają swe ofiary, rozgniecie robala wielką skałą i na tym się skończy. Tymczasem lepiej trzymać sługę wiedźmy na tyle blisko, by móc go obserwować.

- Chodźmy zatem - zaproponował.

- C-co z-z t-twoimi A-albinosami?

Wikkel obrócił głowę. Większość z nich już padła, kilka miotało jeszcze kamieniami w nadlatujące wampiry.

- Niech je zeżrą nietoperze, i tak wchodzą mi tylko w drogę.

- T-tak j-jak m-mnie n-nietoperze. Ch-chodźmy.

Deek ruszył szybko, ale ze zdwojoną uwagą obserwował Jednookiego. Wierzył mu nie bardziej niż w to, że mógłby latać jak nietoperz, czyli ani trochę.

Razem, cyklop i robal weszli do tunelu.

Tymczasem Rey aż kipiał z niecierpliwości w swej komnacie.

A Chuntha rozkwitała jak trujący porost, czekając w napięciu w swym łożu.

- Którędy teraz? - spytał Conan, gdy uciekinierzy dotarli do potrójnego rozwidlenia.

Tull podrapał się po brodzie:

- Nie wiem - wyznał. - Nigdy wcześniej tu nie byłem.

- Każda jest równie dobra - stwierdziła Elashi. - Idziemy środkową.

Zanim którykolwiek z mężczyzn zdołał coś powiedzieć, puściła się szybko w stronę wybranego korytarza. Tull spojrzał pytająco na Conana.

Ten wzruszył tylko ramionami.

- Taka już jest. Przekonałem się, że lepiej się z nianie sprzeczać. To oszczędza wiele czasu.

Obaj poszli w ślad za Elashi.

- Zwolnij trochę! - krzyknął za nią barbarzyńca. Była już z dziesięć kroków przed nim i prawie biegła.

- Co, nie nadażasz, Cymmerianinie? - odkrzyknęła.

- Nie, chodzi o to, że...

Nie dokończył, gdyż przerwał mu nagły wrzask Elashi. Zniknęła im nieoczekiwanie z

oczu, a niemal natychmiast po tym usłyszeli głośny plusk. Conan przyspieszył i wpadł w

poślizg, próbując zatrzymać się na wilgotnej skale, dosłownie o włos od miejsca, z którego

spadła pustynna kobieta.

Znalazł się na skraju największej jak do tej pory jaskini, na wąskim pasie gruntu

wcinającego się w olbrzymie jezioro. Nie widział przeciwległego brzegu w szybko blednącym świetle grzybów, ponieważ wodę oświetlał jedynie strop, jakieś dziesięć kroków

nad ich głowami.

U stóp Conana Elashi podniosła się właśnie z wody, która sięgała jej teraz tylko do pasa.

Conan uśmiechnął się do niej szeroko:

- Nadażam, owszem. Chodzi o to, że nie znamy tych korytarzy i możemy wpaść na coś

nieoczekiwanego - wyjaśnił.

- Nienawidzę cię! - warknęła Elashi.

Tull zatrzymał się z poślizgiem obok nich, przechylił się, zamachał rękami i niechybnie

spadłby, gdyby nie pewny chwyt muskularnej ręki.

- Uważaj! - doradził Conan.

Tull skinął głową, odzyskując oddech.

- Bezsłoneczne Morze.

- Znasz to miejsce?

- Widziałem je kiedyś z innego miejsca. - Do Elashi zaś dodał: - Lepiej wyłaź z wody,  
panienko. Mieszkają w niej pewne zwierzęta, które...  
Cokolwiek Tull zamierzał dopowiedzieć, zostało zagłuszone głośnym chlupotem, gdy Elashi pospiesznie wyskakiwała z wody. Po lewej stronie znajdowało się coś w rodzaju małej  
plaży, w odległości może czterech kroków. Elashi potrzebowała mniej niż cztery uderzenia  
serca, by się tam dostać. Odetchnęła z ulgą na tym kawałku suchego piasku. Od wylotu  
korytarza wiodła tutaj wzdłuż ściany wąska półka skalna, którą zeszli na brzeg Conan i Tull.  
Elashi zaczęła zdejmować ubranie i wykręcać je z wysiłkiem.  
- Daj mi swój płaszcz - powiedziała Conanowi, z trudem powstrzymującemu się od głupich uśmieszków, gdy obserwował jej zabiegi. Należał jej się ten upadek, ale chyba lepiej,  
żeby o tym nie wspominał. Owinęła się w płaszcz, niemal równie wilgotny jak jej własne  
ubranie.  
- Mówże - zaczął Conan - co wiesz o tym morzu?  
- Niewiele - odrzekł Tull - Wiem, że rozszerza się w tym miejscu, a w innych zwęża  
do szerokości małej rzeczki. Pewnie ciągnie się przez całe mile, chociaż jest to raczej  
olbrzymie jezioro niż morze - woda nie jest słona. Dowiedziałem się tego od jednego  
Albinosa, którego kiedyś złapałem.  
- Mów dalej - ponaglił go Conan.  
- Nikt nie wie na pewno, gdzie kończy się to morze, ale możliwe, że w końcu wypływa  
na powierzchnię.  
Conan wpatrzył się w spokojną wodę.  
- To wystarczający powód, żeby tędy podażyć.  
- Bo mamy wszak statek i wioślarzy - wtrąciła się Elashi. Z nutą sarkazmu, jak zwykle.  
- To wcale nie jest wykluczone - zastanowił się Tull - w pewnym sensie.  
- Jak to? - spytał Conan.  
- W tej wodzie żyją różne stworzenia, a wśród nich wielkie wasate ryby. Olbrzymie jak  
dom, jeśli wierzyć relacji Albinosa.  
- I co z tego?  
- W młodości dużo łowiłem w wielkich rzekach na zachodzie - ciągnął Tull. - Te denne ryby mają wewnątrz duże pęcherze wypełnione powietrzem. Gdy umierają, przez jakiś  
czas unoszą się na wodzie. Złowiwszy taką rybę, moglibyśmy zrobić tratwę, a kości i płetw  
użylibyśmy jako wiosła.  
- Wszystko bardzo pięknie - zauważyła Elashi - ale jak chcecie złapać taką potworną  
rybę?  
- Mamy wasze miecze i mój nóż - odparł Tull. - Pewnie zadany cios we właściwe miejsce powinien załatwić sprawę.  
- A jak zwabimy tę rybę do miejsca, gdzie moglibyśmy ją zabić? - kontynuowała Elashi, nadal niezbyt przekonana. - Nie mamy przecież przynęty.  
Conan i Tull wymienili spojrzenia, po czym wyszczerzyli się do niej w uśmiechu. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o pustynnej kobiecie, z pewnością potrafiła myśleć.  
- Ha! Obaj chyba powariowaliście!  
- Inny wybór, to zostać tutaj na zawsze i czekać na robale, nietoperze, Albinosy i cyklopy  
- zauważył Conan. - Nie wspominając już czarodzieja i wiedźmy.  
- W takim razie niech jeden z was będzie przynętą!  
- Ja jestem rybakiem i muszę wypatrywać ryby - odparł Tull.  
- A ja jestem znacznie lepszym szermierzem niż ty - dodał Conan. - Czy sądzisz,

że

zdołałabyś zabić rybę wielką jak dom tą twoją igielką?

- Nie zrobię tego, nie ma mowy - zaprotestowała Elashi. - Chyba obaj upadliście na

głowę i wyleciały wam te wasze skarłate mózgi!

Tull naszkicował kształt ryby na mokrym piasku nad wodą.

- Musisz uderzyć mieczem tutaj - powiedział, pokazując punkt zaraz za głową - pod

takim kątem, żeby przeciąć gruby nerw w kręgosłupie, o tak.

Conan przytaknął.

- Mięso jest miękkie, kość również, ale musisz zadać potężny cios, pewnie aż po jelec.

Conan znowu kiwnął głową. Tull wstał i otrzepał piasek z dłoni.

- Nieco dalej, o tam, wypatrzyłem dogodne miejsce. Widzisz tę skalną iglicę tuż nad

wodą?

- Tak, widzę.

- Jeśli panienska przepłynie pod spodem, będziesz w doskonałej pozycji do ciosu, gdy

ryba przesunie się obok.

Słyszac to Elashi zaśmiała się.

- Ech, szkoda! Tak bardzo chciałam wziąć udział w tym szalonym planie, ale patrz,

niestety, nie umiem pływać. Spytaj Conana, on wie. To tyle, jeśli chodzi o wasz plan.

- Nie musisz pływać - odparł Tull. - Będziesz zwisać z iglicy przywiązana pasami.

Zrobimy je zaraz z twojego płaszczka, Conanie.

- Ale... ale... - zaczęła.

- ...to tyle, jeśli chodzi o twoje sprzeciw - dokończył Conan.

Przygotowanie wszystkiego zabrało im mniej niż godzinę. Elashi zawisła na skale, dotykając stopami wody. Tull kazał jej machać nogami, żeby nieco wzburzyć wodę.

Powyżej

stał Conan, z obnażonym mieczem trzymanym oburącz ostrzem w dół, gotowy w każdej

chwili zadać decydujący cios. Tull obserwował wodę.

- Jeśli pozwolisz rybce zjeść mnie, nigdy ci tego nie wybaczę, Conanie. Będę się za toba

włóczyć po Szarych Krainach przez tysiąc lat i postaram się, żebyś tego pożałował,

przysięgam.

Conan zastanowił się chwilę nad taką perspektywą i uznał ją za wyjątkowo nieprzyjemną.

Być dręczonym przez kaśliwy kobiecy język po wsze czasy, to rzeczywiście piekielna wizja.

Crom z pewnością nie ukarałby tak żadnego grzesznika.

- Spójrz tam - wskazał palcem Tull.

Conan powiódł wzrokiem w tym kierunku. Wydawało mu się, że jedna z fal zbliża się do

nich.

- Nie widać żadnej ryby.

- Ale widać wodę, w której płynie. Zanim podpłynie, będzie musiała wysunąć się wyżej.

Za moment... o, jest!

Coś cienkiego i kolczastego przebiło powierzchnię wody.

- To płetwa grzbietowa! - krzyknął Tull. - Szykuj się, chłopcze! - Do Elashi zaś dodał: - Wyciągnę cię, gdy podpłynie dostatecznie blisko!

- Lepiej żebyś to zrobił! - ostrzegła Elashi.

- Na Mitrę, ale olbrzymia! - krzyknął Tull. - Można by nią wyżywić całą wioskę przez

miesiąc!

- Czy nie powinieneś mnie już wyciągać?

- Jeszcze chwileczkę. Conanie?

- Jestem gotów. - Cymmerianin odetchnął głęboko i wzmocnił odwrotny chwyt na

rękojeści miecza. Oto nadpływał potwór, coraz bliżej i bliżej...

- W górę, panienko! - Tull jął ciągnąć podwójne pasy tkaniny utrzymujące Elashi nad powierzchnią. Podniosła się może o krok...

...gdy pas z lewej strony puścił. Trzask pękającego materiału złał się z wrzaskiem dziewczyny, która zawisała, trzymając się kurczowo pozostałego pasa, niemalże podcinając nagłym szarpnięciem Tulla na jego stanowisku.

- Na dupę Mitry! - zaklął Tull i zaczął gorączkowo wciągać Elashi z powrotem. Zbyt wolno. Za chwilę ryba byłaby już o krok od "przynęty", a wtedy...

Elashi wykonała podrzut i jak mała zaczęła wspinać się po zaimprovizowanej linie. Gdy dotarła wreszcie do końca trzymanego przez Tulla, nie zatrzymała się, tylko przeszła po nim, byle dalej od miejsca, gdzie przed chwilą wisiała, a gdzie ryba zdażyła właśnie dopłynąć.

Wydając jakiś nieartykułowany okrzyk, Conan rzucił się z iglicy na potwora. Wylądował na szeroko rozstawionych nogach i z całej siły wbił miecz w grzbiet ryby. Potężne mięśnie jego klatki piersiowej i brzucha napięły się, a ramiona wygięły w dwa potężne łuki, gdy wrażał błękitną stal aż po jelec w gumowate cielsko. Zdobył się nawet na uśmiech. No, całkiem łatwo poszło.

Ryba szarpnęła się, zrzucając barbarzyńcę z grzbietu z taką łatwością, z jaką oszalały koń zrzuciłby beznogiego jeźdźca. Conan grzmotnął w wodę i został zakryty przez nagle wzburzone fale. Rybi ogon tłukł w powierzchnię wody tuż obok miejsca, gdzie się wynurzył, niemal go trafiając. Impet uderzeń miotał wojownikiem jak drewnianą drzazgą w rzeczonym wirze.

Pomimo rozszalałej wody Conan zdołał jednak zorientować się w sytuacji i zaczął płynąć do brzegu. Osiągnął podstawę skalnej iglicy, na której stali Tull i Elashi, i wspiał się na nią pośpiesznie.

Tymczasem zmagania potwora traciły powoli na intensywności, dowodząc skuteczności ciosu Conana. Po chwili wielka bestia przestała drgać. Martwe rybie cielsko wypłynęło wolno na wierzch, przewracając się na bok i odsłaniając ociekające wodą łuski wielkości dużych talerzy.

Conan uśmiechnął się do Elashi:

- Oto nasza łódź. Dziewczyna zmarszczyła nos.

- Już teraz potwornie cuchnie, a co będzie za kilka dni - nie chcę nawet myśleć.

Smród sięgnie aż na koniec świata.

Tull i Conan spojrzeli po sobie. Niektórzy wszędzie wynajdą jakieś wady. Daj im skrzynię pełną złota, a zaczną narzekać na ciężar, który muszą targać.

VIII

- M-mamy ich! - powiedział Deek, kiedy zatrzymali się i mógł skrobać w skałę. Równoczesne poruszanie się i mówienie leżało poza zasięgiem jego gatunku.

- Jakże to? Nie widzę tu nikogo prócz nas.

- T-ten k-k-korytarz p-prowadzi do B-bezślonecznego M-m-morza.

- Ach tak. - Chociaż Wikkel rzadko odwiedzał ten rejon rozległego systemu Czarnych Jaskiń, wiedza na temat olbrzymiego podziemnego jeziora nie była mu obca. -

Zatem są w pułapce.

- N-na t-to w-w-wygląda.

- W takim razie możemy zwolnić. Pewien jestem, że uda nam się schwytać i uwięzić troje słabych ludzików.

- B-bez w-wątpienia.

Zakłęcie komunikacyjne Reya miało swoje ograniczenia. Wikkel albo wyszedł poza jego

zasięg, albo nie żył, choć to drugie było raczej mniej prawdopodobne. Tak czy inaczej nie

służyło to planom czarodzieja. Jeśli zbiegowie zdołali w jakiś sposób zwieść cyklopa do tego

stopnia, że musiał wyjść dalej niż sięga magia Reya, to bardzo źle. Jeżeli zaś Wikkel był w

jakiś sposób niedysponowany i nie mógł odpowiedzieć na wezwanie, to też niedobrze. Ani

przez chwilę bowiem mag nie wziął pod uwagę możliwości, iż sługa zignorowałby jego

rozkaz. I chociaż obie powyższe możliwości były nie do zaakceptowania, jedna z nich

musiała faktycznie mieć miejsce.

Katamay Rey skierował się do kufra z posortowanymi utensyliami magicznymi i zaczął w

nim szperać. Trudna rada, w tej sytuacji musiał zebrać wszystkie siły i środki, by zająć się

sprawą osobiście. Znajdzie Wikkela albo barbarzyńcę, albo nawet ich obu.

Niech to! Dlaczego kluczowe sprawy zawsze wymagały jego obecności? Czy musi sam pilnować wszystkiego dookoła?!

Cierpliwość Chunthy skończyła się. Jej pełzający sługa znalazł się poza zasięgiem snów,

niech go szlag! Kto wie, co za pech przytrafił się Deekowi? Ten mężczyzna - duży, silny,

przystojny, pełen wigoru mężczyzna - może właśnie teraz, gdy leży nie zaspokojona w

swym łożu, uciekać z jej objęć.

Nie, to się musi skończyć.

Westchnęła ciężko. Powinna była już dawno wiedzieć, że nie wysłała się robala do roboty,

którą powinna wykonać wiedźma. Wydawało się to takie łatwe, po prostu złapać człowieka i

sprowadzić do niej, ale nie. Na Kosmaty Wzgórek Demonicznej Senshy! Jakiś złośliwy los

postanowił pozbawić ją tego, co się jej należy. Może czarodziej miał z tym coś wspólnego?

Niezbyt pocieszająca myśl.

Chuntha uniosła swe nagie ciało z miękkiego łoża i podeszła do pokaźnej kolekcji magicznych przedmiotów. Bardzo dobrze. Nie zawsze była władczynią-domatorką, o nie.

Pójdzie i schwyta sama mężczyznę. A jeśli Deek będzie jeszcze żył, sprawi, żeby cierpiał za

jej dodatkowe wysiłki.

Ślepy Albinos odpowiadał na pytania Harskeel głosem przypominającym krzyki torturowanej małpy. Na szczęście jeden z gwardzistów znał górski dialekt, który okazał się

wystarczająco podobny, by mogli zrozumieć coś z urywanych i bełkotliwych zeznań kreatury.

- Interesuje mnie tylko jeden mężczyzna zwany Conanem - powiedziało Harskeel. - Spytaj go.

Pikinier uczynił, jak mu rozkazano.

Istota wydała z siebie wiązkę bełkotliwych wrzasków.

- Panie, on mówi, że był jakiś duży człowiek, a on i jego bracia zostali wysłani, by go

schwytać.

- Spytaj, kto ich wysłał. Usłyszeli jeszcze więcej bełkotów.

- Mówi, że pracuje dla jednookiego potwora, który z kolei służy czarodziejowi z jaskiń.  
Harskeel potrząsnęło głową. Wchodzenie w drogę czarodziejom nie było bezpieczną zabawą. Nic jednak nie mogło na to poradzić.  
Gdy wyciągnęli z Albinosa dość informacji, Harskeel dobyło miecza i wymierzyło krótki, ale silny cios w kark istoty. Ostra jak brzytwa stal zetknęła się z ciałem, a zaskoczony krzyk zamarł, zanim się jeszcze zdążył w pełni urodzić. Odcięta głowa spadła na ziemię i znacząc swój ślad krwią, potoczyła się po podłodze.  
Ta sprawa została zakończona.  
Wiodąc swych ocalałych gwardzistów, Harskeel ruszyło dalej.  
Za pomocą noża Tulla i swego miecza Conan wyciosał kilka niewielkich wgłębień w ciele ryby, tak by mogły im posłużyć za schody i ławki wioślarskie. Parze żebrowatych kości nadali, wykorzystawszy kilka płetw i nici ze zniszczonego płaszcza Conana, wygląd improwizowanych wiosł, którymi zamierzali napędzać tę żywą jeszcze niedawno tratwę.  
Odciał również kilka mniejszych kawałków mięsa nadającego się do jedzenia, choć ani on, ani Elashi nie przepadali zbyt za surową rybą.  
- Hej, popatrzcie tylko - ucieszył się Tull.  
Mówiąc to, obszarpany mężczyzna zlaźł z ciała ryby (obecnie będącej tratwą) i rozchlapując wodę zeskoczył na brzeg. Po chwili powrócił, trzymając żółtawy grzybek, który znalazł przy ścianie jaskini. Następnie wziął do ręki kawał rybiego mięsa i wycisnął nań zawartość grzybka. Sok spłynął na przezroczystą rybę i mięso natychmiast straciło przejrzystość.  
Wrażliwy nos Conana wyczuł kwaśną nutę w zapachu grzybka i poinformował o tym Tulla.  
- Tak - odparł tamten - sok tego szczególnego muchomora nie jest szkodliwy, ale "gotuje" rybę. Za kilka minut będzie gotowa, zupełnie jakbyśmy upiekli ją na rożnie.  
Conan nie bardzo wierzył w moc soku z grzybka, lecz jego obawy rozwiął smak ryby, kiedy Tull stwierdził, że czas już podawać do stołu. Mięso okazało się przepyszne! Jako że był to ich pierwszy posiłek od dłuższego czasu, Cymmerianin i Elashi zabrali się do jedzenia z olbrzymim zapalem, pożerając rybie filety wielkimi kęsami i łapczywie wypychając nimi usta.  
Nieco później, z uczuciem sytości, Conan zażartował:  
- Nie zdziwiłbym się, gdyby jakieś grzybki na ścianach tej jaskini miały nam teraz posłużyć za wino. Czy też może zbyt dużo wymagam?  
Tull zachichotał.  
- Dobrze by było, chłopcze, ale niestety. Wprawdzie widziałem tu pewne grzybki, które po zjedzeniu wywołują wizje, ale za to cuchną podle i równie dobrze zapewniają człowiekowi nieziemskie sny, jak i nieziemskie rzyganie.  
- Dziękuję, nie skorzystam - odrzekł Conan.  
Elashi zeszła po schodach wyrąbanych w cielsku potwornej ryby i myła właśnie ręce w wodzie. Uporała się z tym wyjątkowo szybko, mając stale na uwadze żyjące w jeziorze stwory, o których wspominał Tull.  
- No - rzuciła, wdrapując się z powrotem na grzbiet ryby, gdzie Conan i Tull

odpoczywali po obfitym posiłku - jak tam? Gotowi do wyruszenia w tę cokolwiek niezwykłą podróż?

Conan pokiwał głową, wstał i przeciągnął się.

- Taaak, czemu nie? - Stawy i ścięgna zatrzeszczały, gdy wymachiwał ramionami w przód i w tył, by je rozruszać.

Wreszcie złapał jedno z wiosł, drugie zostawiając dla Tulla. Obaj podeszli do brzegów ich rybiej łodzi i stanęli przy prowizorycznych dulkach wykrojonych w cielsku potwora.

Cymmerianin spojrzał pytająco na Tulla, a gdy otrzymał odpowiedź skinieniem głowy, obaj mężczyźni zanurzyli wiosła w wodzie.

Z wolna i niechętnie martwa ryba ruszyła do przodu.

Może nie był to najlepszy środek transportu, ale gdy już nabrała pędu, ryba cięła swym opasłym brzuchem spokojne fale jeziora całkiem sprawnie. Prądy wodne, jeśli jakiegokolwiek istniały, nie wpływały zasadniczo na kierunek, a z głębin nie wypłynęło nic, co mogło ich zatrzymać. Płynęli zatem bez przeszkód.

W krótki czasie miejsce, z którego odpłynęli, spowiły ciemności. Wysokość stropu jaskini zmieniała się po drodze, opadając lub wznosząc się znacznie, a ściany po bokach w szczególności szerokich miejscach znikają im zupełnie z oczu. Równie dobrze mogliby podróżować po jeziorze w księżycową noc, gdyby pominąć fakt, że światło tutaj było zdecydowanie zielonkawe i nie dało się wyczuć żadnego podmuchu ani usłyszeć grania cykad. Słyszeli jedynie plusk wiosł, rytmicznie zanurzanych w wodę, z okazjonalnym akompaniamentem głośniego burczenia z martwego wnętrza rozkładającej się ryby.

Conanowi zdarzało się bywać w przyjemniejszych miejscach, ale mimo wszystko mógł przecież skończyć znacznie gorzej. Miał dobrych przyjaciół, pełen brzuch i zdrowe ciało.

Miecz spoczywał, ostry jak brzytwa, w pochwie, a najbliższa przyszłość nie wróżyła braku jedzenia. Fakt, Crom nie obdarował go wielkim, wysadzonym złotem i drogimi kamieniami galeonem, ale zawsze był to jakiś środek transportu, mimo że nieco śliski, a ponadto zabezpieczał ich przed nagłym atakiem. Ktokolwiek spróbowałby podążać za nimi, niechybnie skończyłby jako przekąska w brzuchu potwora podobnego do tego, na którym właśnie stali. Zdał sobie z tego sprawę z przyjemnością. Lube ciepło ogarniało jego ciało, a wysiłek przy wiosłowaniu dawał miłe uczucie, wyciskając z niego porządne poty.

Zaiste, wcale nie było tak źle.

Co zaś się tyczy przyszłości? Cóż, tym się zbytnio nie kłopotał. Lepiej żyć chwilą, a przyszłością martwić się, gdy będzie już jasna. Inaczej człowiek spędziłby całe życie, martwiąc się rzeczami, które może nigdy nie nastąpią. Takie troski mogłyby służyć chyba tylko marnotrawieniu w głupi sposób przeznaczonego każdemu czasu. Nawet żegluga wielką rybą po podziemnym jeziorze, oświetlanym jedynie przez blask fluorescencyjnych grzybów, była o niebo lepsza niż to, czemu stawiali czoło zaledwie kilka godzin temu.

Nadal żyli, a to najważniejsze. Wszystkim innym można się zająć, gdy przyjdzie pora.

Uśmiechając się pod nosem, Conan pociągnął za zanurzone w spokojnej wodzie



wiosło.

- B-bądź g-gotów - zaskrobał cichutko Deek. - Z-zbliżamy s-s-się d-do b-brzegu morza.

Wikkel skinął głową, zakładając, że cokolwiek służyło robalowi za oczy, zauważyło ten

gest. Wyłamał z trzaskiem palce i ruszył naprzód.

- U-uważaj - ostrzegł Deek - w-wygląda n-na to, ż-że p-przed nami j-jest j-jakiś d-d-  
dół...

Ostrzeżenie okazało się niepotrzebne. Wikkel zachwiał się na krawędzi, ale utrzymał

równowagę i rozejrzał się po ciemnej wodzie poniżej. Szybko zamiótł swym wielkim okiem

tam i z powrotem.

- Nie widzę żadnych znaków po nich.

- N-niem-możliwe. N-niech no z-z-zerknę.

Deek podpełzł bliżej i pokiwał głową.

- Jedynie głupiec próbowałby w tym pływać - zauważył Wikkel. - Czyżby mieli łódź?

- R-raczej n-nie - odparł Deek.

- Cóż, jeśli nie wskoczyli do wody i nie utonęli, to przypuszczam, że zdobyli jakiś rodzaj

transportu.

- N-na t-t-to w-wygląda, s-spójrz!

Wikkel zwrócił głowę mniej więcej w kierunku, który, jak się wydawało,

"pokazywał"

Deek. Zobaczył jakieś porozrzucane na plaży krótkie ości i szmaty. Podeszedł bliżej po skalnej

półce, a robal sunął powoli tuż za nim.

Po dokładniejszym zbadaniu śmieci okazało się, że cyklop miał rację. Na ziemi leżały

kawałki chrzestnej i elastycznej kości - świeże i prawdopodobnie pochodzące z ryby - oraz

strzępy podartego materiału.

- W jakiś sposób skonstruowali łódź! Chciałbym tylko wiedzieć z czego, na Czarne Łuski

Seta!

Deek przesunął się z piaszczystej plaży ku twardszej skale, by móc się swobodnie porozumiewać.

- P-potrzebujemy j-jakiegoś t-t-transportu.

- Otóż to. - Wikkel ponownie omiótł wzrokiem okolicę. - Niestety, nie widzę tu niczego, co by się nadawało.

- Ch-chodźmy d-do t-tego t-tunelu p-po p-prawej.

- Nie mów, że masz tam ukrytą barkę, Deek.

- N-nie, a-ale ż-żyje tam k-kilka T-tkaczek.

- Skąd wiesz? A jeżeli nawet, to co nam z tego?

- J-jestem o-o-obdarzony ś-świetnym węchem, a T-tkaczki p-potrafią z-z-ze s-s-  
swych

s-sieci u-upleść w-właściwie w-wszystko.

Wikkel zamrugał. Znakomity pomysł! Kto by się tego spodziewał po robalu?

- No, świetnie, Deek. Okazujesz się bardzo zaradnym towarzyszem podróży.

Gdyby Deek miał prawdziwe usta, uśmiechnąłby się. Jednooki Wikkel był co prawda sługą

czarodzieja, ale komplement podobał mu się niezależnie od tego. Te cyklopy okazywały się

bystrzejsze, niż można by sądzić po wyglądzie, skoro tak szybko poznawały się na talentach

innych i potrafiły tak bezpośrednio wyrazić dla nich uznanie. Szkoda, że pracowały dla

czarodzieja. Szkoda też, że on służył wiedźmie Chunthi.

- Chodźmy, zobaczymy, co wytargujemy od Tkaczek.

- T-tak, ch-chodźmy.

Katamay Rey postanowił podróżować szybko i bez obciążenia. Poza dwiema skrzyniami

pełnymi magicznych akcesoriów - wróżących kryształów, dezynsektorów, mikstur, proszku nasennego i wybranych ksiąg czarnoksięskich - zabierał trochę tylko jedzenia, odzież i drobne smakołyki. Akurat tyle, by utrzymać tuzin ludzi przy życiu przez sześć tygodni. Jego świta - kilku przygarbionych cyklopów - podzieliła ten ładunek między siebie ze ślepym posłuszeństwem. Rey nie miał wysokiego mniemania o inteligencji swych sług i był pewny, że jedynie bardzo rzadko, jeżeli w ogóle kiedykolwiek, powstawała w ich głowach jakaś samodzielna myśl. Głupcy, to zbyt łagodne określenie nawet dla najbystrzejszych spośród cyklopów, jak zdażył się przekonać Rey. A gdy tylko dorwie Wikkela, którego dotychczas uważał za dość obiecującego, jego bezwartościowa dusza pożałuje, że się w ogóle urodziła. Podstawiono mu lektykę niesioną przez dwóch cyklopów, ale odprawił ją. Postanowił przez jakiś czas iść pieszo, w ramach urozmaicenia i celem rozprostowania nóg. Jako że dawno już nie ćwiczył swego ciała, krótki spacer z pewnością go odświeży. Wysuwając się celowo przed świtę, czarodziej wyruszył, by zająć się swoimi sprawami. Siodło Chunthy zostało umocowane na grzbiecie jednego z większych robali, ciężko myślącej glisty zwanej Soriusu. Z tyłu za tym wierzchowcem wiły się jeszcze dwa robaki, oczekując na rozkaz wyruszenia. Wypchane juki Chunthy, wykonane ze skóry Albinosa, zwisały po bokach tuż przed jej szeroko rozstawionymi nogami. Dzięki temu miała łatwy dostęp do swych afrodyzjaków, eliksirów, kamieni snów i wybranych różdżek oraz sakw pełnych proszku z halucynogennych grzybków. Była gotowa. - Jazda! - rozkazała. W tym miejscu, przy wejściu do jej osobistej komnaty, blask grzybów był wyjątkowo silny, a jej naga skóra, ogrzewana jak zawsze przez płonący w niej wewnętrzny ogień, lśniła jak nasmarowana miłosnym olejkiem. Chuntha uśmiechnęła się. Zapowiadała się niezła przygoda, zakończona wspaniałym, niezapomnianym aktem seksualnym. Ta smakowita myśl rozgrzała ją jeszcze bardziej.

IX

Conan, Elashi i Tull przez większą część dnia płynęli po Bezsłonecznym Morzu bez żadnych przeszkód. Od czasu do czasu coś tam zawirowało koło nich, rozpryskując wodę i marszcząc spokojną powierzchnię jeziora, ale bystry wzrok Conana nigdy nie zauważył przyczyny tych zjawisk. Raz wprawdzie coś wielkiego uderzyło w rybią tratwę, przewracając wszystkich pasażerów, ale cokolwiek to było, nie wróciło, by ich niepokoić. Prawdopodobnie odgryzło kęs od ich łodzi i odpłynęło. Przed wieczorem (przynajmniej tak to oceniał Conan, bo jakże poznać porę dnia w ciągłym blasku zielonkawych ścian?) powiosłowali ku cichej zatoczce i przycumowali tratwę do skalistego brzegu. Było tu znacznie ciemniej niż gdzie indziej, ponieważ światło grzybów nie dochodziło do tworzącej zatokę groty. Toteż jeśli ktokolwiek płynąłby morzem tuż obok, pewnie nie zauważyłby w środku ani ich, ani prowizorycznej łodzi.

W czasie podróży ciała wszystkich trojga pokryły się lepka i cuchnąca wydzielina rybiego cielska, tak że żadne z nich nie miało ochoty spać na martwym potworze. Wspięli się zatem na brzeg po naturalnych schodach utworzonych przez rząd półek skalnych i zabrali się do jedzenia "ugotowanej" grzybowym kwasem ryby. Tull zebrał jeszcze kilka nie tak wybornych, ale i nie obrzydliwych porostów, które żuli, odpoczywając.

- Szkoda, że nie możemy rozpalić ognia - narzekała Elashi. - Tak tu wilgotno. Conan spojrział na nią, nic nie mówiąc.

- Wiem, wiem - dodała szybko. - Równie dobrze mogłabym sobie życzyć królestwa. Tak sobie tylko myślę.

- Jak daleko dziś przepłynęliśmy? - spytał Tull. Conan wzruszył ramionami.

- Całe mile zapewne. Ciężko powiedzieć, patrząc na wodę.

- Tak. I sądzę, że zgubiliśmy pogoń. Raczej trudno śledzić trop w wodzie. Conan przeżuł kęs porostów. Były gorzkie w smaku, jednak zawsze to jakaś odmiana w stosunku do ryby. Wcześniej jedli ją jak najlepsze mięsiwo na świecie, lecz po kilku kolejnych posiłkach straciła wiele na uroku. Prawdopodobnie Tull miał rację, jeśli chodziło o ich prześladowców, ale Conan i tak zamierzał spać z jedną ręką na mieczu. Tym miejscem władali czarodziej i wiedźma, a choć nie miał doświadczenia w kontaktach z magią, nie chciał go ani trochę więcej. Takie rzeczy były groźne i niejasne. Gdy stawiał czoło zbrojnej w szpony bestii albo szalonemu berserkerowi, radził sobie lepiej niż większość ludzi. Jednak jakiś plujący zaklęciami nekromanta, to już zupełnie inna sprawa. Uczciwi ludzie trzymali się od nich jak najdalej, a także Conan nie miał ochoty na spotkania z czarodziejami, wiedźmami czy innymi dziwolągami.

- Wezmę pierwszą wartę - zaproponował Tull. Conan skinął głową. Spojrział na Elashi.

- Nie mamy co prawda ogniska, ale możemy dzielić się naszym własnym ciepłem.

- Owszem - odparła, uśmiechając się. Razem znaleźli sobie wyjątkowo ciemny zaułek w grocie, pozostawiając Tulla siedzącego przy brzegu i patrzącego na gładką jak lód powierzchnię Bezsłonecznego Morza. Tkaczki nie mogły się poruszać ze względu na korzenie, ale nie były przez to mniej niebezpieczne. Olbrzymie rośliny, każda dwukrotnie wyższa od dużego cyklopa, uzbrojone w kolczaste macki otaczające centralnie położoną paszczę, produkowały cienką, lepka nić służącą do oplatania nieostrożnych ofiar. W przeciwieństwie do pajaków, z których większość budowała swe sieci, by złapać przechodzącą zwierzynę, Tkaczki wystrzeliwały klejące, grube wiązki na pewną odległość. Liny te przylepiały się do wszystkiego oprócz roślinnej sieci. Schwyte ofiary były wleczone w kierunku rośliny, gdzie tkwiły, nabite na ostre ciernie, dopóki próbowały walczyć, a następnie trafiały do rozwartej paszczy. Wszędzie wokół roślin podłogę pokrywała jedwabista warstewka migoczącej sieci, która zapobiegała przyklepaniu się do niej wystrzeliwanych lin. Na wierzchu zaś leżały nie przetrawione i zwrócone kości z tysięcy posiłków, jako nieme ostrzeżenie, że każdy, kto chciałby rozmawiać z Tkaczkami,

powinien trzymać się poza ich zasięgiem, albo narazi się na ich nieposkromione apetyty.

Wikkel i Deek stali daleko poza powierzchnią najobszerniejszej roślinnej wykładziny i rozmawiali z królową tego gniazda Tkaczek. Logika sugerowałaby, że Tkaczki dawno już wyginęły, skoro nie mogły się poruszać, nawet mimo umiejętności ciskania wiązkami sieci. A każdy gatunek posiadający choćby pół mózgu, przez lata z pewnością nauczyłby się omijać ich terytoria.

Tkaczki posiadały jednakże jeszcze jedną umiejętność i mimo że Wikkel i Deek rozmawiali już z nimi wiele razy, teraz też byli pod głębokim wrażeniem talentów tych dziwnych roślin. Otóż Tkaczki miały wyjątkowo pociągające głosy. Gdy tylko królowa zaczęła mówić, Wikkel usłyszał zmysłowy głos samicy cyklopa, słodki jak miód i przepełniony obietnicą cielesnych przyjemności, którym prawie nie można się oprzeć. Prawie.

Deek odebrał swym aparatem słuchowym odgłos samicy swego gatunku noszącej tysiące jaj i pożądaną takiego wielkiego, silnego robala jak on, żeby zapłodnił je ku swej rychłej rozkoszy. Gwarantowanej rozkoszy, mój robaczku...

Zarówno cyklop, jak i robal wiedzieli, że każda istota odbierała ten głos odpowiednio dla swego gatunku. Samce słyszały samice i odwrotnie, tak że tylko ci o wyjątkowo silnych umysłach lub doświadczeni w postępowaniu z Tkaczkami mogli się oprzeć ich syreniemu śpiewowi.

- Podejdźcie bliżej - zaprosiła królowa roślin - abyśmy mogli przedyskutować, co tam chcecie, bez silenia się na krzyki. - Z pewnością żadna cyklopka nigdy nie mówiła tak słodko i tak obiecująco, że uczyni wszystko, czego by pożądał Wikkel. Wszystko...

wystarczyło tylko podejść nieco bliżej...

- Nie, siostró - wydusił wreszcie, bez gniewu w głosie. Rozumiał wszak reguły polowania roślin i nie potępiał ich. Każdy przecież chce jakoś przeżyć. - To, co chcieliśmy omówić, dotyczy raczej umowy długoterminowej niż mnie i Deeka w roli szybkiego obiadu.

- Długoterminowej? - Deek usłyszał kuszące, wysokie tony wydawane przez brzemiennej samicy, niesłyszalne dla uszu ludzi i cyklopów, ale będące muzyką dla niego.

Nawet kiedy wiedział, kto go imitował, zew przyciągał go nieodparcie.

- Tak - ciągnął Wikkel. - Duża dostawa pożywienia, rozłożona na dłuższy okres.

- Jak dużo? Jak długo? - Słodkie tony urwały się natychmiast, a szorstki i nagle obcy głos królowej nie zapowiadał nic, co Wikkel lub Deek, albo cokolwiek, co chciało pozostać przy życiu, uważaliby za pociągające. Wielka roślina załatwiała teraz interesy. Wikkel pozwolił sobie na szybki uśmiech w kierunku Deeka i wyszeptał:

- Tu ją mamy.

- Z-zaiste - odskrobał delikatnie Deek.

Już głośniejszym głosem, Wikkel powiedział:

- Potrzebujemy transportu wodnego. Umiecie chyba upleść łódź z waszej sieci, czyż nie?

- Oczywiście - odparła tonem pełnym arogancji i pogardy - niewiele jest rzeczy, których nie umiemy stworzyć z Magicznej Nici.

- W ramach wdzięczności za tak ofiarną pomoc, mój przyjaciel i ja bylibyśmy zaszczytni, mogąc dostarczyć, powiedzmy, pół tuzina Albinosów i nietoperzy w zasięg

waszych... yhmm... linii dostawczych.

- Po dwadzieścia każdych - odparła królowa - a wasza łódź zostanie wypleciona z największą dbałością.

Wikkel uśmiechnął się do Deeka i szepnął:

- Myślę, że opuści cenę do połowy.

- J-jak u-uważasz, a-ale p-pospiesz s-się.

Wikkel zwrócił się ponownie do królowej.

- Łódź musi jedynie unosić się na wodzie, moja liściasta królowo, a nie wygrać konkurs

piękności. Po osiem z każdych.

- Nawet na chybicka, takie zadanie wymaga nie lada umiejętności, ruchomy.

Szesnaście.

W końcu utargowali tuzin nietoperzy i dziesięć Albinosów jako cenę za pojazd.

Deek i

Wikkel mieli je dostarczyć, gdy tylko uporają się z drobnym zadaniem. Królowa wolałaby

oczywiście od razu coś zjeść, ale umiała rozpoznać dobrą okazję, gdy taka się nadarzała, a

poza tym ona i jej siostry potrafiły w razie konieczności przeżyć dość długo bez jedzenia.

- Czy wasze zadanie ma coś wspólnego z trzema małymi ruchomymi, którzy płynęli ostatnio morzem?

Wikkel zamrugał swym olbrzymim okiem.

- Wiesz coś o nich, wasza wysokość?

- Mogę porozumiewać się ze wszystkimi moimi siostrami za pomocą głębokich korzeni,

które dzielimy. Tych troje odpłynęło stąd w kierunku Wielkiej Zapętlonej Jaskini.

- Ach, tak. To ci, których szukamy.

- Jeśli moje siostry pomogą wam ich schwytać, będzie się należeć jakaś premia. Jak

wiecie, nie wszystkie jesteście tu wrośnięte.

Wikkel i Deek spojrzeli po sobie. Ich władcy obdarowali ich już i tak dodatkowym czasem, a oni zużyli go jeszcze o wiele więcej. Zawieść znaczyło umrzeć.

- Zaiste, wasza wysokość, coś z pewnością da się załatwić.

- Kolejny tuzin każdych, białych biegaczy i czarnych lataczy - podała cenę królowa.

Wikkel wyszczerzył zęby. Uwielbiał się targować, a miał po temu niewiele okazji.

- Dwa tuziny? Zaledwie za trójkę? Zamierzałem zaoferować, no, powiedzmy, pięć każdych.

W czasie gdy uśmiechnięty cyklop i gigantyczna królowa Tkaczek dobijali targu, inne

rośliny rozpoczęły tkanie owalnej, ciasno plecionej misy, na tyle dużej, by pomieścić z tuzin

ludzi.

Noc minęła spokojnie. Po kilku godzinach Conan zmienił Tulla, a Elashi postanowiła

posiedzieć przy nim, gdy starszy człowiek zapadł w drzemkę. Ona i Conan nie spędzili jednak

całej nocy obserwując wodę. Prawdę mówiąc, przez większość czasu znacznie bardziej byli

zainteresowani sobą nawzajem, a przyjemność, jakąż tego czerpali, okazała się zarazem

odświeżająca i męcząca.

Rankiem (z braku lepszego określenia) weszli z powrotem na pokład ryby i powiosłowali

dalej.

Może dwie godziny później ściany jaskini zwęziły się tak znacznie, że można było dosięgnąć wiosłem zwisających półek. Płynęli tym wąskim kanałem około dziesięciu minut,

po czym jaskinia zaczęła się gwałtownie rozszerzać, osiągając trzykrotnie większe rozmiary.

Przed nimi zaś woda rozdzielała się na dwa nurty w miejscu, gdzie pojawiała się rozwidlenie

tunelu. Jedna rzeka płynęła w lewo, a druga, tej samej wielkości, w prawo.

- W którą stronę? - krzyknął Tull, nie przerywając wiosłowania.

- Obie są równie dobre - odparł Conan - wobec tego prawo.

Elashi wyglądała na zaniepokojoną tą decyzją. Conan z trudem opanował śmiech.

Nagle

wpadł na pewien pomysł:

- Czy też może wolałabyś popłynąć w drugą stronę?

- Powiedziałam coś takiego? - spytała poirytowana.

- Nie, zatem w prawo.

- Ale tam jest znacznie ciemniej.

- W takim razie w lewo - zaproponował Conan, bawiac się w najlepsze.

- Tam z kolei korytarz się zwęża - zauważyła.

Conan uśmiechnął się w duchu. Zdał sobie sprawę, że powoli zaczyna rozumieć, jak działa

jej umysł. Nie chciała sama podjąć decyzji, ale prawie zawsze sprzeciwiała się tym, które on

podejmował. Dlatego, chcąc skierować się w lewo, musiał ostro optować za udaniem się w

prawo.

- Prawe odgałęzienie jest z pewnością lepszą drogą - postanowił. Zaczekał jedno uderzenie serca i nie zawiódł się.

- A ja myślę, że lepiej popłynąć w lewo - upierała się Elashi.

Aha! Miał rację, sztuczka polegała na niezbyt chętnym i niespiesznym zgadzaniu się.

Należało się zgodzić, nie sprawiając takiego wrażenia. Skomplikowane istoty, te kobiety.

Niemal zawsze wolałyby się sprzeczać, zamiast robić cokolwiek innego.

Conan wzruszył ramionami.

- Dobrze więc. Nadal myślę, że prawe rozwidlenie byłoby lepsze, ale może masz rację.

- Oczywiście, że mam.

Odwrócił głowę, żeby nie zauważyła, jak się śmieje. Podziałało, przynajmniej tym razem.

Naturalnie, jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale dobre i to na początek. Kto wie, może kiedyś

jeszcze zrozumie kobiety.

Powiosłowali rybą do lewego korytarza.

Harskeel było bardziej niż troszkę zmęczone, a już z pewnością bardzo rozszoszczone.

Coś, co powinno było zająć mu zaledwie chwilkę, zmieniło się w poważne przedsięwzięcie.

Wszystkie te bestie rzucające się na nich z ziemi i z powietrza, przeszkadzające mu w,

wydawałoby się, prostej wyprawie. A przecież nie żądało wiele - tylko stać się znów mniej

niż sumą składników, jak kiedyś. Czy to zbyt dużo? Jeden odważny mężczyzna i jego miecz

nic przecież nie znaczył wobec odwrócenia tego nienaturalnego połączenia. Czemuż potężne

losy i bogowie nie chcieli spełnić jego prośby? Ale nie. Nic, nic nigdy nie było łatwe. Zamiast

prostego schwywania niezbędnych do czaru składników i gładkiego przywrócenia sobie

należytej, podwójnej postaci, Harskeel musiało ryć pod ziemią jak jakiś ilysdejski wąż! Tego

już było za wiele!

No, ale kiedy złapie tego Conana, sprawi, by poznał trudy, przez które musiało przejść. Po

umoczeniu miecza w krwi mężczyzny, powolne tortury odpłaca barbarzyńcy za wysiłki

włożone w schwywanie go.

Tak, to wydawało się w porządku.

Powrócił tropiciel.

- Znaleźliśmy korytarz, który prowadzi dookoła jaskini nietoperzy i z powrotem

na trop,  
panie.

- Dobrze, ruszajmy zatem. Ale uwaga! Trzymać piki w pogotowiu! - Ten ostatni rozkaz

doprawdy nie był potrzebny, jako że czterej pozostali przy życiu gwardziści nie opuścili swej

bronii od czasu ostatniej rzezi w jaskini nietoperzy. Niemniej jednak dowódca powinien

przypominać swym podwładnym, co mają robić.

Harskeel przygłodziło dłonią brew i włosy (po części z obrzydzeniem, po części z oczywistej potrzeby) i ruszyło za tropicielem po nowych śladach.

Rey jechał w lektyce, kołysząc się wygodnie w rytm marszu sług niosących jego pojazd.

Czarodziej rozejrzał się. Minęło dużo czasu od jego ostatniej wędrówki po swych włościach,

zbyt dużo. Jaki sens miało rządzenie, jeśli nie można było wyjść na zewnątrz i podglądać

spraw osobiście? Postanowił, że gdy tylko wyśle tego człowieka do Szarych Krain, a Ta

Dziwka otrzyma zasłużoną zapłatę, zacznie wychodzić częściej.

Monotonny rytm kroków maszerujących cyklopów ukołysał czarodzieja do hipnotycznego

snu. Przechylił się w tył, głowa opadła mu na jedną stronę i śnił na jawie o swych przyszłych

zwycięstwach.

Płynne ruchy ściśniętego jej jędrnymi udami pełznącego robala delikatnie kołysały

Chunthą w przód i w tył, jak liściem na niespokojnym wietrze. Szuranie jego płyt brzusznych

po wilgotnej skale było niemal melodią: szur, szszurrr - po krótkim dźwięku następował

zaraz dłuższy, gdy pierścienie robala przesunęły się do przodu. Przyjemny sposób podróżowania, chociaż mogła z łatwością wyobrazić sobie liczne możliwości czyniące podróż

jeszcze przyjemniejszą. Ale to innym razem. W obecnej chwili należało rozwiązać patową

sytuację pomiędzy nią a czarodziejem. To interesowało ją teraz bardziej niż osobista

przyjemność. Trzeba się z nim policzyć raz na zawsze. A później może będzie mogła

rozszerzyć swą działalność na świat powyżej jaskiń, kto wie... Zyskałaby gotowe i

niewyczerpane źródło świeżych mężczyzn. A tych wszak nigdy za wiele, tak szybko się

wyczerpują.

Kołysząc się przyjemnie, Chuntha śniła o swych przyszłych zwycięstwach.

X

Deek i Wikkel zgodzili się, że jedwabisty statek prezentował się bardzo interesująco.

Okazał się wystarczająco lekki, by cyklop mógł go podnieść jedną ręką, ale gdy uderzyli nim

przypadkowo o skałę, nie zauważyli widocznych uszkodzeń. Wnętrze z łatwością pomieściłoby ich obu i może jeszcze dwóch pasażerów tej samej wielkości, a rośliny

przemysłnie wyposażyły je w konstrukcję ułatwiającą cyklopowi siedzenie.

Gdy razem z robalem dotarli do morza, cudowna łódka zaczęła kołysać się na wodzie bez

najmniejszego przecieku. Wykorzystując duże wiosło uplecione za darmo przez rośliny,

Wikkel pomógł Deekowi wpełznąć bezpiecznie na pokład, po czym umieścił je w dulkach.

Następnie wskoczył do łodzi, odpychając ją równocześnie od brzegu.

Jako że Deek nie miał rąk, pomagał Wikkelowi przy wiosłowaniu końcem swego ogona.

Połyskujący, srebrzysty pojazd mknął po gładkiej wodzie z prędkością, która zadziwiła obu pasażerów.

- Wątpię, czy zdołałbym biec tak szybko - zauważył Wikkel.

Deek nie odpowiedział, ponieważ dno łodzi okazało się zbyt miękkie dla jego narządu

mowy, ale uważał podobnie. Bezsprzecznie, Tkaczki świetnie budowały. Warto o tym pamiętać w przyszłości. Z tej ich sieci można by stworzyć wiele ciekawych rzeczy.

- Z pewnością zwierzyna, na którą polujemy, nie może podróżować nawet w połowie tak

szybko jak my - dodał Wikkel. - Powinniśmy ich wkrótce dogonić.

Chyba że skrećimy w złą stronę, pomyślał Deek.

- Oczywiście, jeśli nie skrećimy w złą stronę - kontynuował Wikkel. - Cóż, zawsze

możemy liczyć na pomoc Tkaczek.

Deek nie mógł odpowiedzieć, ale podniósł głowę i pokiwał nią w górę i w dół, naśladując

skinienie.

Wikkel zauważył gest i uśmiechnął się, pokazując swe kwadratowe, mocne zęby.

- Zaiste, zaczynam mieć nadzieję, że to zadanie obróci się jeszcze na naszą korzyść,

Deek, stary druhu.

Deek ponownie kiwnął głową. Łódź sunęła po wodzie, niosąc ich ku upragnionej zdobyczy. Kto wie, może raz jeszcze zdoła uniknąć wapiennej jamy i odnieść tym samym

osobiste zwycięstwo. Szkoda jednak, że będzie musiał rozgnieść Wikkela. Zaczynał już lubić

tego cyklopa. Może istniał inny sposób na zdobycie tych ludzi, bez potrzeby zabijania

nowego przyjaciela. Tak, powinien się nad tym poważnie zastanowić, nic więcej mu nie

pozostało.

Pojedynczy nietoperz obserwował gwardzistę Harskeel, siedzącego na skale nieopodal

brzegu morza. Zdecydował, że taka okazja łatwego posiłku nie zdarza się często i postanowił

ją wykorzystać. Zanurkował, wypuszczając swą zaostrzoną rurkę, gotów wbić ją w świeże

mięso i zakosztować krwi niczego nie spodziewającej się ofiary.

Niestety, mężczyzna nie był sam i prawdopodobnie służył jedynie jako przynęta.

Gdy

tylko latający gryzoń zbliżył się do siedzącego człowieka, zaskoczyło go trzech dotychczas

ukrytych ludzi, którzy rzucili się na niego i schwytali zgodnie z rozkazami wykrzykiwanymi

przez Harskeel. Nietoperz wrywał się i szamotał, ale zimny dotyk ostrej stali na gardle

szybko go uspokoił.

- Chcę z tobą pomówić - rzekło Harskeel.

Nietoperz nie odpowiedział.

- Ach, nie znasz ludzkiej mowy? Co za szkoda, zabijcie go! - rozkazało Harskeel.

- Czekajcie! - wydarł się nietoperz. Dźwięk jego głosu był bardzo wysoki, a akcent

niemal niezrozumiały, ale Harskeel uśmiechnęło się, słysząc to słowo.

- Stać! - rozkazało.

Gwardziści podnieśli piki.

- No dobra - zapytało Harskeel - jak cię zwa?

Nietoperz obnażył ostre zęby i przemówił dumnym głosem:

- Jam jest Karmin Wielce Potężny, Górnołotnik i Spijacz Życia.

- Karmin?

- Noszę to miano ze względu na piękne futro w tym właśnie kolorze, które zdobi mój

grzbiet.



- Dobrze, wystarczy Czerwonek. A teraz, Czerwonku, słuchaj, bo mam dla ciebie propozycję.

- Propozycję? Nie układamy się z tymi, co nas trzymają jak jeńców.

- Wypuście go.

Ludzie Harskeel wypuścili nietoperza, który zamierzał błyskawicznie rzucić się do ucieczki.

- Zanim nas opuścisz, Czerwonku, racz przynajmniej wysłuchać mojej oferty. I wiedz, że daleko nie ulecisz, bo widzisz, jeśli wzniesiesz się choćby o tyle - Harskeel wskazało odległość pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym - to stojący koło mnie Zat straci cię na ziemię niczym natrętną muchę.

Czerwonek obrócił się lekko w stronę mężczyzny zwanego Zatem. Ten wyszczerzył się szeroko i znacząco potrząsnął piłą.

- Ależ ja tylko rozprostowywałem pogniecione skrzydła - wyjaśnił pośpiesznie Czerwonek. - Naturalnie, jestem zainteresowany waszą propozycją.

- Twój gatunek żywi się krwią, prawda?

- Mam wrażenie, że już to zauważyłeś - odparł Czerwonek.

- Tak się akurat składa, że bawiłem się trochę magią - nie zwróciło na niego uwagi Harskeel.

Z tyłu za Harskeel jeden z gwardzistów parsknął śmiechem. Harskeel nie przerwało ani nie odwróciło się. Gdy tylko to wszystko się skończy, ów człowiek może się uważać za martwego, stawia na to majątek. Ciągnęło gładko:

- I przypadkiem znam pewne zaklęcie, które potrafi wyprodukować świeżą krew w dowolnej ilości.

- Kpisz sobie - odparł nietoperz - chcesz mi zagrać na rurce.

- Może więc mała próbka mojej mocy cię przekona?

Mówiąc to, Harskeel wydobyło z sakwy niewielką mosiężną czarę i podało Czerwonkowi do obejrzenia. Nietoperz ostrożnie zajrzał do środka.

- Pusto. Nie widzę tu ani kropli krwi - powiedział, pukając głośno skrzydłem w metalowe naczynie.

Harskeel zabrało je.

- Chciałem cię upewnić, że nie ma w tym żadnej sztuczki. - Po czym podwinęło rękawy, pokazując nagie ramiona, i trzymało czarę w dłoniach. Zaczęło mamrotać z cicha w języku, którego nikt z obecnych nie zdołał zrozumieć.

Po chwili zakończyło magiczną inkantację.

Naczynie zaczęło się powoli napełniać. Ciemna ciecz biła z niewidzialnego źródła na jego dnie i wkrótce sięgnęła brzegów. Harskeel podało czarę nietoperzowi, który powąchał niepewnie ciecz.

- Cóż, pachnie jak...

- ...krew - dokończyło Harskeel. - No dalej, spróbuj.

Czerwonek spojrział na krew i jego rurka już się zaczęła rozwijać, gdy nagle powstrzymał się.

- Skąd mam wiedzieć, że nie jest zatruta?

Harskeel zaśmiało się.

- Nie możesz tego wiedzieć. Zważ jednak, że jeśli chciałbym cię zabić, mógłbym już chyba trzykrotnie przebić cię piłą.

Czerwonek zastanowił się.

- Tak, to ma sens. - Rozwinął rurkę i zatopił ją w naczyniu pełnym krwi, która zniknęła szybciej, niż się pojawiła.

- Ależ to jest wyśmienite! Najlepsza, jakiej do tej pory próbowałem!

- Cieszę się, że ci smakuje.

- To zaklęcie! Co trzeba uczynić, by je posiąść? I jak dużo tego nektaru może ono stworzyć?

- Miałem nadzieję, że to powiesz. Czar ma swoje granice, naturalnie. Można za jego pomocą napełnić sześć, no może siedem beczek.

- Siedem beczek!? Ależ... ależ to wspaniale! Moglibyśmy tym wykarmić setkę z nas!

- Oczywiście, zaklęcie odnowi się po kilku dniach i będzie gotowe do kolejnego użycia.

- Muszę je mieć! Żądaj, czego tylko chcesz!

Harskeel uśmiechnęło się pod nosem. Doprawdy, te nietoperze nie znały się na ubijaniu interesów! W rzeczywistości zaklęcie mogło stworzyć pół tuzina beczek krwi, ale tylko raz.

Na dodatek należało natychmiast spożytkować ten płyn, gdyż inaczej zakrzepłby w ciągu kilku godzin i stał się bezużyteczny. Oczywiście, kiedy nietoperze się zorientują, Harskeel będzie już bardzo daleko.

- Podążam za kimś, kto uciekł przez ten zbiornik wodny. Potrzebuję łodzi i kogoś, kto mógłby ją holować.

- To wszystko?

- Tak, jestem z natury hojny.

Czerwonek zerknął na pustą czarę.

- Cóż, muszę wyznaczyć, że niewiele mamy drewna w jaskiniach, a łodzie zwykle buduje się z drewna, czyż nie?

- Nie obchodzi mnie, czy zbudujecie ją z suszonego łajna, jeśli tylko utrzyma się na wodzie.

- Hmm. Myślę, że jakoś sobie poradzimy. Przekażę tę ofertę moim braciom i z pewnością coś wymyślimy. Ty zaś racz poczekać tutaj, dopóki nie wrócę, dobrze?

- Oczywiście.

- Postaram się wrócić jak najprędzej. - Czerwonek zebrał się do skoku, ale zatrzymał się nagle. - Poproś Zata, aby łaskawie powstrzymał swą broń.

Harskeel zaśmiało się.

- Nie ma sprawy, Czerwonek, mój przyjacielu.

Usłyszawszy to, nietoperz zerwał się i odleciał.

Harskeel patrzyło, jak nietoperz zanika w najbliższym korytarzu. Było bardzo zadowolone z siebie. Małe zaklęcie za schwytywanie barbarzyńcy to niewielka cena. Jeżeli pozostałe nietoperze były tak żarłoczne jak Czerwonek, wszystko powinno pójść gładko niby po szkle.

Łatwo zdołało go oszukać zręcznym blefem. Wszak umiejętności Zata w posługiwaniu się piką były tak mierne, że trafiłby może człowieka z odległości dwóch kroków, ale nie latającego nietoperza na pięciokrotnie większy dystans. Piki nie służyły do rzucania. Do takiego zadania trzeba by o wiele silniejszego mężczyzny niż Zat.

- Ta rzeka wydaje się ciągnąć bez końca - narzekała Elashi.

- Tak - odparł Conan - na dodatek właśnie zakręca w prawo.

- Miejmy nadzieję, że znajdziemy jakiś brzeg do zacumowania - dodał Tull. - Patrzcie

- pokazał palcem.

Conan i Elashi spojrzeli we wskazanym kierunku. Cymmerianin szybko zorientował się, o co chodzi, w przeciwieństwie do Elashi.

- Co? - zapytała. - Nie widzę nic dziwnego.

- Ryba coraz bardziej zanurza się w wodzie - wyjaśnił jej Conan. - Spójrz na "schody", które wyciąłem.

Faktycznie, ich łódź powoli zaczynała tonąć. Kilka stopni najbliższych krawędzi znajdowało się już pod wodą.

- Dlaczego tak się dzieje? - spytała Elashi.

Conan wzruszył ramionami. Nie znał się na łodziach i rybach.

- Może inne wodne drapieżniki dobrały się nocą od dołu ryby. A może po prostu nasiąkła wodą - odrzekł Tull.

- Czy nic nie można na to poradzić?

- Owszem, musimy znaleźć odpowiednie miejsce, żeby ruszyć dalej pieszo - odparł Tull. - Choć, w zasadzie, łajba utrzyma się jeszcze na powierzchni dzień lub dwa.

Godzinę później Conan potrząsnął głową.

- Wcale mi się to nie podoba - rzekł.

- Co znowu? - spytała Elashi.

- Płyniemy znowu w tym samym kierunku, z którego przybyliśmy.

- Nigdzie tego nie widać, skąd możesz wiedzieć?

Conan ponownie wzruszył ramionami. Miał po prostu wewnętrzny zmysł kierunku, zawsze, odkąd pamiętał. Naturalnie, mógłby się zgubić, ale jakiś ukryty przewodnik wskazywał mu szybko właściwą drogę, niezależnie od otoczenia.

- Cóż? nie powinno nas to chyba zbytnio obchodzić, prawda? Każdy, kto by nas śledził, musiałby płynąć tą samą drogą. Jeśli ona się wiję i zakręca, tym lepiej dla nas. Będzie nas trudniej znaleźć, czyż nie?

Conan nie odpowiedział. Może Elashi miała rację. Nie widział wszak żadnego logicznego powodu do niepokoju. Niemniej jednak jakiś zwierzęcy instynkt przyprawiał go o drżenie i przygotowywał się na najgorsze.

Widok jaskini lęgowej nietoperzy kompletnie zaskoczył Reya. Miejsce wydawało się całkowicie opuszczone, przynajmniej przez żywe istoty. Podłoga zaczynała już wydzielać dość wyraźny fetor. Doszczętnie wyssane ciała Albinosów i ludzi leżały, porzucane chaotycznie po całej powierzchni groty, na przemian ze zwłokami zarżniętych nietoperzy.

Hmm, wygląda na to, że jego zwierzyna tędy przechodziła. Ale zaraz, gdzie się podziały nietoperze, które zazwyczaj oblepiały cały strop tej jaskini? Zaledwie kilka leżało martwych na ziemi, a czarodziej był pewien, że pozostałe nie opuściłyby swych terenów lęgowych z tak błahego powodu. Trochę krwi nigdy nie przeszkadzało nietoperzom.

Rey zaśmiał się ze swego dowcipu. Krew nie przeszkadzała nietoperzom! A to dobre!

Powiedziałyby to może głośno, gdyby nie fakt, że cyklopy z jego eskorty prawdopodobnie nie zrozumiałyby żartu. Głupie kreatury, nie ma co, nadawały się tylko do służby. Wszystko bardzo ładnie, ale miał tu przecież sprawę do załatwienia. Nietoperze najwidoczniej wyleciały gdzieś w jakimś konkretnym celu, który z pewnością wkrótce odkryje. Tymczasem powinien zająć się główną przyczyną wyprawy. Poza tym obecność innych ludzi w jaskiniach nie wróżyła dobrze. Ciekawe, jak się tu dostali i co ich łączyło z tymi, których szukał Rey? Bo w to, iż coś ich z pewnością łączyło, nie wątpił ani przez chwilę. Nie dlatego przecież dożył tylu lat, że bardziej wierzył w zbieg okoliczności niż w to, iż zdołałby pokonać cyklopa jedną ręką.

Rey machnął dłonią i para cyklopów schyliła się i uniosła lektykę z podłogi. Już

niedługo

dowie się wreszcie, o co tu chodzi.

Robal zwiadowca powrócił do Chunthy i zdawał jej właśnie swym skrobiącym o skałę głosem raport z obserwacji martwych ciał w jaskini lęgowej nietoperzy. Wiadomość ta ani

trochę nie obchodziła wiedźmy, ale robal przekazał jej też inną, bardziej nieprzyjemną. Przez

jaskinię przechodził czarodziej ze świtą jednookich i dużym ładunkiem.

Chuntha poruszyła się niespokojnie w siodle. To zły znak. Coś musiało być zdecydowanie

nie w porządku w jaskiniach, skoro ten glistowaty czarodziej podniósł swe ociężałe cielsko i

ruszył, by się tym osobiście zająć. O tym, że chciał jej skraść barbarzyńcę sprzed nosa,

doskonale wiedziała. Jednakże to, jak daleko mógł się posunąć, żeby osiągnąć swój cel,

zaskoczyło ją całkowicie.

Wiedźma umocniła się w swym postanowieniu. Niech więc tak będzie. Jeśli chce wojny, to

proszę bardzo. Już ona mu pokaże, nie jest przecież drobnym pyłkiem targanym na jego

wietrze, o nie!

Robal zareagował na ściskające go kolana Chunthy i ruszył do przodu. Pozostałe zaraz

dołączyły i cała grupa popełzła dalej.

Może ze czterdzieści nietoperzy nadleciało od strony morza, ciągnąc liny przywiązane do

czegoś, co przypominało kilka wielkich drewnianych drzwi.

Nietoperz zwany Czerwoniem wylądował w pobliżu Harskeel.

- Oto twa łódź - rzekł.

Harskeel rzuciło okiem na drewniane rupiecie.

- Nazywasz te śmieci łodzią?

Nietoperz obruszył się.

- Przecież mówiłeś, że wystarczy, jak będzie unosić się na wodzie.

- Musi jeszcze unieść mnie i moich ludzi.

- Nawet jeśli nie zdoła, to nie ma problemu, bo będziemy lecieć obok i wyrównywać

różnicę, holując was.

Harskeel zastanowiło się. Prawdę mówiąc, nie miało zbytniego wyboru, jeśli chciało nadal

podążać tropem Conana. Jeżeli nietoperze chcą holować tę "łódź", powinni osiągnąć całkiem

niezłą prędkość.

- Dobrze więc - zdecydowało - składamy, co się da i wyruszamy.

Czerwonek uśmiechnął się, ukazując rząd ostrych jak igły zębów.

- Lecielibyśmy znacznie szybciej, gdybyśmy nie byli tak głodni.

Harskeel również się uśmiechnęło. A więc nietoperze nie były aż tak łatwowierne, jak z

początku sądziło. Ach, dobrze, co mu szkodzi.

- Macie jakieś naczynie?

- Tak się składa, że jest tu blisko zagłębienie w skale. - Czerwonek wskazał skrzydłem.

- Powinno pomieścić około beczki płynu, o ile dobrze się orientuję.

- Jeśli chodzi o płyn, chylę czoła przed twoim autorytetem - odrzekło Harskeel.

-

Chodźcie zatem i pozwólcie, że was ugoszczę.

Nietoperze zakotłowały się nad głową Harskeel, gdy zaczęło napełniać skalne naczynie

krwią. Kiedy skończyły ją spijać, wszystkie zgodziły się, że jakoś tego posiłku przewyższała

wszelkie dotychczasowe. Obietnice wiedźmy i czarodzieja nic nie znaczyły w porównaniu z

tym. Nietoperze stały się przyjaciółmi Harskeel na zawsze.

- Opowiedzcie mi więcej o tej wiedźmie i czarodzieju - zachęciło Harskeel.

- Chętnie - odparły podniecone nietoperze. Dla takiego przyjaciela zrobiłyby wszystko.

Czego tylko by zapragnął.

XI

Korytarz, do którego wpłynęli z wolna zanurzającą się rybą, zwęził się, ale Conan

zauważył, że nieco dalej rozszerza się znowu. Kilka chwil później dotarli do tego właśnie

miejsca. Niemal natychmiast Conan zorientował się, że coś było nie tak.

Rozejrzał się

dookoła i od razu rozpoznał źródło swego niepokoju. Tuż za nimi widniał jeszcze korytarz, z

którego właśnie wypłynęli, obok znajdowało się podobne przejście. Conan przestał wiosłować.

- Co się stało? - spytał Tull.

- Patrz - pokazał mu wiosłem Conan.

Tull i Elashi obejrzeli się za siebie.

- Och! - westchnął Tull.

- O co chodzi? - spytała Elashi. - Nie widzę tu nic poza dwiema dużymi dziurami w

ścianie. Co w nich groźnego?

Conan wyjaśnił:

- Nie poznajesz? Sprzeczaliśmy się tu o drogę nie tak dawno temu.

- O czym ty gadasz? - potrząsnęła głową zniecierpliwiona Elashi. Potężny Cymmerianin wskazał głową bliźniacze korytarze za nimi.

- Zrobiliśmy pętlę - powiedział. - Wczoraj wpłynęliśmy w korytarz po lewej, a dziś

wróciliśmy do tego samego miejsca. Jeśli jest tu w ogóle coś groźnego, to właśnie płyniemy

mu naprzeciw.

- Och - zrozumiała wreszcie Elashi - o, zaraza!

Zaiste, dobrze powiedziane. Wyglądało na to, że drogą wodną nie osiągną wyjścia z

labiryntu podziemnych korytarzy.

- Co teraz zrobimy? - zasmuciła się Elashi.

- Moim zdaniem najlepiej byłoby porzucić tę cuchnącą padlinę gdzieś przy brzegu i

ruszyć dalej pieszo - odrzekł Conan. - O ile pamiętam, widziałem tu kilka małych otworów w ścianach jaskini, może jakąś godzinę drogi stąd.

- Racja, chłopcze - zgodził się Tull - akurat tyle jeszcze powinna się utrzymać na

wodzie nasza rybka.

- Im szybciej, tym lepiej - skwitował Conan, po czym obaj zanurzyli z impetem wiosła.

Nasiąknięte wodą ciało potwornej kiedyś ryby ruszyło z wolna, ale zdecydowanie do przodu.

Wikkel i Deek zatrzymali się, zamierzając pożywić się starannie wybranymi grzybkami i

odpocząć od męczącego wiosłowania. Wprawdzie żadnemu z nich nie mogły zaszkodzić nawet odmiany śmiertelnie trujące dla ludzi, każdy jednak miał inne upodobania kulinarne,

toteż myskowali wśród olbrzymich ilości rozmaitych grzybów porastających jaskinię w

poszukiwaniu ulubionych gatunków. Wkrótce znaleźli to, czego szukali.

- Przebyliśmy dzisiaj ładny kawał drogi - zagaił Wikkel z ustami pełnymi smrodliwych,

żółtawych grzybków.

Deek, pełzając nareszcie po twardej skale, odskrobał:

- O-o t-tak. D-doprawdy c-całkiem p-p-przyjemna p-p-podróż.

Wikkel pokiwał głową.

- Właśnie myślałem, czy nie można by namówić Tkaczek, żeby wyprodukowały inne przedmioty ze swej sieci. Ubrania, może nawet meble i inne rzeczy, które mogą okazać się

przydatne.

- T-ta s-sama m-myśl p-przyszła i m-mnie d-do g-głowy. - Ponieważ Deek nie potrzebował swej paszczy, by mówić, mógł bez przeszkód kontynuować posiłek.  
- Oczywiście, w końcu wyczerpałyby się zapas nietoperzy i Albinosów jako towaru na wymianę, ale nie powiem, żebym się tym specjalnie zmartwił.

- A-ani j-ja.

Wikkel przełknął.

- Do tego czasu moglibyśmy pięknie urządzić nasze jaskinie. - Już zaczynał zabierać się do następnej porcji jadła, gdy nagle coś sobie przypomniał - Czarodziej nigdy na to nie pozwoli - zauważył smutno.

Deek również przerwał jedzenie.

- R-racja. W-wiedźma t-też.

Wikkel stracił nagle apetyt. Odrzucił daleko garść trzymanyh grzybów i obtarł wargi z resztek.

- Nie pamiętam tego osobiście, ale słyszałem, że jaskinie były znacznie miłszym miejscem, zanim pojawili się wiedźma i czarodziej.

- T-tak t-też i m-mnie m-mówiono. Sz-szkoda.

Wikkel podniósł się i rozmasował dłonie.

- Cóż, nic na to nie poradzimy, prawda? Podniesienie ręki na Katamaya Reya jest równoznaczne z natychmiastową zamianą w gnijącą maź.

- Ch-chuntha p-preferuje w-wapienne j-jamy.

Obaj wykonali gest odpowiadający wzruszeniu ramion.

- Lepiej ruszajmy, Deek, stara glisto. Im szybciej uporamy się z naszym zadaniem, tym lepiej.

- R-racja, J-jednooki. N-najpierw t-trzeba s-sobie p-poradzić z r-rzeczywistymi p-problemami.

- Niestety. Chodź, pomogę ci wejść do łodzi.

- O-och, j-jesteś z-zbyt u-uprzejmy.

Gdy tylko Deek wgramolił się na pokład, Wikkel zepchnął lekki statek na wodę i wskoczył

do środka. Kiedy znaleźli się na głębszej wodzie, zanurzył wiosło i zaczął energicznie

wiosłować z wprawą, której nabył w trakcie dotychczasowej podróży. Możliwe, że istniał

jakiś sposób, aby on i Deek wyszli cało z tej przygody. Było wszak jeszcze tych troje ludzi. A

nawet więcej, jak wnioskował z przebiegu bitwy w jaskini nietoperzy. Może gdyby Wikkel

schwytał kilku z nich, a Deek resztę, obaj zdołaliby zadowolić swych władców?

Według ustnych przekazów, setki lat temu w jaskiniach żyły w harmonii cyklopy i robale,

nikomu nie wadząc. Tkaczki żywiły się znacznie głępszymi nietoperzami i Albinosami, a

życie wyglądało o wiele lepiej niż pod rządami wiedźmy i czarodzieja. Wikkel potrafił

zrozumieć, jak mogło się to układać: ten Deek okazał się przecież całkiem przyjemnym

towarzyszem, znacznie lepszym niż zarozumiały nietoperz czy bełkoczący dureń Albinos. A

już z pewnością lepszym od czarodzieja, z jego złymi czarami i szafowaniem śmiercią na

prawo i lewo. Przynajmniej Deek uważał cyklopy za myślące istoty, nawet jeśli wrogie.

Gdyby tak istniał jakiś sposób, żeby nie musiał zatłuc robala kawałkiem skały...

Wikkel zamierzał poważnie rozważyć taką ewentualność. Przypomni sobie o tym w odpowiednim czasie.

Problem w tym, że nie będzie miał czego rozważać, jeśli nie schwytają ludzi, i

to szybko.  
Zdopingowany nieprzyjemną perspektywą utraty zdobyczy, Wikkel przyłożył się jeszcze bardziej do wiosła.  
Harskeel nigdy dotychczas nie słyszało, żeby ktoś podróżował w równie niedorzeczny sposób. Razem ze swymi ludźmi siedziało na wilgotnych deskach "łodzi" ciągniętej energicznie wzdłuż podziemnej rzeki przez nie mniej niż czterdzieści nietoperzy. Szkoda, że nie mogło zobaczyć tego wszystkiego z brzegu, bo widok z pewnością musiał być niezapomniany.  
Jednak konkurowanie w pogoni za tą samą zdobyczą z potężnym czarodziejem i władającą podobną mocą wiedźmą już nie wydawało się takie śmieszne. Harskeel już dawno nabrało respektu przed magią, w dość drastycznych okolicznościach. Jedyna nadzieja w tym, że schwyta zwierzynę pierwsze, zanim większy brytan przybiegnie, by się o nią upomnieć.  
Nietoperze z brzuchami pełnymi krwi zrobiły się bardzo wygadane i opowiedziały mu wszystko o czarodzieju i wiedźmie, a także o ich sługach - cyklopach i gigantycznych robalach. Sytuacja z każdą chwilą stawała się groźniejsza. Oczywiście, pomyślało, samo też nie było bezbronne. Pomijając pozostałych przy życiu gwardzistów, niezbyt może biegłych w sztuce walki, ale broniących zaciekle własnej skóry, Harskeel samo dysponowało kilkoma przydatnymi zaklęciami. Zrozumiałe, że żaden z niego mistrz magii, ale, mając za sobą element zaskoczenia, mogłoby jakimś niepozornym czarem rzuconym w odpowiednim momencie przechylić szalę zwycięstwa na swoją korzyść. Oślepiający błysk albo gęsta mgła potrafią zmienić przebieg niejednej bitwy, jeśli zostaną sprytnie użyte. W zaklęciu przyobiecany nietoperzom zostało jeszcze pięć beczek krwi. Niewątpliwie te latające wampiry byłyby bardzo rozczarowane, widząc wspaniałą nektar wylewany z góry na wroga, ale Harskeel nie obchodziły ich osobiste odczucia. Każdy robi, co może, by wygrać, a przegranych pochłoną demony.  
Prowizoryczny statek mknął po wodzie, unosząc "dziób" i rysując za sobą wyraźny ślad. Tak znaczną bowiem prędkość nadawały mu skrzydła nietoperzy. Dopóki ich jedynymi przeciwnikami mieli być pojedynczy cyklop i robal, istniała jeszcze jakaś szansa. Jeśli tylko zdołają wyprzedzić czarodzieja i wiedźmę, sukces pozostanie w zasięgu Harskeel. Doprawdy, z taką prędkością nie sposób przegrać...  
Rey znowu zawrzał z gniewu. Wszystko to bardzo przyjemne, taka zabawa w polowanie, ale dotarł już do brzegów Bezsłonecznego Morza i jak do tej pory nie widział ani śladu swych ofiar. Przystawało mu się to podobać. Nie zauważył też nigdzie Wikkela, ani żywego, ani martwego. Ten drugi wariant bardziej by mu zresztą odpowiadał, ponieważ za rozkazu Rey przewidywał taką właśnie karę. W jego włościach żyła setka innych cyklopów nadających się na miejsce Wikkela, chociaż ten głupiec wydawał się dość obiecujący.  
Nieważne, pomyślał Rey. Drogą prostej eliminacji człowiek, którego szukał, musi znajdować się gdzieś przed nim. Zdołał zatem zdobyć łódź. To nic, tak łatwo mu

się nie  
wymknie, o nie.  
Rey przywołał cyklopa niosącego jego magiczną skrzynię, a ten podbiegł  
skwapliwie,  
szurając nogami, i zrzucił ciężar z garbatych pleców na ziemię.  
- Ostrożnie, głupcze! Gdybyś rozbił jakąś rzecz, cała ta jaskinia zamieniłaby  
się w  
przedsionek piekieł!  
Oczywiste kłamstwo, ale Rey z przyjemnością ujrzał strach odmalowujący się na  
obliczu  
cyklopa.  
Czarodziej przekopywał się przez rozmaite magiczne rupiecie, dopóki nie znalazł  
Księgi  
Kreacji Strukturalnej. Natychmiast zapalił na czubku swego kciuka mały płomyk,  
żeby lepiej  
widzieć tekst. Przekartkował strony. Świątynie, Zamki - nie, to za daleko, z  
powrotem -  
Budowle... o jest, Mosty. Jeśli go pamięć nie myliła, powinno tu być zakłęcie...  
Na Łuski Seta! Gdzie to się podziało?! Przecież używał już kiedyś tego czaru.  
Tworzył on  
magiczny most, który pojawiał się przed stopami podróżnika, a znikał niedługo za  
nim. Musi  
tu gdzieś być... zaraz, zaraz, przypomniał sobie - trzeba szukać pod:  
"Kładka"... o, tutaj.  
Rey wymamrotał odpowiednią inkantację, wykonał stosowne gesty i czekał na  
rezultat.  
Uderzenie serca później pojawiła się kładka, z początku migocząc, ale po chwili  
ustabilizowała się, jakby wisiała tam od zawsze.  
Czarodziej uśmiechnął się, widząc gapiących się z podziwem cyklopów. Otóż to,  
durnie.  
Jam jest Katamay Rey, wasz mistrz, i lepiej o tym pamiętajcie.  
Zakończywszy magiczny rytuał, Rey wsiadł z powrotem do lektyki i zamachał od  
niechcenia rękaw stroną kładki.  
- Naprzód - rozkazał, a cyklopi posłusznie ruszyli.  
Zanim dotarli do końca kładki, pojawił się przed nimi kolejny kawałek,  
wydłużając ją dalej  
w głąb jeziora. Gdy znowu zbliżyli się do krawędzi, ukazał się następny, podczas  
gdy za nimi  
stopniowo znikwały dotychczas solidne części mostka. Czarodziej mógł oczywiście  
sprawić, by  
tam pozostały, ale wyczerpałoby go to. Oszczędzanie magicznej energii było  
konieczne, jeśli  
nie chciał się zbytnio przeforsować. Poruszali się raczej wolnym krokiem, ale  
Reyowi to nie  
przeszkadzało. Wiedział przecież, że Bezsłoneczne Morze kończy się gdzieś z  
przodu pętla,  
toteż prędzej czy później ktokolwiek podróżujący w tę stronę musiał zawrócić mu  
naprzeciw.  
To tylko kwestia czasu.  
Szlak Chunthy zaprowadził ją do innego fiordu Bezsłonecznego Morza niż jej  
rywala.  
Zgadzało się to z jej zamiarem pozostawiania w tyle za Tym Bękartem,  
czarodziejem, dopóki  
ten nie znajdzie się w zasięgu mężczyzny, którego oboje szukali. Nie widziała go  
wprawdzie  
przed sobą, ale zwiadowca przybył właśnie, mówiąc, że czarodziej dotarł tam,  
gdzie sądziła.  
Mając za sobą element zaskoczenia, skończy z nim wreszcie raz na zawsze.  
Znacznie pilniejsza była teraz kwestia przeprawy przez wodę, ale takie  
drobnostki nigdy  
nie zniechęcały sprytnej wiedźmy.  
- Wy tam, zbierzcie się koło mnie - rozkazała robalom. - Jeden przy drugim, w  
szeregach! - gestykulowała, pokazując im, o co jej chodzi.  
Kreatury spełniły posłusznie jej rozkaz i po chwili ułożyły się w równą, osiem



na trzy  
robale, żywą matę.  
Wybrawszy jedną z magicznych różdżek, gałązkę grubości palca, ale za to sięgająca jej  
zapewne do pasa, zaczęła pocierać nią swe jędrne ciało w magicznym rytuale.  
Mamrotała  
przy tym melodyjne zaklęcie w śpiewnym języku pamiętającym czasy, gdy gatunek  
ludzki  
był jeszcze bardzo młody.  
Wkrótce dało się zauważyć efekty jej czarów. Otworzyła usta, a z ich wnętrza  
trysnął silny  
strumień płynu, który opryskiwał równo ustawione robale, kiedy Chuntha  
przechodziła obok  
ich szeregów. Gdy tylko magiczny płyn dotykał jakiegoś, oblewał go całkowicie i  
pokrywał  
całą powierzchnię bladego cielska. Sam fluid pachniał słodko i parował  
intensywniej niż  
woda. W chwilę po tym, gdy pokrył wszystkie robale, stwardniał, zamieniając się  
w  
elastyczną, ale mocną powłokę.  
- A teraz - zaczęła - na moją komendę środkowy szereg zwiija się w pętlę, przedni  
szereg poddaje się pchaniu, a szereg tylny pozwala się holować. W ten sposób  
dotrzemy  
małymi kroczkami do wody. Naprzód!  
Ku zdziwieniu robali okazało się, że zostały połączone tak solidnie, jakby były  
jedną  
istotą. Chuntha uśmiechnęła się, obserwując pełznące robale i wiedząc, że wydaje  
im się, iż  
zamierza je utopić.  
Żywa mata dotarła do wody i, zaskakując swój myślący budulec jeszcze bardziej,  
zaczęła  
się unosić na powierzchni. Więcej, woda nie przedostawała się przez gumowatą  
substancję.  
Po kilku chwilach Chuntha dysponowała już łodzią. Zapakowała swój bagaż na  
"pokład",  
wyjawszy uprzednio inną różdżkę, przypominającą drewniany świder. Umieściła ją  
na rufie  
tratwy za pomocą magicznego zaklęcia mocującego. Krótka inkantacja i śruba nie  
tylko  
powiększyła się trzykrotnie, lecz również zaczęła się obracać, a tratwa powoli  
ruszyła do  
przodu.  
Chuntha zaśmiała się i stanęła na przedzie statku, rozstawiając szeroko nogi i  
pozwalając,  
by delikatna bryza rozwiewała jej włosy. Była z siebie całkiem zadowolona.  
XII  
Plan Conana, aby dopłynąć na ich rozkładającej się rybie do tunelu, który  
wcześniej  
wypatrzył, spalił na panewce. Ich "łódź" poza tym, że wypełniała całą jaskinię  
niezdrowym,  
zgniłym fetorem, zaczęła zanurzać się do poziomu, z którego niemożliwe było  
napędzanie jej  
wiosłami. Lodowata woda podziemnego morza obmywała kostki trojga przyjaciół,  
nawet gdy  
stali w najwyższym punkcie na grzbiecie ryby.  
- Lepiej popłynijmy do brzegu - zaproponował Conan. - Półka skalna jest tu już  
wystarczająco szeroka, abyśmy zdołali nią iść. To już niedaleko, o ile pamiętam.  
- Słusznie, chłopcze, masz rację - odparł Tull, po czym obaj zabrali się do  
wiosłowania.  
Elashi wyskoczyła na najbliższy występ, a za nią poszli Tull i Conan. Ryba jakby  
nieco  
podskoczyła, z uwagi na mniejsze obciążenie, jednak nadal większa jej część  
znajdowała się  
pod wodą. Gdy Conan przyjrzał się uważniej, ryba zakołysała się nagle - coś ją z

pewnością  
podgryzało od spodu.  
- Tędy - pokazał Conan i poprowadził ich w kierunku wąskiej półki wrzynającej się w skałę. Ściany jaskini tylko troszkę oddalały się w tym miejscu od wody, a fluorescencyjne grzybki rosły z rzadka, czyniąc przeprawę bardzo zdradliwą. Ale i w tych warunkach bystre oczy Cymmerianina bez trudu wypatrzyły w miarę bezpieczną ścieżkę. Nie dalej niż po pięciu minutach marszu Conan zatrzymał się i gestem nakazał Elashi ciszę. Coś usłyszał. Dźwięk był trudny do zlokalizowania na skutek wszechobecnego echa, ale zdawał się dochodzić od strony wody.  
- Schowajcie się - nakazał. - Coś zbliża się od strony morza. Tull i Elashi posłusznie zamikli i skulili się za pobliskimi głazami. Conan zaś stanął w gęstym cieniu wielkiego obalonego stalagmitu, przewyższającego go dwukrotnie i tyleż szerszego. Oparł się plecami o ścianę i zamarł bez ruchu. Po chwili źródło dźwięku zbliżyło się, a barbarzyńca rozpoznał odgłos łodzi napędzanej przez wiosłarza, który rytmicznie pluskał w wodę wiosłem. A cóż to był za wiosłarz! Istota półtora raza wyższa od Conana nosiła na owłosionym grzbiecie spory garb i rozglądała się co jakiś czas dookoła swym pojedynczym okiem. Dla kontrastu z łąsą czaszką miała gęstą brodę, a masywne ramiona i trzymane w grubych paluchach wiosło napędzały łódź trzykrotnie szybciej niż Conan i Tull razem wzięci. Statek srebrzył się i świecił, zupełnie jakby był zwierciadłem na tle czarnej wody jeziora. Conan nie próbował nawet odgadnąć przedziwnego materiału, z którego go wykonano. Gdy łódź szybko przepływała obok, Conan zdołał zajrzeć, dzięki swemu znacznemu wzrostowi, do jej wnętrza. Na pokładzie obok jednookiego olbrzyma leżało coś, co wyglądało jak gigantyczna larwa. Biała nawet w zielonkawym świetle grzybów i pierścieniowata jak dżdżownica istota dorównywała obwodem beczce zarówno w środku, jak i przy zaokrąglonych końcach. Conan zastanawiał się, czy to ci sami osobnicy, których widział przelotnie w jaskini nietoperzy. Potrząsnął głową, gdy tylko statek i jego dziwni pasażerowie oddalili się. Wolał nie mieć z tą dwójką do czynienia. Po chwili nie było ich już widać, a wtedy Conan odwrócił się do Tulla i Elashi.  
- Widzieliście? - spytał.  
- Tak - odparł Tull. - Cyklop i robal gigant. Dziwne, są przecież wrogami, a jednak płynęli razem. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.  
- Och, to wspaniale! - zauważyła ironicznie Elashi. - Sprzymierzyli się dzięki nam. Albo raczej przeciw nam. Musisz być z siebie dumny, Conanie.  
- Chodźcie - uciał Cymmerianin. - Nie zauważyli nas, a zanim się zorientują będziemy już bardzo daleko. Zgodziwszy się z tym, wszyscy troje ruszyli w przeciwną stronę niż cyklop i robal. Deek podniósł głowę i sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Wikkel zrozumiał, że chce coś powiedzieć. Mało wiedział o wrażliwości zmysłów, ale wystarczyło je tylko posiadać, aby

wyczuć przeraźliwy odór, który wypełnił nagle całą jaskinię. Gnijąca ryba, bez wątpienia.

- Tam z prawej - pokazał Wikkel - unosi się na wodzie przyczyna tego smrodu, przyjacielu. Jedna z wielkich ryb zamieszkujących morze odeszła, by, jak się zdaje, dołączyć do swych przodków.

Wikkel rzucił okiem na gnijące mięso. Całkiem duża, pomyślał, musiała być straszna, gdy żyła.

Deek podniósł się i też patrzył na zdechłą rybę. Jego bracia, mieszkańcy głębin, w

oczywisty sposób dobrali się do niej, gdyż na jej bokach wyraźnie widział ślady wielkich

kęsów. Chociaż... rany te miały w sobie coś dziwnego.

Cóż, teraz to i tak nie ich problem. Opuścił się ponownie na pokład i użył swego ogona, by

pomóc Wikkelowi przy wiośle.

Z łatwością odnaleźli otwory w ścianie grotu. Tull zebrał kilka grzybków i zgniótł je w

dużą kulkę na wypadek, gdyby w tunelach zabrakło im światła, po czym cała trójka weszła do

największego korytarza. Conan od razu poczuł się lepiej. Istniało raczej niewielkie

prawdopodobieństwo, że ktoś mógłby ich tu śledzić, biorąc pod uwagę liczbę odgałęzień

korytarzy wiodących od Bezsłonecznego Morza. Dlatego też nie miał nic przeciwko zapobiegliwości Tulla, jako że ściany tunelu były niemal czarne. Średnicą dorównywał on

małej komnacie, wystarczająco wysokiej, by chodzić bez ciągłego schylania się i szerokiej

może na trzy kroki. W ślad za trzymającym świecą kulę Tullem ruszyli w głąb korytarza.

Nagle Conan zatrzymał się raptownie, nasłuchując.

- Co znowu? - spytała Elashi szeptem.

Conan próbował coś usłyszeć, ale niewyraźny dźwięk nie powtórzył się. Potrząsnął głową.

- To nic. Ruszajmy. I tak też uczynili.

Działania rozpoznawcze Harskeel, polegające na wysyłaniu do przodu nietoperza zwiadowcy, przyniosły efekty. Samotny lotnik powrócił i wylądował na tratwie. To Czerwonek, który zdawał teraz radośnie swój raport. Troje ludzi, których szukali, znajduje się

wprost przed nimi! Weszli do tunelu zaledwie kilka chwil drogi stąd. Nie, nie widzieli go,

tego Czerwonek był pewien.

Harskeel ucieszyło się. Nareszcie!

Deek nagle gwałtownie się ożywił, a Wikkel nie miał pojęcia, o co mu tym razem chodzi.

Wielki robał rzucał się w łodzi.

- Co się dzieje? - zapytał zaniepokojony Wikkel - Chcesz coś powiedzieć?

Robał uczynił gest, który cyklop traktował jako skiniecie głową.

- Dobrze. Przybijemy do brzegu, żebyś mógł znaleźć sobie kawałek skały.

Gdy tylko tam dotarli, Deek odpełzył z plaży i zaskrobał swym rozchwianym głosem:

- T-tamta r-ryba!

- Co z nią? Zwykle zepsute mięso.

Długotrwałe mówienie sprawiało Deekowi dużą trudność ze względu na sposób, w jaki to

czynił. Jak tu najlepiej wyjaśnić, że uciekinierzy nie mogli mieć łodzi ani nie zdołaliby jej

zbudować nad brzegiem Bezsłonecznego Morza? I że niektóre z ran w cielsku ryby ani trochę

nie przypominały śladów zębów jego głębinowych braci? Chyba najlepiej jeśli przejdzie od

razu do rzeczy:

- T-to ich ł-łódź!

Wikkel, choć potężny wzrostem, wcale nie był głupi. Cokolwiek Katamay Rey myślał o inteligencji cyklopów, on nie zostałby pierwszym asystentem czarodzieja, gdyby miał sieczkę

w głowie. Natychmiast zrozumiał podejrzenia Deeka.

- Tak sądzisz?

Deek, im bardziej o tym myślał, tym bardziej był pewny.

- T-tak.

Wikkel rozważył tę odrażającą możliwość i pokiwał głową.

- No tak, to byłoby w zasadzie do zrobienia. Powinniśmy przynajmniej sprawdzić taką

ewentualność, prawda?

- O-o-owszem.

Wrócili na pokład i Wikkel kilkoma silnymi ruchami wiosła odwrócił lekką łódź.

Po chwili

płynęli z powrotem. Sprytni to ludzie, jeśli zdołali sprawić sobie tratwę z martwej ryby. Może

nawet sprytniejsi, a tym samym niebezpieczniej się, niż się z początku wydawało.

Najmądrzej

będzie zachować szczególną ostrożność, gdy już się do nich zbliżą. Tylko głupiec na tyle

drżałby przed gniewem Reya, by pchać się prosto pod ostry miecz potężnego mężczyzny.

Nad wodami Bezsłonecznego Morza czarodziej Katamay Rey podróżował po nie kończącej się kładce w towarzystwie świty cyklopów. Mostek pojawiał się przed nimi, a

znikał z tyłu, zupełnie jakby poruszali się po najsolidniejszym, stałym lądzie.

Żywa tratwa Chunthy stworzona z ciał robali sunęła po wodzie, napędzana zaczarowaną

śrubą. Wiedźma trzymała się celowo z dala za czarodziejem, chcąc pozostać nie zauważona,

ale dość blisko, żeby w odpowiedniej chwili szybko zjawić się na scenie wydarzeń.

- Tam - pokazał Czerwonek, łopocząc błoniastym skrzydłem w stronę trzech otworów w ścianie skalnego klifu. - W środkowy korytarz.

- Jesteś pewien? - spytało Harskeel.

- Bez wątpienia.

- Dobrze. Ruszajmy zatem za nimi.

- Uhm, odnoszę wrażenie, że tu kończy się nasza umowa - zaproponował Czerwonek. - Zapewniliśmy wam wodny transport, a ta podróż teraz się skończyła.

- Ale jeszcze nie schwytaliśmy naszej zwierzyny.

- Waszej - przypomniał Czerwonek.

Harskeel oceniło sytuację. Czy potrzebowało jeszcze nietoperzy? A kto to wie? Lepiej

mieć je przy sobie bez potrzeby, niż nagle znaleźć się w sytuacji wymagającej ich pomocy.

- Obawiam się, że moja koncentracja jest teraz zbyt chwiejna, żeby wyczarować krew.

Czerwonek spojrział na niego z największym powątpiewaniem, na jakie tylko może sobie

pozwoić nietoperz wielkości małpy.

- Doprawdy? A co mogłoby wzmocnić twą koncentrację? Nie, pozwól mi zgadnąć: schwytanie trzech kasków?

- Och, jakże celnie trafiłeś.

Czerwonek kiwnął głową.

- No tak.

- Nieograniczona dostawa beczek krwi - kusiło Harskeel - wielką byłoby strata błędnie wypowiedzieć magiczną inkantację i zniszczyć czar, czyż nie?

Czerwonek przemyślał ostatnie zdanie nieco dłużej.

- Dobrze więc. Będziemy wam towarzyszyć.

- Ująłeś mnie tym za serce.

- Całkiem niezły pomysł.

- Słucham?

- Nie, nic takiego. Pospieszmy się, żeby ich złapać.

- A cóż to jest, na Mitrę?! - spytała Elashi, pokazując palcem. Przed nimi wąska jaskinia rozszerzała się do rozmiarów dużej komnaty. Na środku rosło kilka wysokich i kolczastych roślin o grubych łodygach. Świecące grzybki porastały tu gęsto wszystkie ściany, toteż nietrudno było dostrzec ogrom dziwnych, ciernistych tworów. Wokół każdej rośliny podłogę pokrywał błyszczący dywan z nieznanego materiału. Conan pomyślał, że już gdzieś taki widział, a w następnej chwili przypomniał sobie - oto budulec, z którego wykonano łódź cyklopa i robala.

- Och - westchnął Tull.

- Nie podoba mi się to "och" - zaciekawił się Conan. - O co chodzi?

- To są Tkaczki - odparł z niepokojem w głosie Tull.

- No i co? - dopytywała Elashi.

- Nie wiem o nich wiele, poza tym, że lepiej omijać je z daleka, jeśli można wierzyć opowieściom Albinosów i nietoperzy.

W tym momencie Conan usłyszał wołanie. Conanie!

Rozejrzał się dookoła. W jaskini nie było nikogo poza nimi. Conanie z Cymmerii! Silny, przystojny, męski Conanie! Głos należał do kobiety i niósł w sobie tyle słodczy i pożądanego, że Conan poczuł się nieswojo. Gdzie ukrywała się wołająca kobieta? Chętnie by się dowiedział, bo prawdopodobnie była warta bliższego poznania. Znacznie bliższego. Tutaj, Conanie. Tuż za tymi pięknymi roślinami przed tobą. Chodź do mnie, a spełnię każde twoje żądanie. Doznasz rozkoszy przechodzącej ludzkie pojęcie.

Conan zamrugał. Co za bezwstydnosc! Nigdy nie słyszał, żeby nawet ladacznice tak otwarcie mu się oferowały.

Wielki Cymmerianin spojrział na Elashi. Bez wątpienia nie uważałaby obcej kobiety za tak pociągającą i spodziewał się usłyszeć jej natychmiastową i pełną pogardy opinię. Ale nie, o dziwo Elashi stała, gapiąc się na rośliny, jakby nie widząc i nie słysząc, zagubiona we własnych myślach. Właśnie gdy się jej przyglądał, Elashi powoli ruszyła w kierunku Tkaczek.

Po chwili w tym samym kierunku posunął się Tull. Raptem Conan wyczuł jakąś nieprawidłowość w tajemniczym głosie. Nie lękaj się, potężny wojowniku - doszedł go znowu słodki ton. - Nie zajmuj się nimi. Oni nie staną między nami. Tyś jest tym, którego pragnę i któremu służyć będę wedle pragnień.

Elashi i Tull szli powoli w stronę bladego dywanu, nie zwracając uwagi jedno na drugie.

- Wstrzymajcie się chwilę! - zawołał Conan do przyjaciół. Żadnej się nie zatrzymało i barbarzyńca widział już zawieszony nad nimi cień zagrożenia. Ten głos - nie słyszał go uszami, lecz we wnętrzu głowy! To musiała być jakaś pułapka.

Conan dobył swego miecza z błękitnej stali i skoczył naprzód.

- Tull! Elashi! Stójcie!

Harskeel i jego ludzie w towarzystwie z nietoperzy posuwali się wzdłuż wąskiego korytarza. Z konieczności ich szeregi rozciągnęły się znacznie, gdyż nietoperze nie mogły lecieć tak blisko obok siebie. Jeśli informacje Czerwonka były prawdziwe, wkrótce powinni natknąć się na Conana i jego towarzyszy.

Harskeel z trudem powstrzymywało śmiech triumfu. Zamiast tego pospieszyło swych ludzi.

- Tam - powiedział Wikkel, pokazując grubym palcem brzeg. Martwa ryba podskakiwała lekko, uderzając z każdą falą o brzeg. Teraz, gdy przyjrżeli się dokładniej, Wikkel mógł rozróżnić głębokie wręby w cuchnącym mięsie, które z pewnością nie pochodziły od potężnych ugryzień drapieżników. Cyklop podpłynął łodzią do brzegu, po czym razem z Deekiem zeszli na ląd.

- W wodzie nie ma prawie w ogóle nurtu. Muszą być gdzieś w okolicy.

- M-może w s-stronę, z-z której-j p-przypłynęliśmy? - zasugerował Deek.

- Tak, to ma sens. Przecież nie mijaliśmy ich po drodze. Wracajmy do łodzi. Tym sposobem dotrzemy tam znacznie szybciej.

- Z-zgoda.

Żywiołowa reakcja Conana okazała się nieco krótkowzroczna. Skoczył do swych przyjaciół i zakrzyknął:

- Stójcie! - głosem, który rozniósł się echem po całej grocie. Ale... co miał uczynić,

gdyby się nie zatrzymali? Ciąć ich mieczem? Na szczęście zarówno Tull, jak i Elashi

wydawali się ogłuszeni jego wrzaskiem. Zatrzymali się tuż przy granicy powłoki na podłodze

i potrząsali teraz głowami, jakby budząc się ze snu.

Conanie, nie zwracaj uwagi na tych dwoje! Czekam na ciebie, tylko twoja.

Dotychczasowy aksamitny ton brzmiał teraz w umyśle Conana nieco ostrzej i gniewniej.

- Cofnijcie się - nakazał obojgu. Spojrzał w dół i zauważył, że stanął właśnie na

dziwnym dywanie pokrywającym pobliskie kamienie.

Elashi krzyknęła:

- Conan! Za tobą!

Potężny Cymmerianin zawirował w piruecie, składając się równocześnie do błyskawicznego ciosu. W ostatniej chwili, ponieważ zdołał zauważyć lecącą prosto na niego

grubą, bladezieloną linę. Potężny pęd trafiłby bezbłędnie w cel, ale gdy już miał zawinąć się

wokół ramienia barbarzyńcy, Conan ciął mieczem. Łodyga była twarda niczym drewno, ale

nie stanowiła przeszkody dla ostrza niesionego siłą muskularnych ramion Cymmerianina.

Odcięta część liny upadła na ziemię, a reszta śmignęła do tyłu, zaledwie dotknawszy

przegubu Conana i oderwawszy mu spory kawałek skóry. Wojownik poczuł w tym miejscu

jakaś lepka maź.

Elashi dobyła swego miecza, a Tull sięgnął po nóż i wszyscy troje rzucili się do tyłu, jak

najdalej od źródła zagrożenia. Kolejna lina wystrzeliła z otworu w pniu najbliższej rośliny, a

za nią następne.

- Szybko, to jakaś pajęczyna! - krzyknął Conan, brnąc w kierunku nagiej skały. Podobne wysiłki czyniła Elashi. Ale Tull poślizgnął się na gładkiej podłodze i upadł.

Natychmiast wylądowała na nim wystrzelona z impetem lina i przywarła do jego ubrania,

zupełnie jakby zawsze była jego częścią. Tull zaczął się ślizgać w kierunku roślin.

Conan przyskoczył do niego i rąbnął błękitnym ostrzem grubą linę. Musiał powtórzyć cios,

żeby ją przeciąć.

Wewnątrz swej głowy dosłyszał:

Siostry! Pomocy! Oto ci, którzy warci są jedzenia na wiele miesięcy! - Z głosu zniknęły

wszelkie ślady uwodzenia, została tylko wrogość.

Pięć, sześć, a wkrótce tuzin pędów wystrzeliło w stronę ludzi. Tull na czworakach jak

złękniiony pies rzucił się do ucieczki. Dwie liny śmignęły obok, nie trafiając

żadnego z nich.

Cymmerianin zorientował się, że warstewka pokrywająca podłogę była z tego samego materiału co liny, a ponadto wyznaczała ich zasięg. Podbiegł do Tulla i złapawszy go w pasie

silnym ramieniem, rzucił się w stronę najbliższej nagiej skały. Jedna z lin oderwała mu

jeszcze kawałek skóry z buta, zanim bezpiecznie wylądowali na kamieniach.

- Na bogów! - krzyknęła Elashi. Wszyscy troje gapili się na rośliny.

Czekaj, Conanie! - dobiegł go znów przesłodzony głos. - To jakieś nieporozumienie.

Chodź do mnie i zaznaj najgłębszych rozkoszy.

Conan spojrział na Elashi:

- Ty też to słyszysz?

- Tak, mocny głos pustynnego herszta - odparła. - Prosi mnie, bym była jego panią i pierwszą żoną.

Conan odwrócił się do Tulla.

- A co ty słyszysz?

- Dziewuchę, która osłabiłaby mnie doszczętnie swymi żądzami - odrzekł Tull.

Conan pokiwał głową. Teraz wszystko jasne. Rośliny emitowały pociągający głos, by

znieść ofiary. Dostatecznie znęcani z pewnością stawali się ich pożywieniem.

Nie - odrzekł głos - nie będziecie zjedzeni, uwierzcie nam.

- Nie sądzę - odrzekł Conan.

Odwrócił się do przyjaciół.

- Lepiej cofnijmy się i znajdziemy inną drogę.

Ledwie zdążyli się odwrócić, z korytarza, którym przyszli, wyleciał nietoperz.

Po chwili

dołączyły do niego inne, a w dali dały się słyszeć okrzyki ludzi.

Conan potrząsnął głową i uniósł miecz. Czyż to szaleństwo nigdy się nie skończy?  
XIII

Deek pierwszy wypatrzył wychodzące ze ściany otwory korytarzy. Wikkel przybił do brzegu, przycumował statek, po czym obaj zeszli na ląd.

- M-musieli p-pójść t-tamtędy.

- Czemu jesteś taki pewien?

- P-patrz - pokazał głową.

Wikkel szybko zauważył, o co mu chodziło. Skalna półka prowadząca do trzech tuneli po

kilku krokach zwężała się stopniowo, by w końcu stopić się z gładkim, pionowym klifem,

opadającym prosto w wodę. Musieliby być zręczni jak muchy, żeby przylepić się do takiej

ściany. Gdyby ich ofiary rzeczywiście tędy przechodziły, nie obyłoby się bez przepłynięcia

dość dużej odległości w lodowatej wodzie, a taki wariant nie wydał się Wikkelowi prawdopodobny. Jak do tej pory ludzie nie sprawiali wrażenia szczególnie

głupich, nie

widział też powodu, dla którego nagle postradali rozum.

- Tak, ale którym tunelem?

- J-jeden jest r-równie d-dobry j-jak k-każdy i-inny.

Wikkel pokiwał głową.

- To może ten z prawej?

- Cz-czemu n-nie?

Wspinaczka nie sprawiała cyklopowi zbytnej trudności, ale Deekowi poszło nieco gorzej.

Gdy w końcu dotarli do skalnego otworu, Wikkel zauważył, że jest w nim dość ciemno.

- Zejdę na dół i zbiorę trochę świecących grzybków.

- N-nie m-ma p-potrzeby. W-widzę ś-światnie w-w c-ciemnościach.

- Zatem prowadź, przyjacielu.

Obaj weszli do wąskiego korytarza.

Pech skierował skrzydła pierwszych czterech nietoperzy w stronę Conana. Pierwszy napastnik stał się dwoma pół nietoperzami na skutek gładkiego cięcia błękitnym ostrzem.

Drugi i trzeci wyszły z nurkowania, by uniknąć śmiercionośnego miecza, ale czyniąc to wpadły w zasięg roślin i ich lepkich lin. Tkaczki nie traciły czasu na pętanie ofiar swymi mackami i błyskawicznie przyciągnęły je do kolczastych paszcz. Czwarty nietoperz zdołał wykonać ciasny zwrot i wyszczerzył się, unikając wystrzelonej liny. Gdy Conan zamachnął się znowu, uśmiech nietoperza zniknął, podobnie jak jego głowa. Bezwładne ciało poszybowało w powietrzu, uderzając w pierwszego nadciągającego gwardzistę i zwalając go z nóg.

Elashi i Tull również nie próżnowali. Conan zauważył tylko, jak Tull rozpruwa brzuch jednego z nietoperzy, a żelazo Elashi odcina nogę i skrzydło innego. W uszy Conana uderzył zgiełk bitwy: wrzeszczące nietoperze, drący się ludzie, syk przecinających powietrze lepkich lin. Mimo wszystko uśmiechnął się. Oto coś, z czym umiał sobie radzić. Bezpośrednie zagrożenie, twarzą w twarz z wrogiem. Lepsze to niż przemykanie się bez końca po tych nieprzyjaznych korytarzach.

Z tą myślą Conan postąpił do przodu, tnąc mieczem nadlatujące nietoperze na prawo i lewo.

Jeden z pikinierów zaszarżował na Tulla i Elashi, nastawiając broń, by ich nadziać. Conan uśmiechnął się, widząc, jak jego przyjaciele uskakują na boki, a Tull podstawia napastnikowi nogę, podcinając go. Pechowiec potknął się, ale zdołał utrzymać równowagę i biegł niezgrabnie jeszcze jakieś dziesięć kroków, po czym stanął na jedwabista powłóczkę na podłodze i runął jak długi, ślizgając się w stronę żarłocznych Tkaczek. Zaraz spadła na niego para lepkich lin. Był już ich obiadem, i to tylko z własnej winy.

Nie czas teraz, by o tym myśleć. Trzeba się zająć sprawami w zasięgu ręki! Harskeel szalało z gniewu. Dwóch jego ludzi nie żyło, a pozostali skakali dookoła jak tancerze, nie mogąc zaatakować barbarzyńcy i jego przyjaciół. Nietoperze zaś padały jak koszona trawa. Dobyło nawet własnego miecza, bo nie miało żdźbła zaufania do swych ludzi, a tym bardziej do nietoperzy. Czas na magię, zdecydowało, i to szybko!

W sakwie przytroczonej do pasa znalazło dwie szklane fiołki. Jedna zawierała popioły, druga - słoneczny pył. Po rozbiciu o twardą powierzchnię pierwsza z nich eksplodowałaby, tworząc nieprzeniknioną ciemność, druga - oślepiająca jasność. Gdyby tak użyło słonecznego pyłu w tej grocie, światłość z pewnością oślepiłaby każdego, kto by w nią spojrzeł. Conan i tamci dwoje, ślepi, byłiby znacznie łatwiejszym przeciwnikiem.

Harskeel wyciągnęło odpowiednią fiołkę z sakwy i podniosło ją do rzutu. Muszą spojrzeć w tym kierunku, aby czar zadziałał po jego myśli.

- Conanie! - zawołało Harskeel.

Słyszając to, barbarzyńca odwrócił się od nietoperza, którego właśnie przeciął na pół.

Dźwięk jego imienia przyciągnął też wzrok stojących obok kobiety i mężczyzny. Świetnie!

Harskeel rzuciło fiołką o ziemię.

Na rozległych wodach Bezśłonecznego Morza Katamay Rey poczuł drgnienie w powietrzu. Daleko z przodu, ale był pewien, że dotyczyło jego sprawy. Niosącym go sługom



rozkazał:

- Szybciej! Cała naprzód!

Cyklopi usłuchali i puścili się biegiem, z szybkością nieosiągalną dla ludzi. Kładka pod ich

stopami zwiększyła tylko prędkość znikania z tyłu i pojawiania się przed nimi. Chuntha zatrzymała swą żywą tratwę przy brzegu i zeszła na piasek. Podeszła do

dużego, wypłukanego przez kapiącą z sufitu wodę głazu i pod jego osłoną obserwowała

drużynę cyklopów Reya. Spodziewała się zobaczyć go tuż przed sobą, ale rzeczywistość

zaskoczyła ją kompletnie. Czarodziej wysforował się znacznie do przodu i poruszał się z

dwukrotnie większą prędkością niż dotychczas. Klątwa Senshy na niego! Co Ten Bękart teraz

zamierza?!

Wiedźma pobiegła do tratwy i zwiększyła obroty magicznej śruby napędzającej jej

statek. Cokolwiek zamierzał, ona nie pozostanie w tyle!

Tratwa złożona z ciał robali zerwała się, rozpryskując wodę, i pomknęła za

czarodziejem.

- A-a n-niech t-to w-wszystkie d-demony! - Co jest?

Gigantyczny robal zatrzymał się i zaskrobał:

- T-to ś-ślepy z-zaułek. T-tunel z-zwęża s-się p-przed n-nami.

- Czy nie ma innej drogi?

- N-nie.

- A niech to Misha strzeli! Musimy cofnąć się do wejścia i spróbować innym

korytarzem.

- P-pospieszmy s-s-się.

Zaiste, pomyślał Wikkel, tak właśnie uczynimy.

Fiolka, którą Harskeel cisnęło, przeleciała kawałek w powietrzu i roztrzaskała

się o skałę dokładnie tam, gdzie celowało. Zamknęło oczy i zakryło je dodatkowo zgiętym

ramieniem.

Raz, dwa, trzy... chyba starczy!

Ale gdy Harskeel otworzyło oczy, przywitała je ciemność gęsta jak smoła.

Niech to wszystkie demony! Rzuciło nie tą przeklętą fiolkę, co trzeba!

Jaskinia nagle pociemniała i Conan obrócił się dookoła zaskoczony. Ta istota,

Harskeel,

rzuciła coś na podłogę. Zapewne to właśnie spowodowało nagle noc. Ale...

dlaczego? To

magia, bez wątpienia, do tego potężna, tylko w jaki sposób ciemność mogłaby

wspomóc

Harskeel?

Conan nie chciał czekać na odpowiedź. Wszeptał:

- Elashi! Tull!

- Tutaj! - opowiedziała cicho Elashi. - I tutaj - usłyszeli szept Tulla.

- Podejdźcie do mnie. Myślę, że potrafię nas stąd wyprowadzić.

Nagle cała okolica rozbrzmiała odgłosami potykających się, gdy rozmaite istoty

próbowały przemieszczać się, nie wpadając przy okazji na ściany lub innych. Nietoperze

radziły sobie stosunkowo najlepiej, ale nawet one musiały przecież od czasu do czasu polegać

na swych oczach. Conan usłyszał głucho łupnięcia, gdy niektóre z nich uderzały w locie w

inne istoty,

wszystkie spowite nieoczekiwane całunem nocy.

- Conan?

- Tutaj, Elashi.

Głos kobiety dobiegł go z bliska, toteż sięgnął ręką, żeby ją znaleźć. Jego dłoń

trafiła na

kształtną pierś.

- Nie teraz, ośle.

- Dobrze, że możesz żartować w takiej chwili - odrzekł zakłopotany.

W tej samej chwili Tull wpadł na jej plecy tak, że Conan poczuł, że ciało

pustynnej kobiety  
nagle ciasno do niego przywiera. - Hej! Uważaj tam!  
- Przepraszam, panienko.  
- Chwyćcie się za ręce - nakazał Conan. - Elashi, trzymaj moja.  
Odnaleźli swoje dłonie i Cymmerianin zaczął okrążyć pole Tkaczek. Wiódł go jego  
zmysł  
kierunku, ten wewnętrzny instynkt, który miał od dziecka i - mimo że ciągle  
wpadali na  
jakieś przeszkody: skały, ciała nietoperzy, półprzytomnych pikinierów - wreszcie  
wyprowadził przyjaciół do tunelu, coraz dalej od chaosu w grocie.  
Z tyłu Conan słyszał Harskeel rozkazujące swym ludziom i nietoperzom, by  
zablokowali  
przejście do korytarza, ale było już za późno.  
Deek i Wikkel zbliżali się do wyjścia z zaułka, gdy Wikkel kazał robalowi  
zatrzymać się.  
- Czekaj - powiedział zaniepokojony - coś słyszałem.  
Ostrożnie wyjrzeni z otworu w kamiennym klifie. Na tym etapie należało się  
interesować  
wszelkimi dźwiękami niejasnego pochodzenia, ponieważ mogły oznaczać duże  
kłopoty, toteż  
milcząco zgodzili się zachować szczególną ostrożność. Bardzo mądrze. Określenie  
"duże  
kłopoty" okazało się w porównaniu z rzeczywistością raczej eufemistyczne.  
Krawędzi skalistego brzegu dotykała drewniana kładka, niewątpliwie magicznie  
stworzona, ponieważ nie było jej tam wcześniej. Na niej stał Katamay Rey  
otoczony przez  
kilku braci Wikkela. Więcej cyklopów tłoczyło się na skalnej półce.  
Wikkel zmełł w ustach przekleństwo, pospolite i niegrzeczne słowo oznaczające  
kobietę w  
swoisty sposób zarabiającą na życie, po czym wycofał się pospiesznie do wnętrza  
ciemnego  
korytarza. Deek zgodził się z jego opinią na temat zaistniałej sytuacji i  
popęzł za  
przyjacielem równie szybko jak on.  
- Jesteśmy zgubieni - wyszeptał Wikkel.  
Wprawdzie Deek wyciszył swoje skrobanie, ale i tak wydawało się ono cyklopowi  
zbyt  
głośne.  
- N-niekoniecznie. P-patrz.  
Zrozumienie informacji zajęło cyklopowi krótką chwilę. Zgromadzenie poniżej nie  
wyglądało na zainteresowane korytarzem, w którym właśnie siedzieli. Nie, oni  
raczej kręcili  
się koło środkowego wejścia. Uczucie ulgi szybko osłabło, jako że była to  
zarówno dobra, jak  
i zła wiadomość. Dobra, bo prawdopodobnie Rey nie wiedział, że tu są. Zła,  
ponieważ  
najwyraźniej wiedział, iż ludzie, których poszukiwali jak się zdaje od zawsze,  
weszli w  
korytarz obok. Fakt, że Rey musiał osobiście pofatygować się, by ich schwytać,  
nie wróżył  
dobrze dla Wikkela. Oczywiście takie rozwiązanie pozbawiało też Deeka nadziei na  
zadowolenie Chunthy. Tragiczny scenariusz - jak by na to nie patrzeć.  
Ponure myśli robała i cyklopa zakłóciła nagła wrzawa na zewnątrz, potwierdzając  
ich  
domysły o pojawieniu się na scenie kogoś nowego. Żaden z nich nie widział  
przybyszy, ale  
obaj domyślali się, kto to jest. Wyglądało na to, że gra skończona.  
- Coś mi się zdaje, mój przyjacielu, że mamy kłopoty.  
- J-jako rz-rzekłeś, p-przyjacielu.  
Katamay Rey ucieszył się, widząc zaskoczenie na twarzach trojga ludzi, którzy  
wybiegli z  
tunelu. Widocznie nie spodziewali się takiego przyjęcia. Niemniej jednak szok  
nie trwał  
długo. Większy mężczyzna wyciągnął miecz o ciemnym ostrzu, a kobieta i drugi

mężczyzna  
dobyli swej broni niemal równie szybko. Bez wątpienia pokaleczyliby jego  
jednookie sługi,  
pomyślał Rey, a z kolei cyklopi, rozentuzjasmowani schwytniem ludzi, mogliby  
poranić  
któreś z nich. Po tych wszystkich wysiłkach czarodziej nie zamierzał pozwolić na  
uszkodzenie jego zwierzyny, zanim zdołałby zająć się nią osobiście. Zobaczył  
właśnie, jak  
duży mężczyzna gotuje się do skoku na pierwszego z nadciągających cyklopów. Nie,  
to nic  
nie da, pomyślał, trzeba załatwić sprawę inaczej.  
Katamay Rey zamachał rękami i wyrecytował kilka słów w języku, którego ostatni  
rdzenny użytkownik zmarł ponad tysiąc lat temu. W powietrzu zamigotała  
błyszcząca sieć o  
dużych oczkach, mocniejsza od hartowanej stali i odporna na ostrza broni. Sieć  
spadła na  
troje ludzi, pętając ich, gdy próbowali się wydostać.  
Jak większość jego magii, użycie tego czaru wyczerpało nieco nadnaturalnej mocy  
z  
powietrza w okolicy. Kładka pod stopami Reya zakołysała się lekko, ale po chwili  
uspokoila  
się. Nadmiar magii w jednym miejscu pozbawiał je na jakiś czas eterycznej  
energii, tak jak  
butelkę wina opróżnia się z płynu. Należało bardzo uważać, gdyż w przeciwnym  
wypadku  
blokowało się na pewien czas możliwość rzucania czarów. Zawsze lepiej mieć jakąś  
rezerwę  
na specjalne okazje. Ale to bez znaczenia teraz, gdy miał już tych troje...  
- Sprowadźcie ich na dół - rozkazał. Pół tuzina cyklopów pospieszyło, by wykonać  
polecenie.  
Ludzie złapani w sieć bezskutecznie próbowali się wyplatać. Dopóki nie postanowi  
rozproszyc magicznej mocy, nigdzie się nie ruszą.  
Katamay Rey zaśmiał się. Jakiegokolwiek zagrożenie dla jego panowania w Czarnych  
Jaskiniach stanowiło tych troje, sprawa właśnie się zakończyła.  
Chuntha obserwowała całe zajście z więcej niż lekkim poirytowaniem. Niech go  
Sensha  
strzeli! Zwyciężył ją w pogoni za zwierzyną!  
Naga wiedźma oparła się wygodnie o skałę i rozważyła swe możliwości. To, że był  
pierwszy, nie znaczyło jeszcze, że wygrał. Nie zostanie zwycięzcą, dopóki nie  
dotrze do swej  
twierdzy, chronionej przez magiczne osłony. Do tego czasu był niebezpieczny, ale  
nie  
niepokonany. Miała wszak za sobą element zaskoczenia. Atak w odpowiednim  
momencie  
mógł niechybnie zniweczyć jego zamiary.  
Oczywiście, dobór odpowiedniego momentu był kluczowy - błąd mógłby kosztować  
wiele, ale Chuntha nie rozpaczała. Miała jeszcze w zanadru kilka sztuczek, a  
myśl o  
zniszczeniu Tego Bękartu raz na zawsze żywym ogniem rozpalala jej podbrzusze.  
Schwyta  
swe ofiary, dwóch mężczyzn i kobietę - każde z nich bardzo przydatne - a dzięki  
odpowiedniemu planowi Rey wyruszy na nieoczekiwaną i nieodwołalną wycieczkę  
prosto do  
Gehenny.  
Och, jakże miła perspektywa.

XIV

Harskeel czuło, że gniew wypełnia je do granic możliwości. Gdy efekt magicznego  
popiołu opadł, odnalazło się pośrodku krwawej jatki. Żaden z gwardzistów nie  
przeżył. Z  
czterech jeden leżał cięty mieczem barbarzyńcy, drugi najprawdopodobniej nasycił  
apetyty  
roślin, bo nigdzie nie było go widać, kolejny stał się ofiarą zdezorientowanych  
nietoperzy, a  
ostatni leżał stratowany na kamiennej podłodze. Więcej niż kilka ciał nietoperzy

leżało

porozrzucanych po całej grocie. Czerwonek jednak uszedł z życiem. Nietoperz, z którym Harskeel ubijało interesy, podleciał do niego, licząc poległych.

- Zły to interes - zauważył.

Harskeel wolało nic nie mówić.

- Cóż, może w takim razie weźmiemy ten twój czar i na tym koniec, he?

Tym razem w gardle Harskeel znalazły się odpowiednie słowa, zimne i opanowane, niczym przeciwieństwo jego szalejącego gniewu.

- Mam jeszcze jedno zaklęcie, o nieco innym działaniu. Zamienia nietoperze w insekty.

- Żartujesz.

- Może życzysz sobie demonstracji? Na własnej osobie, na przykład?

Czerwonek rozważył to przez chwilę.

- Och, nie. Wierzę twemu słowu.

- To dobrze. Zatem zabierajmy się i schwytajmy tego barbarzyńcę, zanim zdecyduję, czy

wszystkie nietoperze w tej przeklętej jaskini przysłużą mi się lepiej jako nietoperze!

Wikkel i Deek patrzyli, jak cyklopi transportują więźniów na kładkę. Odebrano im broń, a

czarodziej usunął sieć, ale dopiero gdy każde z ludzi zostało zamknięte w silnym uścisku pary

cyklopów. Nawet wysiłki największego z nich nie zdały się na nic przeciwko krzepkim

ramionom braci Wikkela, a mężczyzna szybko się o tym przekonał i uspokoił się.

Kiedy Deek i Wikkel obserwowali całe zajście z ukrycia, Rey i jego świta podeszli do

końca kładki, która magicznie wydłużyła się przed ich stopami, a jej tylna część rozwiała się

jak dymek na wietrze. Po kilku chwilach cała grupa zniknęła im z oczu.

- C-co t-teraz?

Wikkel westchnął.

- Jesteśmy po uszy w kłopotach, rzekłbym. Ty nie możesz wrócić do domu, bo twoja pani niewątpliwie będzie z ciebie niezadowolona.

- T-to m-mało p-powiedziane.

- Ani ja nie mogę wrócić do moich jaskiń, skoro czarodziej musiał sam ruszyć się z

miejsca i zrobić to, co należało do mnie. A on nie potrzebuje nieudaczników.

- C-co w-w t-takim r-razie u-uczynimy? B-będziemy ż-żyć j-jak w-wyrzutki?

- Cóż, lepsze takie życie niż żadne, ale przyznam, że perspektywa myszkowania dookoła

w poszukiwaniu pożywienia wcale mnie nie pociąga.

- Z-zgadzam s-się.

Wikkel skinął głową, a myśl, która kiełkowała niewyraźnie w jego głowie już od dłuższego

czasu, przybrała teraz realne kształty.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, o ile lepiej wszyscy żylibyśmy, gdyby wiedźma i czarodziej nie osiedlili się w tych jaskiniach?

- N-nieraz.

- Albo, jako że tamto to jałowe rozmyślanie, czy oni nas kiedyś opuszczą, czy też

zniszczą się nawzajem?

- T-tym b-bardziej j-jałowe r-rozmyślanie.

- Może nie całkiem. Żaden z nas nie może powrócić do domu, ponieważ tych dwoje przeklętych władców zamieszkuje nasze jaskinie. Nasze życie jest bezwartościowe. W takim

razie dlaczego nie spróbować przeżyć go w sposób, dzięki któremu nasi bracia coś by zyskali?

- Cz-czy t-ty s-sugerujesz r-rewolucję?

- Owszem. Co masz do stracenia?

Deek rozważył jego słowa. Pomysł Wikkela, beznadziejnie absurdalny jeszcze kilka dnia

temu, nie brzmiał teraz już tak głupio. Nie gdy jedyny wybór stanowiło spędzanie reszty przeznaczonego im czasu na wegetacji w ukryciu i w ciągłej obawie, że Chuntha lub Katamay Rey odkryją ich istnienie i szybko położą mu kres.

- Nie chciałbym stawiać tego na ostrzu noża, Deek, ale... albo my, albo oni. A prawdę mówiąc, wolałbym raczej wersję "oni".

- Z-zgadzaś się - odrzekł Deek. A czemu by nie?

- No dobrze, w takim razie przekonajmy się, co możemy zrobić, by zdobyć pomoc. Co jakiś czas Conan naprężył mięśnie i usiłował wyrwać się cyklopom, ale równie dobrze mógłby próbować ulecieć w powietrze machając rękami - miałyby podobne szansę na sukces.

Chwycili go w żelazny uchwyt, a on nie mógł wykręcić się odpowiednio, żeby kopnąć któregoś z nich tam, gdzie zabolaloby najbardziej.

Elashi i Tull byli w podobnej sytuacji, a uśmiechy Conana ani trochę nie poprawiały im humorów. Przyszłość nie rysowała się szczególnie różowo, ale z drugiej strony, Cymmerianin bywał już w gorszych opałach i zdołał przeżyć do następnego wschodu. Kto wie? Zamartwianie się nie miało sensu, ponieważ nikomu jeszcze nie przyniosło pożytku. Conan wolał oszczędzać energię, by w razie czego ucapić się najmniejszej nadarzającej się okazji do ucieczki. Nawet gdyby odzyskał wolność i miał miecz w dłoni, pokonanie tych jednookich istot byłoby trudne, nie mówiąc już o czarodzieju, ale należało brać pod uwagę wszelkie ewentualności.

Chuntha patrzyła ze swego ukrycia, jak czarodziej i jego oddział przemaszerowali obok. Jeszcze nie pora, stwierdziła, ale coś się stanie, zanim Rey dotrze do swych bezpiecznych komnat. Już ona się o to postara.

Harskeel i otaczające je nietoperze dotarli do wylotu tunelu i wyszli na brzeg Bezsłonecznego Morza akurat w momencie, gdy Katamay Rey opuszczał okolicę ze swymi więźniami. Czerwonek rozpoznał czarodzieja i ostrzegł, że ewentualne rozdrażnienie go zaowocuje gorzkimi konsekwencjami.

Harskeel myślało, że zagotuje się z gniewu. Szczęśliwie zdołało utrzymać nerwy na wodzy. Dlaczego bogowie tak je karzą? Czy to jakaś część klątwy, dotychczas ukryta przed nim?

- Dobrze, popłyniemy za nimi i poczekamy na dogodną okazję.

- Okazję do czego? - spytał Czerwonek.

- Nieważne. Po prostu przygotujcie łódź do drogi.

Kiedy Harskeel i nietoperze wypływali w ślad za czarodziejem, Deek i Wikkell obserwowali ich z ukrycia.

- Ciekawe jaką rolę w tym wszystkim odgrywa ten dziwnie wyglądający człowiek. Niewątpliwie przypominasz sobie go lub może ją, cokolwiek to jest, z jaskini lęgowej nietoperzy.

- T-tak, t-to d-doprawdy z-zagadka.

Katamay Rey był bardzo z siebie zadowolony. Schwytał wszystkich troje z łatwością większą, niżby się spodziewał, z uwagi na niepowodzenie Wikkella. Z niecierpliwością oczekiwał przesłuchiwania tych ludzi w wolnym czasie, gdy już znajdą się w jego komnatach.

Niewątpliwie dostarczą mu wielu godzin rozrywki. Szczególnie ten duży, wytrzyma

zapewne  
dość długo, zanim osłabnie i utraci ducha.  
Nagle strop jaskini zazgrzytał i oderwało się od niego kilka dużych kamieni,  
które spadły  
na kładkę. Niemal natychmiast pojawiła się też krzycząca zjawa i z dużą  
prędkością runęła  
prosto na nich z niespodziewanie otwartej wysoko w stropie dziury.  
Zaskoczenie Reya było tak olbrzymie, że zapomniał nawet najprostszych zaklęć  
ochronnych. Ledwie miał czas, żeby uczynić osłaniający gest ręką, ale to  
wystarczyło, by  
zmienić tor lotu wrzeszczącego potwora na tyle, iż ominął kładkę i wpadł do  
wody. Niemniej  
jednak atak okazał się wystarczający, by zaskoczyć wszystkich, którzy go  
widzieli. Nie  
wyłączając oczywiście cyklopów trzymających więźniów.  
Uwaga Reya o jedno uderzenie serca za długo pozostawała skierowana w stronę  
przeciwną  
do schwytych ludzi.  
Jeden ze strażników Conana poluzował chwyt na tyle, by więzień mógł uwolnić  
rękę.  
Drugi z nich co prawda nadal trzymał mocno, ale na jego nieszczęście Conan  
zdołał się  
wykręcić w uścisku i ugodzić obutą stopą w najczulsze miejsce u wszystkich chyba  
wyprostowanych gatunków. Bez względu na swą posturę i siłę, cyklop wydał z  
siebie nagle  
jakby dziewczęcy kwik i zupełnie odruchowo znalazł lepsze w tej chwili zajęcie  
dla rąk niż  
trzymanie więźnia. Obolały zgiał się wpół i upadł na ziemię, jęcząc.  
A Conan już działał. Skoczył na cyklopa trzymającego Elashi i powtórzył  
wypracowany  
właśnie cios. Ten jednooki wykazał większy refleks i, chroniąc przyrodzenie,  
puścił Elashi,  
zamierzając zablokować atakującą go stopę Conana. O to tylko chodziło  
Cymmerianinowi,  
który w ostatniej chwili nieoczekiwanie wstrzymał kopnięcie, a zamiast tego z  
całej siły  
pchnął cyklopa do tyłu. Olbrzym stał zbyt blisko krawędzi kładki, by utrzymać  
równowagę.  
Rozpaczliwie zamachał długimi łapami i wleciał jak skała do lodowatej wody.  
Tymczasem Elashi pobiegła po zostawioną w ogólnym zamieszaniu bez opieki broń.  
Rzuciła Conanowi jego miecz, a on natychmiast skierował ostrze w stronę  
strażników  
trzymających jeszcze Tulla. Cyklopi najwyraźniej nie mieli ochoty zasmakować  
błękitnej  
stali, gdyż błyskawicznie zrozumieli jego przesłanie i wypuścili więźnia.  
- Do wody! - krzyknął do przyjaciół Conan.  
Tull i Elashi posłusznie rzucili się do jeziora, ta ostatnia nie zważając na swe  
skromne  
doświadczenie pływackie.  
Mimo wrzawy i zaskoczenia nie mieli dużych szans na ucieczkę, jako że czarodziej  
już  
zaczynał orientować się w sytuacji, a poza tym nie było gdzie się ukryć. Conan  
wypłynął na  
powierzchnię, jedną ręką holując Elashi, a drugą wiosłując wściekle ku  
najbliższemu  
brzegowi. W każdej chwili spodziewał się pocisku magicznej energii, który spali  
go na  
popiół, ale mimo to parł naprzód.  
Chuntha dostrzegła swą szansę. Coś spadło z sufitu jaskini, prosto na głowę  
czarodzieja, a  
gdy ten miotał się w zamieszaniu razem ze swoją nieporadną bandą cyklopów,  
piękny  
mężczyzna i pozostali dwoje zdołali wyrwać się strażnikom i wskoczyć do wody.  
Dobrze!

Zapewni Reyowi zajęcie na najbliższe kilka chwil, żeby troje ludzi dotarło bezpiecznie do brzegu. Nimi zajmie się później.

Wiedźma przyspieszyła tratwę i skierowała ją wprost na magiczną kładkę. Ze swej sakwy wydobyła zatkany korkiem i zalany woskiem gliniany dzban, we wnętrzu którego ukryła magiczną mgłę. Uśmiechnęła się, widząc, że czarodziej już ją zauważył.

- To wiedźma! Wiedziałem, że to jej robota!

Uniósł ręce, by zmieść ją jakimś potężnym czarem, ale tym razem Chuntha była szybsza.

Wyrwała korek z dzbanu, a z jego wnętrza wylała się gęsta mgła. Szybko zakorkowała naczynie, ale ta chwila i tak wystarczyła, by wypełnić okolicę szarą, wilgotną chmurą pary, która skutecznie uczyniła wiedźmę i czarodzieja niewidzialnymi dla siebie nawzajem.

- Niech cię Set strzeli, dziwko!

- I ciebie, bękarcie!

Błysnął nagle magiczny piorun - to czarodziej próbował rozproszyć mgłę, ale Chuntha szybko skontrolowała jego czar, ponownie otwierając dzban. W czasie tych zmagania cała dostępna energia magiczna w okolicy znacznie zmalała. Do tego stopnia, że pewien czas przestało się nadawać do rzucania jakichkolwiek czarów.

Pora opuścić scenę, pomyślała Chuntha. Pora znaleźć tego dużego, przystojnego mężczyznę...

Spiesząc wzdłuż brzegu morza, Harskeel ujrzało w oddali gęstą mgłę. A cóż to znowu?

Ciekawe. Gdzie jest ten przeklęty nietoperz, kiedy go potrzebuję!? Przyspieszyło kroku.

Conan dopłynął do płytkiego szelfu, na którym mógł stanąć. Postawił obok Elashi. Po chwili pojawił się Tull.

- Co się tam stało? - zapytał.

- Nie wiem - odparł Conan - i nie chcę wiedzieć. Lepiej znajdziemy się jak najdalej stąd.

- Słusznie - zgodziła się Elashi.

Z pokrytej kożuchem mgły wody za nimi dobiegł głos:

- Niezły pomysł jak na kogoś, kto ma pewnie mniej mózgu niż połówka dyni.

Conan obrócił się, wysuwając miecz w tamtą stronę. Ten głos... skądś go znał... Elashi rozpoznała go pierwsza.

- Lalo!

Zaiste. Wpatrując się w otaczające ich mleko, Conan ujrzał przeklętego człowieka, którego spotkali kilka dni temu w karczmie, wychodzącego z mgły i brnącego ku nim przez wodę.

Czy to naprawdę dopiero kilka dni? Zdawałoby się, że minęło pół wieku.

- Co ty tutaj robisz? - zdumiała się Elashi.

- Pomyślałem, że wpadnę i zrobię wam niespodziankę - odparł Lalo. - Chociaż przypuszczam, że mało co nie zaskakuje twego małopowatego towarzysza. O co tu w ogóle chodzi? - wyszczerzył się w swym stałym, szyderczym uśmiešku tak, że nawet Conan musiał się uśmiechnąć.

- Wyjaśnię ci wszystko i przedstawię cię Tullowi później - odrzekł barbarzyńca.

-

Teraz lepiej zmykajmy stąd, zanim mgła się przerzedzi.

- Dobra, dobra, Conanie, powiedz, czy dla ciebie mgła kiedykolwiek się przerzedza?

Elashi parsknęła śmiechem, co ani trochę nie zdziwiło Conana, tych dwoje powinno się

pobrać. Ona byłaby nie lada wyzwaniem dla tego słomianowłosego mądrali. Deek i Wikkel sunęli w swej jedwabistej łodzi tyle że znacznie ostrożniej, niż poprzednio. Przybyli na miejsce konfrontacji swych władców, a właściwie eks-władców, w momencie gdy opadały już resztki magicznej mgły. W ostatniej chwili zobaczyli Chunthę odpływającą pospiesznie na tratwie zbudowanej, wydawałoby się, z dwóch tuzinów braci Deeka, a na środku jeziora ujrzeli Reya kierującego swą czarodziejską kładkę ku najbliższemu brzegowi.

- Ciekawe, co tu się stało?

Deek nie mógł odpowiedzieć w łodzi, ale jego ciekawość była równie nienasycona. Podekscytowany pomachał ogonem.

- Masz rację - prawidłowo odczytał jego gest Wikkel. - Lepiej nie zbliżajmy się zbyt. Nie widzą nas i wolałbym, żeby tak zostało. Znajdźmy sobie jakąś zatoczkę, gdzie można by zejść na ląd.

Obrócił łódź i spojrział przez ramię.

- Nie żeby miało to jakieś znaczenie, ale nie wypatrzyłem ludzi, których mieliśmy schwytać. Ciekawe, czy zdołali umknąć? Nadal możemy ich znaleźć.

Deek pomachał przecząco głową.

- Prawda, teraz mamy inne cele. Niemniej jednak moglibyśmy namówić tych troje, żeby nam pomogli. Wydają się mieć dużo szczęścia i nie zaszkodzi zyskać w ich sprzymierzeńców.

Jeśli rzeczywiście się na nich natkniemy, pomyślał Deek.

- Oczywiście, jeśli się na nich w ogóle natkniemy - dodał Wikkel.

Dziwne, pomyślał Deek. Zaczynają już całkiem podobnie myśleć.

To może oznaczać początek pięknej przyjaźni - zakładając, że dożyją chwili, by się nią cieszyć.

XV

Tull chciał zaraz po wyjściu na suchy ląd uciec z powrotem do miejsca, skąd ich porwano.

Conan był jednakże innego zdania.

- Tego właśnie spodziewa się czarodziej - wyjaśnił. - Lepiej kierujmy się w przeciwną stronę.

Nieoczekiwanie rację przyznał mu Lalo:

- Mimo że twój wygląd sugeruje co innego, to bardzo mądry pomysł.

Conan potrząsnął głową. Kłątwa Lalo zdolna była nawet komplement obrócić w obelgę.

Cała czwórka ruszyła szybko wzdłuż zamglonego brzegu, z nadzieją że będą już daleko, gdy sina osłona wyparuje.

Już po paru minutach marszu napotkali po prawej stronie kilka korytarzy. Tull zwrócił się

do Conana:

- Jak myślisz, w którą stronę?

- Jego się pytasz? - zdziwił się Lalo. - Chyba znajdzie się w tobie więcej pomysłu

niż w spróchniałym pniu, starcze?

Tull sięgnął po nóż.

- Stój! - krzyknęła Elashi, powstrzymując jego ramię. - Na Lalo ciąży kłątwa.

- Wkrótce zaciąży mu ziemia, jeśli nie powstrzyma swego języka - syknął Tull.

- Ale on nie może przestać cię obrażać. Na tym właśnie polega przekleństwo.

Tull zastanowił się.

- Doprawdy? Co za dziwny sposób dokuczenia komuś.

- Nie chciałem przerywać dyskusji - wtrącił Conan - ale zaraz ucierpimy jeszcze bardziej, jeśli dłużej będziemy tak stać i czekać na czarodzieja i jego jednooką świtę.

- Słusznie - zgodził się Tull. - Którędy zatem?



- Tędy - odrzekł Conan, pokazując na najbliższy korytarz. Zerknął na Elashi, żeby sprawdzić, czy zamierza się z nim sprzeczać, ale tym razem dziewczyna milczała. Patrzyła na Lalo.

Po dwudziestu minutach od czasu, gdy wbiegli do korytarza, napotkali rozgałęzienie.

Kontynuowali wędrówkę prawym korytarzem. Wkrótce wąskie przejście przekształciło się w szeroki, nisko sklepiony hali, na którego podłodze leżały porozrzucane skały w kształcie poduszek. Zasiedli na czterech z nich, by złapać oddech.

- Może jedno z was, półmózgi, wyjaśnią mi, o co w tym wszystkim chodzi? - zaczął

Lalo.

Elashi spojrzała na Conana.

- On chyba mówi o tobie.

- Ty znacznie lepiej radzisz sobie ze słowami - odparł Cymmerianin. - Ty mu powiedz.

- A więc dobrze - zgodziła się i opowiedziała o przygodach, jakie spotkały ich w ciągu

ostatnich dni. Tull dodał kilka informacji na temat podziemnych jaskiń i ciągłego konfliktu

pomiędzy czarodziejem a wiedźmą. Gdy skończyli, Elashi zapytała Lalo, dlaczego on znalazł

się w Czarnych Jaskiniach.

- Jak to zwykle bywa, nadużyłem gościnności w wioskowej gospodzie. Obraziłem ohydą córkę właściciela o jeden raz za wiele i pokazano mi drzwi. Stara bajka. Dlatego

zdecydowałem się podróżować niebezpieczniejszym szlakiem - nie miałem nic do stracenia.

Widziałem ślady waszej podróży - martwą Bestię-Strażnika i ludzi Harskeel, wyglądających znacznie gorzej - znak, że dobrali się do nich wszędobylscy padlinożercy.

Przez cały czas nie działo się nic szczególnego, do chwili gdy... rozstała się

ziemia i wpadłem do wielkiego jeziora w głębokiej jamie. Sądziłem, że oto nadszedł czas, by

opuścić ten świat dla następnego. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy ujrzałem

was troje stojących na kładce, praktycznie tuż przed moim nosem.

- Mogę sobie wyobrazić - odparł Conan sucho.

- No, a tak w ogóle, to jaki sposób wymyślił wymyślił twój malutki mózdzek, żeby się

stąd wydostać?

Kłątwa, nie kłątwa, jeśli on zamierzał dalej tak gadać, Conan wątpił, czy zdoła długo

utrzymać nerwy na wodzy. Uśmiechnął się jednak przychylnie i odrzekł:

- Z początku chcieliśmy odnaleźć drogę do wyjścia tylko po to, żeby uciec.

- Z początku? - Elashi i Tull zabrzmieli wspólnym echem.

- Owszem. Po ostatnim epizodzie nasze plany się zmieniły.

- Doprawdy? - Elashi i Tull nadal nie mogli ukryć zdziwienia.

Conan ciągnął dalej:

- Uhm, teraz zaś zamierzamy zabrać kilka drogocennych rupieci zgromadzonych zapewne w siedzibie wiedźmy albo czarodzieja, albo obojga, w ramach zapłaty za nasze

kłopoty tutaj. Później uciekniemy.

- Czyś ty oszalał?! - krzyknęła na niego Elashi.

- Ani trochę. Przypomnij sobie, jak Tull opowiadał nam, że i wiedźma, i czarodziej mają

kolekcje drogich kamieni i złota uzbierane przez wieki rabowania podróżników.

- Pamiętam, ale nie wyobrażasz sobie chyba, że wejdiesz do twierdzy maga i skradniesz

mu jego błyskotki?

- A czemu by nie? Wiedźma i czarodziej właśnie nas teraz szukają, zgadza się? Przypomnij sobie tratwę z robali, którą widzieliśmy. Jak ci się wydaje, gdzie szukaliby na samym końcu?

- On oszalał - powiedziała Elashi do Tulla. Lalo zachichotał.

- Możliwe, ale w jego planie nie ma nic nieprawidłowego, poza tym że wyszedł od niego.

Gdy kota nie ma, myszy harczą.

- Ty też, widzę, dałeś odpocząć rozsądkowi - skwitowała Elashi.

Lalo przytaknął głową.

- Nieuniknione, po tylu latach głupiego uśmiechania. Jak się możesz domyślić, nie żywię miłości do czarodziejów, a zemsta na jednym z nich bardzo mi odpowiada. Mając dość

pieniędzy, możesz obrażać każdego i ujdzie ci to na sucho. Bogaty człowiek może sobie też

kupić towarzyszy, którzy wiele wytrzymają, zachęceni odpowiednią płacą. Albo nawet

znaleźć innego maga, który odwróciłby zaklęcie. Wraz ze znacznym bogactwem zyskuje się

znaczny respekt. Z przyjemnością ci pomogę, barbarzyński bufonie.

Conan uśmiechnął się.

- Miło mieć cię po swojej stronie, Lalo.

Elashi i Tull spojrzeli po sobie.

- Może Conan ma trochę racji - zastanowił się Tull.

- O tak, on z pewnością ma... mniej mózgu niż przygłupia pluskwa! - oburzyła się Elashi.

- Czekam zatem na twoje sugestie - odparł Conan.

Wbrew sobie Elashi uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- No dobra, wiem, o co ci chodzi. Nie mam lepszego pomysłu. Przynajmniej na razie.

- Zrobmy to więc - skwitował Conan. - Sądzę, że mogę was doprowadzić do kryjówek Tulla. Czy zdołasz nas stamtąd skierować do siedziby czarodzieja albo wiedźmy, Tull?

- Pewnie.

- Zatem w drogę.

Conan dumny był ze swojego planu. Uznał, że wiedźma i czarodziej są im coś winni za

kłopoty, jakie im oboje sprawili. Czy istniał lepszy rewanż niż taki, z którego przy okazji

mieliby finansowy zysk? Jak powiedział Lalo, dość pieniędzy działa jak kojący balsam. Tak,

zaiste, złoty balsam złagodzi wszelkie troski...

Choć przyzwyczaili się do wzajemnego towarzystwa, Wikkel i Deek postanowili jak najszybciej wrócić do własnych braci. Jako że wiedźma i czarodziej podróżowali właśnie po

rozległych jaskiniach, był to najlepszy moment, by przedstawić robalom i cyklopom plany

pozbycia się złych władców.

Dlatego, gdy Chuntha i Katamay Rey zagłębiali się coraz bardziej w rozwidlenia Bezsłonecznego Morza, szukając trojga zbiegłych ludzi, Deek i Wikkel zawrócili swój statek

w stronę domu.

Wiosłowali rażno, aż obaj poczuli się zmęczeni i głodni. Wtedy przybili do brzegu, by

odpocząć i pożywić się niektórymi gatunkami rosnących wszędzie grzybków.

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie będzie łatwe.

- W-wiem. N-nasi b-bracia b-będą s-s-się b-bać.

Wikkel pokiwał głową i wgryzł się łapczywie w brązowego muchomora o śliskim kapeluszu.

- Masz całkowitą rację. Zarówno czarodziej, jak i wiedźma są bardzo potężni.

Wielu z

nas może umrzeć. A do takiego poświęcenia trudno wszystkich przekonać. Obawiam

się, że  
moi bracia pomyśla, iż chcę po prostu chronić własną skórę.  
- O-otóż t-to.  
- Tak, ale na dłuższą metę będzie nam wszystkim znacznie lepiej bez tych despotycznych władców.  
- N-na d-dłuższą m-metę, t-to w-wszyscy j-jesteśmy t-trupami.  
- No tak, z pewnością. Ale spójrz na nas. Radzimy sobie całkiem nieźle, choć przyznaję, że z początku miałem co do ciebie zgoła inne plany.  
- T-tak j-jak i j-ja.  
- A przecież nie ma powodu, dla którego twoi i moi bracia nie mogliby żyć w przyjaźni, gdyby tylko pozbyć się tych dwojga tyranów.  
- Z-zgadzam s-się.  
- Musimy przekonać naszych braci i siostry do spojrzenia w przyszłość, Deek. Cóż, może nawet stworzymy coś w rodzaju wspólnej rady, wy i my, z przedstawicielami Tkaczek, a kto wie, czy nie nietoperzy i Albinosów. Sprowadzimy dobrobyt do jaskiń, zamiast ciężkich butów Reya i Chunthy, którymi nas depczą.  
- A -ambitna i-idea.  
- Owszem. Ale zjednoczeni z pewnością pokonamy nawet tak potężne istoty, jak tych dwoje.  
- M-miejmy n-nadzieję.  
Wikkel uśmiechnął się, ukazując w zielonkawym świetle rząd grubych zębów.  
- Masz, przyjacielu, skosztuj tej grzybowej kulki.  
- Dz-dzięki, przyjacielu.  
Deek złapał soczystego grzybka szeroką przerwą w ciele, która służyła jego gatunkowi za otwór gębowy. Zwykle robale ukrywały ją pod fałdem twardej chityny, nigdy nie pokazując paszczy, chyba że w kontakcie z zaufanym przyjacielem lub życiowym partnerem. W tej chwili Deek pomyślał, że jeśli nie mógłby ufać jednookiemu Wikkelowi, to już chyba nikomu innemu.  
- Bardzo możliwe, że znajdziemy się na kartach historii - rozmarzył się cyklop, sięgając po kolejnego grzybka.  
- A-albo w-w w-wapiennej dz-dziurze - zauważył trzeźwo Deek. No tak. To też niewykluczone.  
Gniew Katamaya Reya żarzył się nadal, teraz jednak został nieco przygaszony przez strach. Obcy mężczyzna w jaskiniach - Conan, jak wołała na niego kobieta - umknął mu znowu. Zły znak, biorąc pod uwagę przepowiednię kryształu. Oczywiście, winę za to ponosi wiedźma. W jakiś sposób spowodowała, że strop osunął się prosto na nich, a jej golem lub sługa, cokolwiek to było, nie trafił w cel tylko dzięki szybkiemu refleksowi Reya. Następny atak, ta przekłeta mgła, i jego kontra wyssały magiczną energię z całej okolicy, więc nie mógł zadać wiedźmie miażdżącego ciosu, na który sobie zasłużyła. Gdyby tylko zaczerpnął nieco więcej mocy, zachwiałyby konstrukcją kładki, która rozpląnęłaby się w powietrzu. Dopiero miałyby problem do rozwiązania.  
Gdy w końcu mgła się przerzedziła, ani wiedźmy, ani zbiegów nie było nigdzie widać. W pobliżu ledwie wystarczyło mocy, by uruchomić magiczną kładkę i ruszyć za nimi w

pogoń.

Z początku bardzo powoli, ale w miarę jak opuszczali pozbawiony magii rejon, tempo ich marszu wzrastało. Och, zapłacisz mi za to Chuntha! I odpowiednio pocierpisz przy tej okazji.

Tratwa Chunthy niemal się rozpadła w czasie bitwy z czarodziejem. Magiczny klej zmiękł

i cała konstrukcja zaczęła się kołysać i niebezpiecznie przechylać na boki. Na szczęście w

porę zdążyła umknąć daleko od miotającego się Reya i jej środek transportu nie zamienił się z

powrotem w grupę pływających robali. W nienaruszonej magicznie przestrzeni tratwa

ustabilizowała się, a spoiwo ponownie stwardniało. Chuntha zwiększyła obroty śruby

napędowej. Piękny barbarzyńca uciekł i niewątpliwie razem z towarzyszami będzie się teraz

co sił kierował jak najdalej od czarodzieja. Chuntha musiała jedynie wracać dotychczasowym

kursem, dopóki ich nie odnajdzie. Albo przynajmniej jakiegoś ich śladu.

Miała teraz przewagę nad czarodziejem i zamierzała ją w pełni wykorzystać. Zastanawiała

się, czym była zjawa, która spadła ze stropu, ale niezbyt długo. Z pewnością efekt jakiegoś

niezręcznie rzuconego czaru Reya - wyszedł mu niezły niewypał. To jej nie obchodziło. W

przeciwieństwie do mężczyzny, którego szukała, i postanowiła wykorzystać wszelkie

dostępne jej środki, by go dopaść i wykorzystać. Z przyjemnością.

Opuściwszy tratwę, Harskeel wyruszyło wzdłuż brzegu i dotarło na scenę wydarzeń pod

sam koniec potyczki między wiedźmą a czarodziejem. Kiedy magiczna mgła zasnuła okolicę,

Harskeel zorientowało się, że to dla niego zbyt niebezpieczne. Szybko rozkazało nietoperzom

rozproszyć się, a samo znalazło dużą skałę w kształcie podkowy i ukryło się za nią.

Nagle z mgły wyłoniła się tratwa zbudowana z wielkich, białych robali, a na niej piękna,

naga kobieta. Dziwny statek popłynął w kierunku, z którego właśnie przybyło Harskeel.

Kilka chwil później mgła opadła, ukazując klnącego wściekle czarodzieja na zawieszanej

w powietrzu kładce.

Po Conanie i jego towarzyszach nigdzie nie było ani śladu.

Po chwili czarodziej zaczął iść po swej kładce, która pojawiała się w miarę, jak po niej

kroczył. Razem z drużyną cyklopów podążali w ślad za wiedźmą.

Ciekawe, pomyślało. Znajdując się poza zasięgiem mgły, widziałoby wszak uciekającego

Conana. Skoro jednak ani wiedźma, ani czarodziej nie pochwycili barbarzyńcy, znaczy, że

skierował się w przeciwną stronę. Ha! Wiedźma i mag obrali błędny kierunek. To źle dla

nich, ale dobrze dla Harskeel.

Gdy tylko kładka czarodzieja zniknie w oddali, Harskeel przywoła te głupawe nietoperze i

będzie mogło kontynuować wyprawę. Przy odrobinie szczęścia minie trochę czasu, zanim

tamci zdadzą sobie sprawę z błędu. A jeśli bogowie będą łaskawi, to może czarodziej i

wiedźma zniszczą się nawzajem, choć z drugiej strony Harskeel wolało zbytnio na to nie

liczyć.

Czarodziej i jego świta cyklopów pomaszerowali, niesieni przez magiczną kładkę, i wkrótce zniknęli mu z oczu. Zaraza, gdzie są te durne nietoperze!?

XVI

Wykorzystując swój niewiarygodny zmysł orientacji, Conan poprowadził przyjaciół przez

wijącą się płataninę korytarzy prosto do kryjówki Tulla.

Co ciekawe, jaskinia lęgowa nietoperzy, przez którą przechodzili, stała opuszczona, i

wyglądało na to, że już od dawna. Conana absolutnie nie obchodziło, gdzie wałęsają się te

latające wampiry, dopóki nie trzepotały mu skrzydłami nad głową.

- Uhhh - mruknął Lalo z podziwem na widok grotu Tulla. - Nieźle sobie radzisz z domem, prawda? Szkoda, że nie jesteś kobietą, byłbyś dla kogoś świetną żoną.

Tull posłał mu wymuszony uśmiech, nie przestając bawić się rękojeścią swego noża.

Conan z każdą chwilą coraz lepiej zdawał sobie sprawę, jak ważna była dla Lalo umiejętność jakiejś sztuki walki. Nawet jeśli ktoś wiedział o jego kłatwie, Lalo i tak

koszmarnie działał na nerwy. Chcąc zmniejszyć napięcie, Conan rzekł:

- Gdzie będzie bliżej, do więdźmy czy do czarodzieja?

- O ile wiem, odległość jest w przybliżeniu taka sama - odrzekł Tull.

- Hmm. W takim razie które z nich zgromadziło więcej skarbów?

Tull podrapał się po brodzie, zamyślony.

- Zależy, czego szukamy. Czarodziej ma słabość do złota, które nie śniedzieje jak srebro

ani nie rdzewieje jak żelazo, co byłoby nieuniknione w tych, jak niewątpliwie zauważyliście,

niezmiernie wilgotnych jaskiniach.

- Hmm. To brzmi obiecująco - wtrącił się Lalo.

Tull i Conan zamilkli w oczekiwaniu na nieuniknioną drwinę, ale nie doczekali się.

Okazało się to niemal równie irytujące.

- Z drugiej strony - zaczął znowu Tull - więdźma przepada za szlachetnymi kamieniami; rubiny, szmaragdy, diamenty - to jej cacka.

Conan zastanowił się. Wyjątkowo ciekawy wybór. Złoto? A może kamienie? Prawdziwy dylemat.

- Może moglibyśmy napaść na obie komnaty?

- To jakieś szaleństwo - powiedziała Elashi do Lalo. - Jeśli on miał coś kiedyś w tym

małym mózdzku, z pewnością już tego nie ma. Chciwość cię ogłupia, Conanie.

Conan zignorował ją, ale odpowiedź Tulla wkrótce zniweczyła pomysł podwójnej grabieży.

- Raczej nie - stwierdził - Obie komnaty leżą co prawda w tej samej odległości, ale w

przeciwnych kierunkach. Z jednej do drugiej maszerowalibyśmy ze dwa dni.

- Niedobrze - zamyślił się Conan. - Cóż, w takim razie ruszajmy do komnat więdźmy.

Elashi podniosła brew i zwróciła się do niego:

- A to dlaczego?

Conan miał już na końcu języka, że łatwiej poradzą sobie z więdźmą, która jest kobietą,

niż z czarodziejem, gdyby coś poszło nie tak, ale przypomniał sobie niedawne podróże z

Elashi i fakt, że taka argumentacja tylko by ją zirytowała i wywołała w konsekwencji

niepohamowany potok obelg i wyzwisk. Z jakiegoś powodu wydawała się przekonana, że

kobiety dorównują mężczyznom na każdym polu, a Conan nie miał ochoty służyć jej kolejnej tyrady. Być może w końcu uczył się postępować z kobietami.

- No? - ponagliła.

Conan pomyślał szybko.

- Cóż, dobrze oszlifowane kamienie są znacznie cenniejsze od złota i do tego lżejsze.

Moglibyśmy unieść ich więcej niż monet.

Tak, to miało sens, Elashi pokiwała głową.

Conan starał się utrzymać kamienny wyraz twarzy, mimo że w duchu śmiał się od ucha do

ucha. Z jego umysłem było wszystko w porządku, choć Lalo i Elashi uporczywie mu dokuczali.

- Nie czekajmy zatem ani chwili dłużej - rzucił Cymmerianin. - Prowadź, Tull. Wysiłki Wikkela nie dały szczególnych rezultatów. Opór cyklopów okazał się

znacznie silniejszy, niż się spodziewał. Gdy brnął przygnębiony na miejsce umówionego spotkania z

Deekiem, po raz kolejny wspominał jedną z wielu niemalże identycznych rozmów:

- Zaatakować czarodzieja? I do tego wiedźmę? Czyś ty ogłupiał?

- Oczywiście, istnieje pewne ryzyko... - zaczął Wikkel.

- Pewne ryzyko?! Na wszystkie demony Gehenny, Wikkel, ci dwoje zamienią nas w galaretę, jeśli śmiemy się im sprzeciwić!

- Ich jest tylko dwoje, a nas wielu.

- Jak powiedziała glista o parze spadających na nią głązów, bracie. Sporo miejsca zostało

na podłodze tych jaskiń, by pomieścić kałuże, w które zmieni się wielu z nas. Takie słowa raniły Wikkela, tym bardziej że rozmówca był jego rodzonym bratem, urodzonym z tej samej matki, tylko w rok później niż on sam.

- Otrzymamy pomoc od robali.

- A, to co innego. Wikkel, czy znowu nażarłeś się tych czarno nakrapianych muchomorów? Ufam robalom niemal tak bardzo jak czarodziejowi.

W końcu Wikkel zdał sobie sprawę, że traci czas. Skoro nie zdołał przekonać o słuszności

swej idei rodzonego brata, to jakże miałby namówić innych cyklopów do tak ryzykownego

planu? Choć może "plan" to za dużo powiedziane. Snucie wizji - to lepsze określenie na

obecny stan zaawansowania rewolucji.

Potrzebował czegoś demonstracyjnie efektownego, co uświadomiłoby cyklopom, że czarodziej i wiedźma nie są niezniszczalni. Gdyby tylko zdołał pokazać im najmniejsze

pęknięcie w magicznej zbroi władców! Nikt nie lubi, gdy rządzi nim żelazna ręka, i jeśli

rzeczywiście istniała szansa na obalenie tyranów, Wikkel był pewien, że zdoła przekonać

braci.

Cóż, może Deek odniósł większy sukces. Byłoby głupio, gdyby robale okazały się rozsądniejsze niż jego własny lud, ale musiał przyznać, że to niewykluczone.

Sądził, iż zdoła

przełknąć dumę, jeśli Deekowi udało się podsycić większy ogień wśród swych pobratymców.

Liczył się przecież tylko efekt końcowy.

Już niedługo. Miejsce spotkania leżało o kilka minut drogi przed nim. Wybrali zaułek z

dala od głównego korytarza, żeby nikt na nich przypadkiem nie wpadł.

Wikkel westchnął i starał się wymyślić najlepszy sposób przekazania robalowi złych

wieści.

Deek dotarł do małej groty oddalonej od szpiegujących oczu i znalazł tam oczekującego

Wikkela. Niedobrze. Ale nie ma rady, musiał wszak jakoś powiedzieć jednookiemu przyjacielowi o złych nowinach.

Wymienili pozdrowienia, po czym Deek usadowił się na wyjątkowo dobrze rezonującej

skale.

- M-moi bracia m-myślą że o-oszalałem.

- No nie, a już miałem nadzieję... - Wikkel zamilkł.

- N-nadzieję na c-co?

- Że tobie poszło lepiej. Moi bracia też uważają mnie za niespełna rozumu.

- N-nie ch-chcą pomóc?

- Obawiam się, że nie. A z twoich komentarzy domyślam się, że to samo dotyczy twojego ludu?

- S-smutne, ale p-prawdziwe.

- A niech ich wszystkich Gehenna pochłonie! Co my teraz zrobimy?

Deek zastanawiał się już wystarczająco długo, by dojść do wniosku, że to, co obmyślił, było ważniejsze niż niewielkie osobiste ryzyko.

- M-musimy im p-pokazać - odparł.

Wikkel pokiwał głową.

- Otóż to. Gdybyśmy tylko zdołali pokazać, że wiedźma i czarodziej nie są tak potężni, jak się wszystkim wydaje, wtedy mielibyśmy szansę.

- J-jakieś k-konkretne p-pomysły?

- O, wiele, choć podejrzewam, że większość by nas przy okazji zabiła. Wolałbym uniknąć takiego rozwiązania, jeśli to możliwe.

- J-ja r-również, p-przyjacielu, j-ja r-również.

- Zatem pozwól, że przedstawię ci mój plan, a potem posłucham twojego. W końcu potrafimy sobie radzić, prawda? We dwóch z pewnością coś wymyślimy.

Deek pokiwał głową. Zaiste, pomyślał. Najwyższy czas skończyć z tą bezwolną roślinnością.

Bez dwóch zdań.

- Słuchaj, przyjacielu, oto mój pierwszy pomysł...

Te przeklęte nietoperze nie spieszyły się z powrotem do miejsca, gdzie ukryło się Harskeel. Miało teraz do wyboru marsz albo lot, ale za nic nie powierzyłoby swej osobie umiejętnościom nietoperzy, toteż musiało zawierzyć własnym zmęczonym stopom. Gniew stał się chyba jego permanentnym stanem ducha i obawiało się, iż popełni jakiś głupi błąd. W efekcie Harskeel z wysiłkiem uspokoiło się. Dobrze, zwierzyzna umknęła mu znowu, ale przynajmniej dwoje potężnych konkurentów chwilowo zniknęło ze sceny. Cóż z tego, że wszyscy gwardziści polegli, doskonale zastąpiły ich skrzeczące nietoperze. Może to okazać się zamianą półgłówka na idiotę, ale trzeba korzystać z każdego dostępnego środka. W zasadzie sprawy wyglądały nie gorzej niż zwykle. Nie lepiej, to jasne, ale też nic się nie pogorszyło. Kiedy w końcu schwyta tych ludzi, rezultat wynagrodzi mu wszelkie trudy.

Z tą myślą Harskeel wyruszyło za Conanem, z trudem panując nad szalejącym gniewem.

Wyciskając z robalej tratwy największą możliwą prędkość, Chuntha omiatała wzrokiem brzegi Bezsłonecznego Morza w poszukiwaniu śladów swej nieuchwytniej zwierzyzny. Nie wiedziała, jak daleko rozciągają się wody podziemnego jeziora, gdyż przez wszystkie lata pobytu pod ziemią nigdy nie zapuszczała się tak daleko. Często rozmyślała o słonecznym świecie powyżej i o tym, jaka była tam szczęśliwa, plądrując ciała chętnych mężczyzn w poszukiwaniu ich życiowej energii. Niestety, ze względu na pojawienie się cywilizacji, nie mogła już biegać wkoło nago i ściągać na siebie podejrzania zbyt dużymi ilościami zużytych ciał. Nieraz musiała umykać z miasta albo wioski przed zemstą mieszkańców żądających jej śmierci.

Podziemia miały swoje wady, to jasne, ale gdy wreszcie wyrwie Temu Bękartowi kontrolę nad częścią jaskiń, będzie mogła zorganizować bardziej regularne dostawy mężczyzn do

swego łoża. Niewielu ludzi zaryzykowałoby wyprawę ratowniczą do tych jaskiń, a Chuntha wiedziała, że jeden mniej, jeden więcej zaginiony od czasu do czasu na szlaku nie wzbudzał podejrzeń. W końcu na górze żyły przecież groźne zwierzęta, do tego zbóje... należało się spodziewać, że oni też mają swój udział w zniknięciach...

W ścianie naprawo ukazało się ciemne wejście do tunelu. Jako że ludzie, których ściagała, musieli podróżować pieszo, z pewnością nie przeoczyliby tego korytarza. Problem w tym, iż nie mogła przecież przeszukiwać każdego tunelu na swej drodze - było ich zbyt wiele. Na szczęście Chuntha posiadała coś bardzo przydatnego w podobnych sytuacjach. Wyciągnęła z sakwy wysoki czarny słój i szczypczyki. Otworzyła pokrywkę i wyjęła szczypczykami jakiś czerwony okruch wielkości łebka od szpilki. Szybko zakręciła naczynie i położyła to dziwne coś na pokładzie swej żywej tratwy. Wypowiadając kilka tajemnych zaklęć, zamachała rękami nad czerwonym okruchem. W mgnieniu oka zamienił się on w szerszenia wielkości jaskółki. Istota zamachała skrzydłami z głośnym bzyczeniem. - Leć - rozkazała Chuntha. - Zbadaj ten korytarz i wróć do mnie, jeśli zauważysz tam jakiegoś człowieka.

Gigantyczny szerszeń poderwał się z tratwy i posłusznie wystrzelił najkrótszą drogą do otworu tunelu. Magiczne szerszenie miały ograniczoną przydatność, ale świetnie spełniały przeznaczone im zadanie. Można było je skierować do prostych czynności, takich jak na przykład przeszukiwanie tunelu. Bardziej skomplikowane polecenia już do nich nie docierały.

Niemniej jednak, jeśli jej piękny barbarzyńca wszedł do tego korytarza, owad znajdzie go i przyleci o tym opowiedzieć. W słoju miała tuziny takich insektów i gotowa była wypuszczać je, ile będzie trzeba, by zlokalizować zwierzynę. Zdobyła te magiczne istoty po romansie z zadufanym czarodziejem, który chciał dorównać w łóżku jej mocom Senshy. Oczywiście przegrał, a ona przejęła tę część jego magii, którą zdołała kontrolować. Było to już bardzo dawno temu, ale Chuntha nadal dobrze wspominała owego mężczyznę. Wytrzymał pod nią dobre pół godziny, zanim wyzionął ducha.

Biorąc pod uwagę fakt, że zbiegowie podróżowali pieszo, nie mogli zejść daleko. Musieli być w jednym z pobliskich tuneli albo nadal uciekali wzdłuż brzegu. Którykolwiek wariant wybrali, Chuntha wiedziała, że wkrótce ich dopadnie. Uśmiechnęła się na tę myśl. Dotychczas zamierzała zabrać schwytanych do swych komnat, by zabawić się z nimi w wolnej chwili, ale teraz zmieniła zdanie. Może nawet zaciągnie ich do najbliższego płaskiego kawałka skały i tam ich posiadzie.

Uhhh, ta myśl obudziła ciepło w jej łydźwiach. Oczywiście, bo czemuż miałyby tracić czas? Lepiej nasycić się nimi, zanim ten głupi czarodziej znowu coś namiesza. Po rytuale jej moce wzrosną, a wtedy zajmie się beznadziejnym Reyem.

Robała tratwa sunęła naprzód, niosąc uśmiechniętą wiedźmę po spokojnej tafli czarnego



jeziora.

Katamay Rey siedział w swej lektyce, niesiony przez maszerujących w szybkim tempie cyklopów. Nie wypatrył dotychczas żadnych śladów Conana i jego towarzyszy, ale był pewien, że wkrótce to nastąpi. Oczywiście, mogli z łatwością wejść do jednego z wielu tuneli po drodze. Całkiem prawdopodobne, że tak właśnie uczynili, jeśli w ogóle posiadali jakiś pomysłu, ale to nie powód zmartwienia. Po to jest się czarodziejem, mistrzem magii, aby radzić sobie z takimi sprawami...

Z kufra pełnego magicznych utensyliów wy dobył mocno podniszczony skórzany bukłak.

Wstrząsnął nim energicznie, a wewnątrz rozległo się ciche bzyczenie. Odkorkował wąską

szyjkę naczynia i ponownie potrząsnął. Z wnętrza wyleciał mały owad wielkości komara, a

czarodziej czym prędzej zatkał bukłak. Następnie wyrzekł coś w jakimś wykręcającym język,

gardłowym dialekcie i miniaturowa istota zmieniła się w niebieską osę rozmiarów małego

ptaka. Wielki insekt fruwał wokół niego, czekając na rozkaz, który zresztą wkrótce otrzymał.

- Leć i zbadaj pierwszy korytarz, który będzie wystarczająco obszerny, by pomieścić człowieka. Jeśli znajdziesz w środku jakichś ludzi, wróć i natychmiast melduj. Niebieska osa zabzyczała i wystartowała w kierunku brzegu. Rey uśmiechnął się, gdy

odlatywała. Kiedyś posiadał jeszcze inny gatunek owadów zwiadowców, słój magicznych

czerwonych szerszeni, ale przehandlował je na powierzchni pewnemu nędznemu magusowi

wiele lat temu. Szerszenie i osy zwalczały się wzajemnie, toteż można było użyć jednych albo

drugich, ale nigdy równocześnie. Czerwone i niebieskie insekty tak się nienawidziły, że gdy

tylko się wypatryły, walczyły ze sobą na śmierć i życie. Rey uznał, że posiadanie obu

analogicznych gatunków to zbędny nadmiar.

Oczywiście, gdzieś w pobliżu musiała kręcić się wiedźma, więc i nią należałoby się zająć

w niezbyt odległej przyszłości. Następnym razem przygotuje się lepiej, a ona pożaruje dnia, w

którym postanowiła zdrzeć z Katamayem Reym!

Cyklopi stąpali rytmicznie po nie kończącej się kładce, nie zwracając uwagi na rozmyślanie ich mistrza. On zaś czuł, że jego wyprawa wkrótce pomyślnie się zakończy, choć

i tak zbyt długo już trwała.

XVII

Plan był prosty i Conan nie widział potrzeby, żeby go ulepszać. Pójdą do komnat wiedźmy,

omina lub pozbędą się ewentualnych pozostawionych tam strażników i wypchają sobie sakwy

i kieszenie łupem. Następnie szybko się wyniosą i poszukają miejsca, gdzie sufit jaskini byłby

w zasięgu ręki. Tam przekopią się na drugą stronę, przeleżana powierzchnię i umkną co sił w

nogach.

Naturalnie, Elashi musiała mieć, jak zwykle, jakieś wątpliwości, toteż wygłosiła je, gdy

tylko zamknął usta.

- Po pierwsze, dlaczego uważasz, że zdołałbyś tak łatwo poradzić sobie ze strażnikami?

A co jeśli wiedźma zostawiła jednego lub więcej tych gigantycznych robali, gotowych na przyjęcie nieproszonych gości?

- Pamiętasz tamtą ogromną rybę? - odparł Conan. - Jeśli mój miecz zdołał zabić takiego potwora, to tym bardziej poradzi sobie ze znacznie mniejszym, beznogim pędrakiem.

- No dobrze, założmy, że tak właśnie będzie, ale pozostaje jeszcze kwestia naszej ucieczki. Czy naprawdę sądzisz, że tak łatwo przekopujemy się przez strop? Tull mieszkał tu przez pięć lat, nie sądzisz, że wypróbowałby już taki sposób wydostania się stąd?

Conan spojrział na Tulla.

- Próbowałeś?

- No, w pewnym sensie - odrzekł. - Znalazłem bardzo niewiele miejsc z dostępnym sufitem, a gdy w jakimś zaczynałem kopać, nigdy nie zdołałem skończyć, ponieważ zawsze

pojawiał się jakiś robal albo cyklop. Kiedy zauważą otwory w stropie, zwykle zaraz je łatają,

oczywiście poza tymi, które wykonują sami, żeby łapać w pułapkę podróżników. Te z kolei są

albo za wysoko, albo silnie strzeżone.

Conan odwrócił się do Elashi.

- Jest nas czworo. Możemy kopać znacznie szybciej niż jedna osoba. Poza tym jeden

cyklop czy robal nie sprawi większego problemu czterem wojownikom.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź, co? - odparła wściekła Elashi.

Conan kiwnął głową. Zgadza się, jeśli już chciała wiedzieć.

- Tak, a przynajmniej wszystkie, których nam trzeba, poza jedną: jak daleko jeszcze do naszego celu, Tull?

- Pół dnia drogi.

- W takim razie oszczędzajmy oddech na marsz, zamiast marnować go gadając - zarządził bezceremonialnie.

Słyszając to, Elashi zmarszczyła czoło, a Lalo uśmiechał się bezustannie, ale nic nie rzekł.

Podążali przez skalne komnaty, mijając na swej drodze wielkie, spiczaste stalaktyty, które stale gubiły krople wody, przechodzili wzdłuż gęsto porośniętych grzybem ścian, których zielonkawa poświata czyniła otoczenie jaśniejszym i wyraźniejszym niż w świetle księżyca.

Raz nawet minęli o kilka kroków samotną Tkaczkę. Conan usłyszał w swej głowie uwodzący, lecz słaby głos mięsożernej rośliny:

Potężny wojowniku! Przybądź do mnie i zaznaj rozkoszy przekraczającej ludzkie pojęcie!

Na szczęście poprzednie doświadczenie uczyniło go odpornym na takie kuszenia, podobnie

zresztą zachowywali się Tull i Elashi.

Ostrzegli Lalo, ale w zasadzie bez potrzeby. Wiecznie uśmiechnięty mężczyzna zatrzymał

się i wydawało się przez moment, że słucha, po czym głośno odpowiedział na telepatyczny

przekaz rośliny:

- Widziałem już lepsze liście na przejrzałych dyniach - oznajmił. - Jeśli gdziekolwiek

istnieje obleśniejszy okaz flory, niewątpliwie ludzie ślepą na sam jego widok. Jego obelgi wyzwoliły wściekłą odpowiedź ze strony Tkaczki, a jej syrenia pieśń stała się

nagle głośnym rykiem:

Pożrę twą wątrobę, ludzki zgniłku!

Widocznie nikt dotknięty podobnym przekleństwem dotychczas tędy nie przechodził. Conan podejrzewał, że gdyby tylko roślina była dość głupia, by schwytać Lalo, z pewnością

by się nim udławiła.

Wieloletnie doświadczenie Tulla zdobyte w tych jaskiniach owocowało też znajomością wielu nieuczyszczanych przejść w płataninie korytarzy i takich się też trzymali, unikając

jakiegokolwiek kontaktu z wielkimi robalami. Raz tylko ujrzeli jednego z nich sunącego

poprzecznym korytarzem, ale nie zauważył ich, zajęty widocznie swoimi sprawami. Godziny mijały i w końcu cała czwórka dotarła w pobliże komnat wiedźmy. Conan i Tull

ostrożnie podpełzli do przodu, aż zobaczyli wejście do głównego pomieszczenia. Zza osłony

dużych skał ostrożnie obserwowali okolicę. Tuż przed nimi leżała czwórka gigantycznych robali.

Conan i Tull odpełzli do tyłu, by dołączyć do Elashi i Lalo. Obydwoje szeptali

między sobą, ale przerwali nagle, gdy nadszedł Conan.

- No i? - zapytali równocześnie.

- Wejścia strzegą cztery robale - odparł Conan.

- A jednak! - z satysfakcją zauważyła Elashi.

- Nie widzę problemu - odrzekł Conan, nieco zbyt ostro. - Rozwiązanie jest proste.

Dwoje z nas odwróci uwagę robali, aby pozostałych dwoje mogło wślizgnąć się do środka i

splądrować komnaty wiedźmy. Tull twierdzi, że robale nie umieją poruszać się szybciej niż

biegnący człowiek. Po zrabowaniu czego się da, spotkamy się w umówionym miejscu. Elashi tylko pokiwała głową, ale Lalo nie wytrzymał:

- Gdybyś ty, Conanie, planował kiedyś marsz do Gehenny i zamach na Króla Demonów,

brzmiałoby to równie zwyczajnie, jak zapowiedź rutynowej wizyty w sypialni.

Elashi przypomniała sobie o swoim języku i szybko go uruchomiła:

- A kto, na bogów, zachęci swoją osobą robale do takiej zabawy? Raz już służyłam za

rybią przynętę i nie mam zamiaru powtarzać tego wyczynu.

- Tull i ja odciągniemy robale - uciał Conan. - Później dotrzemy do miejsca naszego

spotkania, a tymczasem, mam nadzieję, wy razem z Lalo zdołacie wynieść kilka lżejszych

kamyków?

Lalo zachichotał.

- Nazywałem cię wcześniej barbarzyńskim głupcem, ale teraz poznałem swą omyłkę. Jesteś jeszcze gorszy, Conanie. Jesteś politykiem - powinieneś zostać królem w

jakimś

państwie.

Nie brzmiało to jak zniewaga, ale Conan wystarczająco dobrze znał Lalo, by domyślać się,

że właśnie nią jest. Zignorował go. Dyskusję przerwał Tull:

- Dobrze, ale najlepiej uwińmy się szybko. Prędzej czy później wiedźma zorientuje się,

że zgubiła trop i zwróci się w tę stronę. Lepiej być już daleko stąd, kiedy wróci.

Z tym nikt się nie sprzeczał.

- Przygotujmy się zatem - zaproponował Conan.

Harskeel nie było może tropicielem, ale wiedziało, że nietoperze potrafią latać szybciej niż

ono i jego upragnione ofiary mogli iść, dlatego też kazał im lecieć przodem w roli

zwiadowców, zatrzymując przy sobie tylko Czerwonka, który służył za przewodnika. Nietoperz znowu fukał gniewnie, słysząc rozkazy Harskeel, toteż hermafrodyta

postanowił

nieco go ułagodzić.

- Zaczynam się zastanawiać, czy to krwawe zaklęcie jest w ogóle warte naszych wysiłków - powiedział Czerwonek.

- Pamiętasz przecież smak, cóż więcej mogę dodać?  
- Nie planowałem spędzić reszty życia na twojej wyprawie.  
- Och, naturalnie, to zrozumiałe. Jako dowód mego uznania za okazaną pomoc zapewnię ci dodatkową nagrodę. Oczywiście, żartowałem tylko, mówiąc, że zamienię cię w owada.  
- Tak, oczywiście - odrzekł nietoperz z wyraźnym niedowierzaniem.  
- Posiadam jeden czar, który z pewnością docenisz. Sprawia, że żadna samica twego gatunku nie zdoła ci się oprzeć.  
Czerwonek wydał dźwięk, który Harskeel odebrało jako śmiech.  
- Zmarnowałbyś tylko zaklęcie - stwierdził nietoperz - gdyż już teraz jestem nieodparcie atrakcyjny dla każdej samicy, której tylko zapragnę.  
Harskeel powstrzymało swój własny śmiech.  
- Ależ oczywiście! Tyle że magia niesie ze sobą pewien dodatkowy efekt. Pozwala użytkownikowi... zachować znaczną... potencję. Bez końca.  
- Bez końca, mówisz?  
- Praktycznie tak.  
Czerwonek zagapił się na Harskeel.  
- Ach, rozumiem. Cóż, nigdy nie miałem problemów tej natury, ale chyba wiem, komu by się takie zaklęcie przydało...  
Tym razem Harskeel pozwoliło sobie na krótki śmiech.  
Nagle nadleciał jeden z nietoperzy, skrzecząc coś niezrozumiale.  
- Co on mówi?  
- Najwidoczniej twoja, przepraszam, nasza zwierzyna stoi właśnie u wrót komnaty wiedźmy.  
- A co oni tam robią?!  
- Kto wie? Nie umiemy odczytywać myśli. Wystarczy chyba, że tam są.  
- Jak daleko jeszcze?  
- Niezbyt. Jeśli się pospieszymy, niebawem tam będziemy.  
- Ruszajmy zatem, szybko!  
Wikkel i Deek ustalili plan, który, mimo że ryzykowny, mógł przynieść pozytywne rezultaty. Ruszyli wzdłuż jednego z głównych korytarzy ku komnatom wiedźmy, wprowadzając swe zamiary w życie. Wikkel owinał sobie nadgarstki liną (dość luźno, ale niełatwo było to zauważyć), od której odchodziła długa smycz. Drugi jej koniec spoczywał w zaciśniętej paszczy Deeka tak, że z pozoru wydawało się, iż cyklop jest więźniem robala.  
Ich plan był dość prosty. Postanowili dostać się do komnat wiedźmy, gdzie Wikkel udawałby więźnia. Strażnicy wiedzieli, że Deek jest konfidentem Chunthy i nie powinni wahać się przed wpuszczeniem go do jej twierdzy. Deek wyjaśniłby im, że miał przyprowadzić więźnia prosto do niej na przesłuchanie. Oczywiście, skoro Chuntha akurat wyszła, musiał na nią trochę poczekać.  
Kiedy już znajdą się wewnątrz, Deek i Wikkel skradną wiedźmie jakąś cenną rzecz - zaklęcie albo talizman - po czym opuszczają jej komnaty, tłumacząc strażnikom, że Chuntha gdzieś ich przywołała. Robale - strażnicy byli wybierani ze względu na swą wielkość i waleczność, a nie sprawność mózgu, toteż Deek nie obawiał się, że nagłą podejrzliwością mogliby zagrozić planowi.  
Następnie zaś odegrają odwrotne role - Wikkel stanie się strażnikiem robalego więźnia - i powtórzą całą operację w komnatach czarodzieja. Potrzebowali na to wprawdzie dwóch dni, nawet przy największym pośpiechu, ale kiedy już skończą, każdy z nich zyska jakiś magiczny przedmiot pochodzący z sekretnych komnat odpowiednio wrogich im władców. Dysponując takim dowodem, z łatwością przekonają swych pobratymców, że czarodziej i wiedźma nie są aż tak nietykalni, jak się wydaje. Obaj powtarzali

teraz w myślach  
przygotowane przemowy:  
"Skoro czarodziej/wiedźma jest tak potężny/a, to dlaczego stoję tu przed wami z jego/jej magicznym talizmanem? On/ona raczej niegroźnie jazgocze, niż gryzie. Możemy zwyciężyć!"  
Wprawdzie nie mieli gwarancji, że cały plan się powiedzie, ale z pewnością lepiej spróbować, niż oczekiwać nieuniknionego końca, który zgotowaliby im prędzej czy później ich władcy. Znikoma szansa to zawsze więcej niż żadna.  
W drodze do komnat Chunthy kilka razy mijali inne robale i za każdym razem strażnicy bez zastrzeżeń nabierali się na bajeczkę Deeka. Wydawało się, że plan zadziała. Poza tym przecież, jak każdy z nich sobie powtarzał, nie mieli nic do stracenia. Coś jest nie tak, pomyślała Chuntha. Wpuszczała magiczne szerszenie do każdego mijanego korytarza, który tylko wypatrzyła na brzegu Bezsłonecznego Morza, i kazała im sprawdzać wszystkie możliwe przejścia, jak do tej pory jednak wszystkie raporty powracających były negatywne. Część z nich jeszcze nie wróciła, ale Chuntha zaczynała się już niepokoić. Niemożliwe, żeby ten barbarzyńca zdołał zająć tak daleko, chyba że nagle wyrosły mu skrzydła. Prędkość jej łodzi dalece przewyższała tempo maszerującego człowieka, a biegiem nikt nie wytrzymałby tak długo. Ale... Skoro takie wyczyny leżały poza zasięgiem ludzi, znaczyło to tylko jedno: jej zwierzyna uciekła w przeciwnym kierunku.  
Chuntha klepnęła się w nagie udo, wywołując drżenie w jędrnym mięśniu. Oczywiście! Czemuż nie wpadła na to wcześniej?! Milcząco przyjęła że umkną w stronę, z której przyszli.  
To założenie okazało się najwyraźniej błędne. Zastanawiała się, czy czarodziej również dał się na to nabrać. Jeśli tak było w istocie, właśnie teraz, gdy o tym myślała, musiał nadchodzić w jej stronę. Chuntha westchnęła ciężko. W tej sytuacji musi przygotować się do walki z nim teraz, pozbawiona potężnej esencji zamkniętej w męskim ciele barbarzyńcy. Nie miała czasu prześlizgnąć się obok Reya. I choć wolałaby walczyć na własnym terenie, miejsce było tu dobre jak każde inne.  
Chuntha schyliła się do swego zbioru magicznych akcesoriów, by wydobyć z sakw najpotężniejsze artefakty. Przynajmniej miała po swojej stronie element zaskoczenia. Znajdzie sobie cichą, okrytą cieniem zatoczkę i poczeka na przybycie maga. Przy odrobinie szczęścia załatwi go, zanim ten się zorientuje.  
Rey stwierdził, że zdąża w złym kierunku, przed wpuszczeniem trzeciej osy. Nie była to może logiczna i uzasadniona decyzja, ale czuł w kościach, że coś działo się nie tak. Wiedział, jakimś nie znanym mu sposobem wyczuwał, że człowiek zwany Conanem i jego towarzysze ruszyli w przeciwnym kierunku. Czarodziej nie tracił czasu na analizowanie przyczyny popełnionego błędu. Natychmiast zatoczył wraz z kładką półkole i ponaglił cyklopów do biegu. Niepokoił się. Jego komnaty były wprawdzie strzeżone, to jasne, ale ci ludzie nieraz już dowiedli swej zmyślności. Do tego stopnia, że teraz narastająca groza, zapoczątkowana przez przepowiednię

kryształu, zaczynała dręczyć jego myśli. Jakich wybryków by się dopuścili, gdyby zdołali pokonać pozostawione straże? Niezbyt przyjemna perspektywa. Miał w swojej kolekcji pewne czary, które mogłyby zasiał nieobliczalne zniszczenia w niewprawnych rękach. W tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem byłoby chyba zabrać się z powrotem do domu najszybciej jak się da i zabarykadować się w bezpiecznych komnatach, z potężnym, magicznym wsparciem w zasięgu ręki.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej upewniał się w swych podejrzeniach. Żeby tylko nie wrócił za późno!

- Szybciej! - rozkazał cyklopom.

Oni jednak biegli już w swym najlepszym tempie, rzucając niesionym czarodziejem w tył i w przód w rytm długich susów. W pewnym momencie Rey miał złe przeczucie... i nie podobało mu się ono ani trochę.

XVIII

Ukryci za zakrętem, tuż pod bramą do komnat Chunthy, Conan i Tull wyskoczyli nagle na środek korytarza i znaleźli się w zasięgu wzroku czterech robali.

- Yaaah! - zakrzyknął Conan, wywijając dziko mieczem.

Tull podskakiwał tuż obok, machając rękami i drąc się bez sensu.

Robale zrozumiały, o co chodzi. Wszystkie cztery ruszyły jak jeden, pełznąc po kamiennej posadzce z prędkością, która zaskoczyła Conana.

Zauważywszy pierwsze oznaki ożywienia, Conan i Tull poderwali się do biegu, prowadząc za sobą robale. Gdy przebierali pospiesznie nogami, tupiąc o skałę, Cymmerianin wydyszał:

- Poruszają się znacznie szybciej, niż kazałeś mi sądzić.

- Szybciej niż sam sądziłem - wysapał w odpowiedzi Tull. Istotnie, gdy obaj uciekinierzy mijali kolejny zakręt tunelu, robale zostawały tylko o jeden zakręt w tyle.

- Chyba nie musimy zwalniać w obawie, że moglibyśmy je zgubić - zauważył Conan. Tull zerknął przez ramię i ujrzał sunące za nimi robale.

- Na Mitrę! Kto by pomyślał, że będą się tak szybko ruszać?

Elashi i Lalo odczekali, aż strażnicy znikną im z oczu, po czym szybko pobiegli do komnat

wiedźmy. Lalo przejął prowadzenie i wkrótce znaleźli się w przedpokoju. Wszystkie ściany pokrywały świecące grzybki, więc nie mieli trudności z odnalezieniem drogi.

- Mam nadzieję, że wiedźma nie pomyślała o pozostawieniu tu jakiś magicznych pułapek

- wyszeptał Lalo.

- Teraz o tym myślisz!?

- Nie słyszałem, żebyś wspominała o tym wcześniej, droga Elashi. Chyba zbyt długo przebywałaś z Conanem... część z jego tępoty zdażyła przejść na ciebie.

- Nie mam teraz czasu, by dać ci odpowiednią nauczkę, ty wyszczerzony głupku - odparła. - Mamy zadanie do wykonania.

Ruszyli przez przedpokój i weszli do wielkiej, wysoko sklepionej komnaty. Na środku stało wielkie łoże z jedwabnymi poduszkami, a pod ścianami rozmaite meble - kufry, szafy, sekretarzyki i różnej wielkości pudełka porozrzucone dookoła na podłodze.

- To musi być tutaj - stwierdziła Elashi.

- Jak zwykle, twa percepcja mnie zadziwia. Pewnie, że to tutaj!

- Zamknij się i bierz się do szukania świecidełek! Oboje zaczęli pospiesznie przerzucać leżące pudełka.

Harskeel nie zamierzało tym razem przegrać. Bez względu na cenę zdobędzie miecz Conana. Jego plan nie był specjalnie skomplikowany. Kiedy tylko wypatrzy

barbarzyńcę,  
wypuści na niego piętnaście albo więcej nietoperzy. To, że Conan umrze, a jego krew zostanie wyssana, nie ulegało wątpliwości, ale zanim latające wampiry wysuszą go doszczętnie, Harskeel dopadnie go i odbierze mu miecz. Następnie zakrwawi ostrze krwią właściciela. Kilka kropel powinno wystarczyć, w końcu liczyła się jakość płynu, a nie ilość.

Co prawda Harskeel pozbawi się w ten sposób przyjemności oglądania powolnej śmierci Conana, stanowiącej karę za kłopoty, jakie mu sprawił, ale na tym etapie najważniejszy był efekt. Czasem trzeba rezygnować z małych przyjemności na rzecz większych. Wszystko, czego pragnęło Harskeel, to osiągnąć cel... i opuścić te przeklęte jaskinie na zawsze.

Przyspieszyło kroku, nie mogąc doczekać się końca wyprawy. Czas mijał i Chuntha znowu zaczynała się niepokoić. Ten Bękart powinien już tu być.

Fakt, że czarodziej nie wmaszerował prosto do jej pułapki, bardzo martwił wiedźmę. Widziała dwa możliwe wytłumaczenia: albo w jakiś sposób wyczuł jej obecność i wycofał się, albo również zdał sobie sprawę z błędu i zawrócił za uciekinierami, o których konkurowali.

Wiedźma zdecydowała, że musi się tego czym prędzej dowiedzieć. Wydobyła ze słoja jednego z czerwonych szerszeni, powiększyła go i wysłała w powietrze z instrukcją:

- Leć wzdłuż tej wody, dopóki nie zobaczysz czarodzieja Katamaya Reya. Wtedy wróć natychmiast do mnie i zdam raport.

W mgnieniu oka zaczarowany szerszeń zniknął. Chuntha usiadła na swej tratwie i czekała.

Słudzy Reya nieźle się spisywali. Jego powrotna podróż do czarodziejskich komnat przebiegała bardzo szybko. W pewnym momencie, pomimo kłapania szerokich stóp cyklopów o nie kończąca się kładkę, wydało mu się, że słyszy bzyczenie, ale gdy się rozejrzał, nic nie zobaczył. To nie miało teraz znaczenia. Ta Dziwka ciągle gdzieś tu była, ale najprawdopodobniej daleko za nim i na dodatek płynęła w złym kierunku. Z pewnością zrobiła ten sam błąd co on, ale to już jej problem, nie jego.

Robale-strażnicy stopniowo zbliżali się do dwóch uciekających. Conan rzucił okiem za siebie i zorientował się, że to tylko kwestia czasu, zanim gigantyczne bestie dogonią jego i Tulla. Niezbyt miła perspektywa. Trzeba było coś z tym zrobić, i to szybko. Ciężki oddech

Tulla mówił Conanowi, że starszy człowiek znalazł się już na granicy wyczerpania.

- Czy... one... się... wspinają? - wysapał z wysiłkiem.
- Słabo - głos Tulla był zaledwie głośnym wydechem.
- Dobrze. Skręć w prawo.

To ostatnie zdanie Conan wypowiedział, gdy dobiegli do rozwidlenia korytarza. Jeśli pamięć go nie myliła, mijali już ten korytarz i właśnie zrobili koło. Niedaleko powinna tu być stroma ściana prowadząca do wąskiej półki skalnej, na której leżało kilka głazów, cztery czy pięć razy większych od wysokiego człowieka.

Zgodnie z jego przewidywaniami, oczom Conana i Tulla ukazała się ściana. Cymmerianin, który już wcześniej schował swój miecz, żeby wygodniej i szybciej biec, pokazał na nią

palcem.

- Tam! Wspinaj się!

Tull nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień ani też nie marnował oddechu na odpowiedź.

Po prostu skinął głową.

Obaj dotarli do skały i zaczęli się wspinać. Conan, którego młode lata upłynęły w zimnym

klimacie wśród stromych szczytów Cymmerii, mógłby wspiać się na wszystko, co tylko

oferowało wsparcie dla jego palców. W ciągu kilku uderzeń serca był już na półce. Tull zaś,

mimo swego wieku i braku doświadczenia, znalazł się tam niewiele później.

Wspinasz się

albo giniesz - taka motywacja przydała starszemu człowiekowi umiejętności, których Conan

nigdy by nie podejrzewał.

- Co... teraz? - zdołał wyrzec Tull pomiędzy ciężkimi oddechami. - Jesteśmy w pułapce, nawet jeśli nie mogą nas dosięgnąć.

Conan, który właśnie sięgał po głaz dwukrotnie większy od jego głowy, odrzekł:

- Może i nie. Wystarczająco rześisty deszcz powinien skłonić je do odejścia.

Tull natychmiast zrozumiał zamiary Conana i podszedł do nieco mniejszego kamienia.

Poniżej czterech wijących się strażników skrobało i grzechotało o skałę. Jeden z nich

zaczął pocierać podbrzuszem o kawałek płaskiej skały. Po chwili Conan

zorientował się, że w

ten sposób całkiem niezłe artykułował mowę.

- Z-złazcie n-na d-dół! - wydrapał robił na podłodze. Conan słyszał już taki język

kilka lat temu w Hyperborei i bez trudu zrozumiał znaczenie słów.

Unosząc odłamek ponad głowę, wychylił się zza krawędzi półki, na której stali razem z

Tullem, i cisnął swój pocisk w kierunku robali.

Głaz trafił w najbliższej stojącego i usłyszeli satysfakcjonujący dźwięk skały rozgniatającej

robala. Ciemny, żółtawy płyn rozprysł się dookoła i zaczął wyciekać ze zmiażdżonego ciała,

kiedy bestia drgała w przedśmiertnych konwulsjach.

Tull też rzucił swój kamień, trafiając drugiego robala. Nie zadał mu wprawdzie równie

strasznej rany, ale skutek był w zasadzie ten sam. Robal zaczął wściekle bić ogonem po

kamiennej podłodze i miotał się tak dłuższą chwilę, zanim wreszcie zamarł na środku jaskini.

Para pozostałych przy życiu robali wycofała się na bezpieczny w ich pojęciu dystans.

Conan znalazł inny odłamek, niemal tak wielki jak poprzedni i cisnął w ich kierunku. Chybił,

ale kamień upadł za robalami, toteż pospiesznie wycofały się jeszcze bardziej.

Wydawało się przez moment, że się naradzają, po czym jeden z nich wychynął nieco z

ukrycia i zaskrobał na skale:

- M-my t-tu j-jeszcze w-wrócimy!

Przekazawszy taką groźbę, obaj odpełzli z powrotem ku komnatom wiedźmy.

- Co o tym sądzisz? - spytał Tull, gdy robale zniknęły w tunelu.

Conan wzruszył ramionami.

- Pewnie poszły po posiłki. Albo może przypomniały sobie, że ich najważniejszym zadaniem jest pilnowanie komnat wiedźmy. Teraz to bez znaczenia. Chodź, ruszajmy na

miejsce spotkania.

To rzekłszy, Conan zaczął schodzić ze skalnej półki. Tull nadal stał z

podniesionym

kamieniem, kiedy młodszy mężczyzna zsuwał się na dół. Na ziemi on z kolei dobył miecza i



osłaniał schodzącego Tulla. Robale się nie pojawiły.

- Mam nadzieję, że dziewczuszka i ten idiota mieli dość czasu - powiedział Tull.

- Tak, no cóż, daliśmy im maksimum tego, co mogliśmy. Chodźmy teraz do umówionego miejsca.

Podstawowym problemem oszołomionych Elashi i Lalo stał się nadmiar tego bogactwa.

Gdyby mieli juczne zwierzę, załadowaliby je łupem, aż by padło pod ciężarem. Skarbiec

wiedźmy okazał się kolekcją niezliczonej ilości szlachetnych kamieni. Chociaż trudno było

rozróżnić cokolwiek w zielonkawym świetle, leżały tam z pewnością rubiny, szmaragdy,

diamenty, szafiry, ogniste agaty, opale i perły, jak twierdził Lalo, a utrzymywał, że zna się na tych rzeczach.

Wybierali najcenniejsze skarby i wsypywali do czterech skórzanych sakw, by później

łatwiej nieść je w drodze na umówione spotkanie z Conanem i Tullem.

W końcu Elashi orzekła:

- No, starczy.

- Ale jest tego przecież znacznie więcej!

- Skóra przesiąkła wilgocią, a nawet częściowo podgniła. Sakwy mogłyby puścić, jeśli je

przepełnimy, a wtedy wszystko rozsypie się na ziemią.

- Bystra uwaga, jak na kobietę. Ruszajmy zatem.

Każde z nich podniosło dwa pakunki wielkości głowy wypełnione świecidełkami i ruszyli

do wyjścia. W ostatniej chwili zauważyli parę robali nadchodzącą z przeciwka, ale na

szczęście zdołali się ukryć i strażnicy ich nie dostrzegli.

- Ta cała przygoda wydaje się obracać na naszą korzyść - zauważył Lalo.

- Możliwe - stwierdziła Elashi - ale jeszcze nie skończyliśmy. Lepiej

powstrzymaj się

z gratulacjami, dopóki nie będą bardziej zasłużone.

Lalo popatrzył na Elashi z nieustającym uśmiechem.

- Czy to możliwe, żeś przeklęta w podobny, jak ja, sposób, droga pani?

- Słuchaj, głupku... czekaj! Słyszysz?

Doszły ich nagle odgłosy, jakby ktoś nadchodził korytarzem.

- Szybko, tutaj! - Lalo wskazał palcem na szeroką szczelinę w skale, spowitą w ciemności z braku świecących grzybów. Oboje natychmiast skoczyli ku niej i stłoczyli się w

środku. Ukryci, obrócili się ostrożnie, by obserwować korytarz.

Niebawem oczom ich ukazał się robal trzymający koniec liny, którą związany był cyklop.

Wyglądało na to, że robal pochwycił jednookiego giganta i prowadził go teraz jako więźnia.

Elashi patrzyła na mijającą ich dziwną parę, ale nagle jej uwaga skoncentrowała się na

Lalo. Była niemal pewna, że wiecznie uśmiechnięty mężczyzna wziął właśnie oddech i już

otwierał usta, by wykrzyknąć jakąś obelgę. Pustynna kobieta błyskawicznie upuściła jedną z

toreb i wolną ręką zatkała mu usta. Cokolwiek chciał powiedzieć, zamarło to na jego

zdziwionej twarzy.

Robal i cyklop przeszli obok i zniknęli im z oczu.

Elashi zdjęła dłoń z ust Lalo.

- Jak na niewiarygodnie pewną siebie i niebywale irytującą kobietę, zaprawdę masz

pewne zalety - rzekł.

Było to najbliższe komplementowi ze wszystkiego, co kiedykolwiek słyszała z jego ust.

Uśmiechnęła się.

- Chodź, musimy znaleźć Conana i Tulla.

Deek i Wikkel dotarli do bramy wiodącej do komnat wiedźmy i natknęli się na parę bardzo

podekscytowanych robali. Wikkel stał bez słowa, a trzy robale porozumiewały się w swym

języku, niemalże niesłyszalnym dla cyklopa. Po krótkiej chwili Deek pociągnął za linę i

ruszyli do wnętrza.

Gdy byli już dość daleko, by nie usłyszeli ich strażnicy, Wikkel spytał:

- O co chodziło?

- N-nowy k-kłopot d-dla w-wiedźmy. D-dwóch l-ludzi p-pojawiło się w-w p-pobliżu. A-aż cz-czterech s-strażników r-ruszyło z-za n-nimi w p-pogoń.

- Czterech? Widziałem tylko dwóch.

- D-dwóch p-pozostałych p-poległo. L-ludzie o-obrzucili j-je g-głazami.

- To przykre. - Wikkel zastanowił się przez chwilę. - Ale z drugiej strony to dobrze

służy naszym celom. Przykro mi z powodu twych braci, ale takie wydarzenie z pewnością

zachwieje pewnością siebie wiedźmy.

- T-to f-fakt.

Wikkel rozejrzył się.

- Znasz to miejsce lepiej niż ja. Co ukradniemy?

- P-podejdźmy t-tam.

Cyklop ruszył za robalem ku sekretarzykowi pełnemu szuflad. W pewnym momencie Wikkel nadepnął na coś dostatecznie ostrego, by przeciąć nawet zgrabiałą skórę na jego

stopie. Zatrzymał się i kopnął złośliwy przedmiot.

- Hmm. Spójrz, toż to szlifowany kamień - podał Deekowi błyskotkę. - Czy wiedźma zawsze rozrzuca tak cenne rzeczy na podłozę?

- N-nie.

Wikkel zastanowił się przez chwilę.

- Mówiłeś, że robale widziały dwóch ludzi. Przecież było ich więcej, o ile pamiętam.

- T-tak, p-przynajmniej t-troje.

- W takim razie nie zdziwiłbym się, gdyby w czasie, kiedy strażnicy gonili tamtych

dwóch, wiedźma miała innego gościa.

- S-s-strażnicy t-to g-głupcy. A-ależ t-te j-jaskinie r-roją s-się o-od z-złodziei!

Wikkela rozśmieszyło to tak, że musiał się z trudem opanować, żeby nie narobić hałasu.

- Zajmijmy się własnymi sprawami, Deek, stara glisto. Znajdź nam coś, czego moglibyśmy użyć, żeby zachować głowy na karku - ty chyba masz kark, prawda?

XIX

Harskeel dotarło w pobliże siedziby wiedźmy akurat w chwili, gdy jakiś wielki robal

przeprowadzał uwięzowanego na linie cyklopa obok dwóch innych robali, najwyraźniej strażników. Wycofując się z pola widzenia, Harskeel zażądało od Czerwonek wyjaśnień.

- Idziesz zbyt wolno - skwitował Czerwonek. - Ludzie odeszli. Harskeel zazgrzytało

zębami.

- Dokąd?

- Nie uszli daleko. Dwoje z nich zdążyło do prawdopodobnego miejsca spotkania z pozostałą parą. Według moich zwiadowców, pierwsza para odciągnęła robale stojące na

straży daleko od bramy, a pozostali weszli do komnat wiedźmy, by wyjść po pewnym czasie

obciążeni kilkoma sakwami.

Harskeel potrząsnęło głową. Złodzieje, i do tego dość zuchwali, by ryzykować grabież w

siedzibie wiedźmy. Nie żeby mu to przeszkadzało. Przecież zdobędzie wszystko, co tylko

zdołają ukraść, gdy zabije tamtych czworo. A to zdarzy się już wkrótce, jeśli

można wierzyć

nietoperzom.

- Którędy? - zapytało.

- Za mną - odparł Czerwonek.

Conan i Tull czekali już chwilę w umówionym miejscu, gdy pojawili się Lalo i Elashi,

każde z wypchanymi sakwami w rękach.

- Niewiarygodne - zaczął po swojemu Lalo. - Już sądziłem, że się zgubicie i nigdy tu

nie dotrzecie.

Tull zgrzytnął zębami, ale Conan tylko się zaśmiał.

- Widzę, że udała się wam wyprawa.

- Dość kamieni, by kupić królestwo - przyznała Elashi. - Pozwolę ci jednak ponieść

moją część. - Podała Conanowi dwie ciężkie skórzane sakwy.

Rosły Cymmerianin uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Wolałbym mieć wolną tę rękę, którą władam mieczem - odparł. - Na wypadek gdybym jej nagle potrzebował. - Wziął od niej jedną z toreb i potrząsnął. Na nieszczęście,

rozmkła skóra wybrała ten właśnie moment, by się rozpaść i rozrzucić wszystkie kamienie

lśniąca kaskadą na podłogę.

- Zobacz, co narobiłeś! - krzyknęła Elashi.

Conan nie silił się na odpowiedź. Po prostu przykląkł i zebrał dużą garść kamieni, które

wepchnął do sakwy przy pasie. Zaraz potem wstał.

- A co z resztą? - spytał Tull, wskazując na drogocenne świecidełka rozsypane po ziemi.

- Mam tyle, ile mogę bez kłopotu unieść - odparł Conan. - Wszak Elashi często mi wypominała, że nie ma sensu być chciwym, bo to ogłupia.

- Ale te wszystkie bogactwa...

- ...nic nie będą warte, jeśli nie uciekniemy z tych jaskiń. Gdy coś nas zaatakuje, nie

zamierzam utrudniać sobie walki przez bogactwa ani cokolwiek innego.

- Patrzcie - powiedział Lalo - nietoperz.

Conan zerknął na istotę, która szybko zawróciła i śmignęła w przeciwnym kierunku.

- Jeden nie stwarza jeszcze zagrożenia, ale może być więcej - stwierdził, po czym

odwrócił się i ruszył w drogę.

Tull, Elashi i Lalo przez chwilę gapili się na rozsypane bogactwa, zanim niechętnie

dołączyli do barbarzyńcy. Elashi pochyliła się i podniosła szczególnie duży szmaragd, który

kuszaco do niej błyskał. Dogoniwszy Conana, wręczyła mu kamień.

- Jest za piękny, żeby go zostawić - wyjaśniła.

Conan spojrział na klejnot. Tak, rzeczywiście był to nie lada okaz. Wziął od niej szmaragd,

który przez chwilę wydawał się subtelnie drgać w jego palcach. Nie myśląc nad tym, wetknął

go razem z innymi do swej sakwy.

Jeden z zaczarowanych owadów wiedźmy wrócił właśnie do niej, niosąc wiadomość, że

czarodziej zawrócił i z dużą szybkością kieruje się do swej siedziby. To się Chunthi wcale nie

podobało. A niech go! Zarówno on, jak i zwierzyna mieli nad nią przewagę, która mogła

okazać się nie do nadrobienia, nawet przy największej prędkości jej tratwy.

Ale przecież nie ma problemów nie do rozwiązania. W tym przypadku też pozostała pewna

droga do sukcesu, aczkolwiek nieco niebezpieczna. Chuntha powstrzymywała się wcześniej

od zastosowania tej metody ze względu na duże ryzyko. Teraz jednak okoliczności zmuszały

ją do jego podjęcia. W Czarnych Grotach zaistniała bardziej niebezpieczna sytuacja, niż ktokolwiek by się spodziewał, toteż musiała uciec się do ryzykownych środków osiągnięcia celu, zanim będzie za późno nawet na to.

Chuntha skierowała swą żywą tratwę w stronę płaskiego brzegu i ruszyła z taką prędkością, że niemal wylądowała w całości na plaży. Za pomocą magii odwróciła czar wiążący robale, uwalniając je.

- Wracajcie jak najszybciej do moich komnat - rozkazała.

Kiedy robale zniknęły w korytarzach, szukając dogodnych przejść i takich połączeń między korytarzami, które poprowadziłyby je do domu, wiedźma wyjęła ze swej sakwy pewne zaklęcie, nie używane od co najmniej dwustu lat. Zwój, na którym zapisano treść inkantacji, wykonano z łuskowatej skóry latającego gada, o którym sądzono, że dawno wyginał. Ta istota była jedną z ostatnich ze swojego gatunku, odnalezioną w zapomnianej dolinie, głęboko w smrodliwych dżunglach na wschód od Xuchotl, w Czarnych Królestwach, daleko na południu. Rozpiętość skrzydeł takiej kreatury przewyższała największe znane ptaki, może poza gigantycznym rocem. Jej głowa przypominała raczej krokodyla, a zagięte czarne szpony ostrzejsze były od noży.

Jeśli tylko odpowiednio odczytano słowa zaklęcia, zwój stawał się peleryną. Gdyby się nią owinać, można było metamorfować w niemalże identyczną replikę zębatego i skrzydlatego gada. Przerażający i groźny, taki potwór nie musiał obawiać się żadnego ziemskiego wroga.

Niestety, czar posiadał pewną zasadniczą wadę: nie dało się przewidzieć, kiedy przestanie działać. Mógł być w pełni sprawny, dopóki użytkownik nie zdjąłby go po kilku godzinach, a może nawet dniach, ale równie dobrze mógł opaść z nienacka po kilku minutach, a jego bezsilny użytkownik znalazłby się wysoko nad ziemią, lecz nagle pozbawiony umiejętności latania. Takie ryzyko wymuszało ostrożne korzystanie z zaklęcia - niepowodzenie na sporej wysokości zdarzało się tylko raz.

Chuntha dysponowała szerokim repertuarem czarów, ale spośród nich tylko to jedno zaklęcie pozwalało jej latać. Nie potrafiła też w żaden sposób spowolnić spadania, gdyby peleryna nagle przestała działać. Istniał co prawda pewien raczej skomplikowany czar powodujący, że stałaby się lżejsza niż piórko, ale zanim wyrzekłaby ostatnie sylaby inkantacji, leżałaby już na ziemi jako krwawa miazga. Niemniej jednak wolała już umrzeć próbując.

Wiedźma wybrała wysoką skalną iglicę i zaczęła się na nią wspinać, niosąc ze sobą tylko zwój z gadziej skóry. Te starożytne istoty latały i panowały w przestworzach, gdziekolwiek tylko się pojawiały, ale nie radziły sobie zbyt dobrze ze startem z ziemi, toteż Chuntha postanowiła rozpocząć swój lot wysokim ślizgiem.

Na szczycie iglicy rozwinęła i wyprostowała łuskowaty zwój, po czym zaczęła głośno recytować magiczną formułę.

Katamay Rey nie mógł rzec, żeby ta cała sytuacja go cieszyła, ale odczuwał niejaka satysfakcję. Raport jednej z os zwiadowczych informował, że wiedźma unosiła się na swej robalej tratwie daleko w tyle. Do czasu, gdy zrozumie swój błąd, zarówno on, jak ich wspólna zwierzyna będą już daleko poza jej zasięgiem. Kilka chwil później jednak jakiś dziwny cień przemknął wysoko nad jego głową. Spojrzał w górę, ale niczego nie wypatrzył. Nie, zaraz... a tam co za... co to było? Zanim mógł uczynić coś więcej poza dziwowaniem się, podobny do cienia kształt zniknął w oddali, pozostawiając czarodziejowi nie lada zagadkę.

- Co to było? - zapytał głośno.

Najbliższy cyklop, który zauważył zainteresowanie swego mistrza, podniósł głowę i rzekł:

- Może nietoperz?

- Byłby chyba największy na świecie. Nie sądzę - odparł Rey. Ale zastanowił się.

-

Jeśli nie nietoperz, to co?

Może ta zjawia nic nie znaczyła. Prawdopodobnie nie mogła mu zagrozić. A może to tylko jego rozchwiana wyobraźnia płata mu figle? Jednakże głęboko w swym czarnym sercu Rey poczuł kolejne ukłucie niepokoju.

Deek i Wikkel byli z siebie bardzo zadowoleni. Pierwsza część ich planu poszła tak gładko, jak po miękkim pancerzyku robalego niemowlaka. Razem wetknęli za pas Wikkeła magiczny przedmiot skradziony z komnat wiedźmy. Na odpowiednio odległej od jej siedziby płaskiej skale zatrzymali się, a Deek zaczął wyjaśniać działanie instrumentu. Urządzenie to wyglądało na niewiele więcej niż gruby kawałek drewna wielkości ludzkiej karty do gry, z malutką dziurką z jednej strony i małą dźwigienką z drugiej.

- W-wyceluj w-w t-tamtą ś-ścianę i-i p-pociągnij z-za dź-dźwi-gienkę - powiedział

Deek.

Wikkel tak właśnie uczynił, a przedmiot wypluł w powietrze silny strumień jakiejś białej nici. Jej koniec dotknął ściany i przywarł do niej, a z pudełka wylatywało coraz więcej niby-pajęcznej sieci, która spowiła ścianę w splątana, jedwabista powłokę. Wikkel przesunął dźwigienkę z powrotem i wiązka sieci urwała się, tracąc kontakt z magicznym przedmiotem.

Na Wikkelu nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- No, robi się pajęczna sieć, ale co z tego? Jak ma to nam pomóc?

- S-spróbuj p-przez n-nią p-przejsć.

Wikkel wszedł dziarsko w plątaninę nici i natychmiast został spętany i uwięziony. Jego próby uwolnienia się jedynie bardziej go pograżały, aż po krótkiej chwili nie mógł w ogóle się poruszyć.

- No już dobrze, jestem pod dużym wrażeniem. Jak mam się z tego wydostać?

- O-odwróć dź-dźwigienkę.

Wikkel zdołał to jeszcze zrobić. Pajęczna sieć jak na zawołanie zaczęła zniknąć w maleńkiej dziurce niepozornego pudełka. W ciągu kilku uderzeń serca cały kłęb wrócił na swoje miejsce, wyswobadzając cyklopa.

- M-może i-i n-nie j-jest t-to n-najpotężniejszy cz-czar - zauważył Deek - a-ale k-

każdy m-może g-go u-używać, j-jako ż-że n-nie w-wy-maga d-dodatkowych u-umiejętności.

- To znaczna zaleta - zgodził się Wikkel. - Jeśli tylko zdołamy pozyskać coś równie skutecznego w siedzibie czarodzieja, zdobędziemy potężny argument w dyskusji z naszymi braćmi.

- R-ruszejmy z-zatem - zachęcił Deek i tak też uczynili.

Harskeel już czuło swój sukces. Właśnie powrócił jeden z nietoperzy z wiadomością, że ci, których szukało, znajdowali się tylko kawałek drogi przed nim. Pokusa, żeby się pospieszyć, była ogromna, ale Harskeel nie chciało, by cokolwiek przeszkodziło mu znów w ostatniej chwili. Lepiej postępować ostrożnie, a później zaatakować w najbardziej korzystnym momencie.

Gdy przemierzało skalną podłogę szerokiej jaskini, zaryzykowało zerknięcie w dół, na

porozrzucane wszędzie wokoło kamyki. Dziwne, jak wszystkie błyszcząły w tym przeklętym

zielonkawym świetle. Schyliło się i podniosło jeden z kamieni.

Zaskoczony aż się zatrzymało, gapiąc się na okruch skalny. Tak, zaiste, był to kamyk, ale z

pewnością nie z tych, które rozrzuca się obojętnie na ziemi. Jeśli go wzrok nie mylił, co

wydawało się raczej mało prawdopodobne, jako że wiedziało to i owo o jubilerstwie, ten

kamień, wielkości jego małego paznokcia, nie był niczym innym, jak doskonale szlifowanym rubinem.

Rozejrzawszy się uważniej, stwierdziło, że większość z porozrzucanych u jego stóp

świecidełek to inne szlachetne okruchy skał o niemałej wartości. Nie będąc nigdy skorym do

przepuszczenia okazji wzbogacenia się tanim kosztem, Harskeel pozwoliło sobie na krótką

przerwę, w czasie której zebrało drogocenne minerały. Jego ofiary musiały upuścić je

przypadkowo, gdyż z pewnością nikt nie zostawiałby umyślnie takich bogactw na podłodze.

Zajmie to tylko chwilkę, a Harskeel z pewnością mogło sobie na to pozwolić.

Wysoko, tuż pod sklepieniem ciemnych jaskiń, wielka istota szybowała na skórzastych

skrzydłach, z niespotykaną prędkością i gracją spiesząc do swego celu, dopóki jeszcze

działała utrzymująca ją w powietrzu magia.

Wewnątrz peleryny Chuntha wyczuwała potęgę stworzenia, którego gatunek rządził przestworzami miliony lat przedtem, nim człowiek zasiedlił ziemię. Uczucie lotu było tak

upajające, że swą zmysłową naturą łatwo stałoby się uzależnieniem. Jednakże ryzyko, jakie

się z tym wiązało, zdecydowanie studziło namiętności. Istniały również inne sposoby

pozyskiwania ognistej rozkoszy, prócz wirowania w ostatnim tańcu ze śmiercią.

Gdy tylko posiadzie swego barbarzyńskiego mężczyznę, pokaże mu niektóre z rzeczonych

sposobów. Nie przeżyje on wprawdzie takiej przygody, ale co tam... przynajmniej spędzi swe

ostatnie chwile, pławiąc się w rozkoszy przechodzącej ludzkie pojęcie...

XX

Gdy Conan prowadził swych przyjaciół w dół najbardziej dotychczas stromego i wijącego

się tunelu o niesamowicie wysokim sklepieniu, zdarzyło się coś bardzo dziwnego.

Idący za  
nim Lalo powiedział:  
- Obawiam się, że młokos wiedzie nas na pewną śmierć.  
Obelga była tylko jedną z wielu w ciągłym strumieniu jego komentarzy, toteż Conan  
zaczynał się już uczyć, jak je ignorować. Tyle że tym razem, niemalże zanim przebrzmiało  
ostatnie zdanie, pojawiło się następne, zupełnie niczym echo: Jakże chciałbym  
być taki jak  
Conan - gotów stawić czoło wszystkiemu, co stanie mi na drodze, zbrojny w miecz  
jedynie i  
dziką odwagę.  
Conan zatrzymał się i odwrócił do Lalo.  
- Słucham?  
- Na bogów, co z tobą, Conanie? Czyżby glina w twojej głowie zaczęła już zatykać  
ci uszy  
tak, żeś nie tylko głupi, ale i głuchy?  
I znów dotarł do niego głos, jak ciche echo:  
Gdybym tylko mógł wyrazić swój podziw dla ciebie, Conanie, miast zmuszony  
złośliwą  
kłątą poniewierać cię każdym słowem.  
Nagle dotarło do Conana, że głos, który właśnie usłyszał, z pewnością nie  
należał do Lalo i  
nie wpadł do jego uszu, tylko powstał we wnętrzu głowy, podobnie jak bezwstydnego  
kuszenia  
Tkaczek.  
- Nic, nieważne - odrzekł Conan, odwracając się z powrotem. Cóż to za  
czarnoksiężstwo? Słyszał wszak mówiącego Lalo, ale był prawie pewien, że ta mowa,  
która  
rozbrzmiewała w jego głowie, wyrażała prawdziwe myśli uśmiechniętego człowieka,  
w  
czasie gdy wypowiadał swe złośliwe docinki.  
Coś tu faktycznie nie grało, ale Conan uznał, że lepiej o tym nie wspominać.  
Może mu się  
coś po prostu wydawało.  
Kilka chwil później, gdy Elashi zmagala się ze stromym stopniem w podłodze  
jaskini,  
poślizgnęła się i upadła ciężko, lecz niegroźnie na swój kształtny tyłeczek. Jej  
płaszcz i  
spódnica podwinęły się wysoko, odkrywając zgrabne, smukłe nogi niemalże do  
miejsca,  
gdzie się łączyły. Conan zatrzymał się, podziwiając widok.  
Elashi spojrzała w górę i zobaczyła jego uśmiech.  
- Osioł - rzuciła. - O niczym innym nie potrafisz myśleć?  
Jednakże, zanim jeszcze skończyła zdanie, Conan usłyszał ten dziwny głos w swej  
głowie:  
Och, gdybyśmy mieli choć chwilę tylko dla siebie, Conan, mój ogierze. Całe to  
zamieszanie  
podsyciło me żądze.  
Conan zamrugał, pewien, że wszyscy to usłyszeli, ale z ich zachowania  
wnioskował, iż ani  
Tull, ani Lalo nie poznali drugiej części jej wypowiedzi. Albo raczej - Conan  
był już teraz  
przekonany - jej myśli.  
W jaki sposób mógł słyszeć takie rzeczy? Czyżby rzucono na niego jakieś  
zaklęcie?  
Zastanowił się, ale nie miało to sensu. Jaki byłby cel podobnej kłątwy? Z  
pewnością  
dawała pewną przewagę, ale jemu, a nie jego przeciwnikom. Znać myśli innych,  
cokolwiek  
by mówili, to wszak potężny atut.  
No cóż. Najważniejsze, że coś takiego się stało. Jak ani dlaczego - nie martwiło  
to  
zbyt Conana. Jeśli byłś związany mocną liną, a ktoś nagle podał ci ostry

nóż, nie  
zastanawiałeś się, skąd pochodzi żelazo ani jak nazywał się kowal, który je  
wykuł. Po prostu  
wycinałeś sobie drogę na wolność, to wszystko.  
Conan był, doprawdy, co najmniej pragmatyczny.  
Poza tym, może na razie lepiej nie wspominać innym o tym nowo nabytym talencie.  
- Są tuż przed nami - zaskrzeczał Czerwonek do Harskeel. - Wszyscy czworo, zaraz  
za zakrętem.  
- Czy twoi towarzysze są gotowi do ataku?  
- Skończymy to raz na zawsze i otrzymamy twoje obiecane krwawe zaklęcie. Tak,  
jesteśmy gotowi.  
- Dobrze. Zakończmy zatem tę nieprzyjemną sprawę.  
Harskeel puściło się biegiem w stronę zakrętu korytarza, odległe go teraz o  
niecałe  
dwadzieścia kroków.  
Nadal zawinięta w płaszcz z latającego gada, Chuntha wylądowała w pobliżu swej  
siedziby, wzbudzając przerażone zaskoczenie u dwóch robali pozostawionych na  
straży.  
Uskoczyły w popłochu i trwały tak, dopóki nie zsunęła swej magicznej peleryny na  
tyle,  
by mogły ją rozpoznać.  
Robale wyraźnie odetchnęły z ulgą. Przywódca opowiedział jej o spotkaniu z  
barbarzyńcą.  
- T-to j-jakiś d-demon! Z-zatłukł C-c-cooka i-i T-tumę!  
Machnęła ręką, nakazując ciszę. Strata dwóch strażników to jeszcze nic.  
Ważniejsze, że  
barbarzyńca gdzieś się tu kręcił. Nie czas zatem na odpoczynek. Szkoda.  
Nie zadawała więcej pytań.  
Zamiast tego wlaźła na ogon większego strażnika i rozkazała:  
- Gdy zmienię się w skrzydlatą istotę, masz użyć wszystkich swych mięśni, by  
wyrzucić  
mnie w powietrze, o tak - pokazała. Nie czekając na odpowiedź, owinęła się w  
łuskowaty  
ubiór i ponownie przyjęła postać skrzydlatego gada.  
Uprowadzony, ale i tak zaskoczony strażnik, smagnął ogonem, wystrzeliwując  
zaczarowaną  
wiedźmę jak kamień z procy. Skórzaste skrzydła załopotwały i otworzyły się, a  
Chuntha  
poszybowała długim korytarzem.  
Istniało wprawdzie kilka dróg, które mógł obrać Conan, lecz ona знаła  
przynajmniej jedną,  
nie znaną jemu ani nikomu innemu. Była blisko, czuła to, i wkrótce go posiadzie!  
Katamay Rey dawno już przybił do brzegu i teraz cyklopi nieśli go w szybkim  
biegu  
najkrótszą drogą do jego siedziby. Miał niejasne wrażenie, że przybywa zbyt  
późno na to  
przyjęcie, a ociąganie się mogło w tym przypadku oznaczać porażkę.  
- Szybciej, wy bezużyteczne garbuse! Szybciej!  
Dalsza część planu Deeka i Wikkela udała się jeszcze sprawniej niż jego  
początek. Para  
cyklopów, którzy stali na straży przed siedzibą czarodzieja, wolała nie wtrącać  
się do ciągłego  
kursowania Wikkela w tę i z powrotem. Najwidoczniej Rey nie powiadomił ich o  
zmianie  
statusu asystenta, a on właśnie liczył na taki obrót sprawy. Czarodziej sądził,  
że wszyscy są  
durniami i z rzadka jedynie raczył poinformować ich o czymkolwiek, co ich  
bezpośrednio nie  
dotyczyło. Poza tym Wikkel był pewien, że Rey nie zamierza nikomu wyjaśniać  
swych  
poczynań, toteż obawa, że strażnicy mogą ich nie przepuścić, była chyba  
najmniejsza ze  
wszystkich.  
Prowadząc na smyczy sunącego za nim Deeka, wkroczył do komnat czarodzieja.



Podobnie jak w siedzibie wiedźmy, cyklop rzeźmieszek i robal renegat szybko wybrali odpowiedni talizman i uciekli. Kiedy już znaleźli się dość daleko od strażników, z kolei

Wikkel objaśnił zasadę działania przedmiotu, który właśnie ukradli. Deekowi wydawało się, że małe naczynie z szarego kamienia nie wygląda zbyt groźnie.

Wikkel wyjął z wnętrza szczyptę jasnego proszku i rozsypał go błyszczącym śniegiem przed robalem.

- J-jak t-to dz-działa?

- Wpełznij na to i sam zobacz.

Gdyby miał ramiona, wzruszyłby nimi, ale nie miał, więc tylko powiercił się trochę i

zaczął sunąć ku drobnemu pyłkowi. Szybko zorientował się, że nie może się ogóle posuwać

do przodu. Owszem, napinał mięśnie, ale pomiędzy jego ciałem a podłogą zanikło jakiegokolwiek tarcie. Odnosił wrażenie, że skała pod nim zamieniła się w powietrze, tyle

bowiem oferowała mu oparcia.

Wikkel uśmiechnął się do przyjaciela.

- Specjalne smarowidło - wyjaśnił. - Nie możesz się poruszać na pokrytej nim powierzchni. Każdy, kto na nią stanie, poślizgnie się i upadnie. Chodź, pomogę ci.

To mówiąc, Wikkel pochylił się i lekko pchnął robala. Deek pojechał po twardej skale z

łatwością większą niż ich łódka po gładkiej tafli jeziora. Dotarł wreszcie do kawałka zwykłej

skały i pospiesznie się na nią wydostał.

- Z-zdumiewające - orzekł. - Cz-czy t-to j-już z-zostanie n-na z-zawsze?

- Nie. Efekt trwa godzinę albo trochę dłużej, po czym znika. Niemniej jednak z takimi

przedmiotami może zdołamy uzyskać poparcie naszych braci.

- N-niewątpliwie.

- Nie traćmy więc czasu, do dzieła. Twój lud czy mój?

- M-moi s-są b-bliżej.

- Zatem prowadź, przyjacielu.

Wyczulony słuch Conana odebrał wysokie tony skrzeczących nietoperzy, zanim jeszcze

jego towarzysze je dostrzegli. Cymmerianin zakręcił się i dobył miecza, wywołując popłoch

pozostałych.

- Conan, co...? - zaczęła Elashi.

- Nietoperze, za wami! - krzyknął Conan.

Latające wampiry, w sile ponad tuzina, mknęły z łopotem w ich kierunku. Z tamtej strony

jaskinia była dość szeroka, ale zwężała się znacznie w miejscu, gdzie stali Conan i reszta.

Kilka kroków dalej, a dotarliby do wąskiego tunelu, w którym nietoperze musiałyby latać

parami.

Tull wyciągnął swój nóż, a Elashi miecz, podczas gdy Lalo schylił się po kamień o

rozmiarach pięści.

- Do tunelu! - nakazał Conan. - Szybko! Powstrzymam ich, dopóki nie wejdziecie do

środka!

- Conan...! - zaczęła Elashi.

- Rób, co mówię, szybko!

Wszyscy troje posłuchali i Conan usłyszał w ich myślach strach połączony z niechęcią do

pozostawienia go samego z nietoperzami. Nie chcieli go porzucać, a on uśmiechnął się

ponuro, zdając sobie sprawę z potęgi poznawania myśli. Uniósł miecz.

Nietoperz, który doleciał pierwszy, poczuł lodowate ostrze przecinające go na pół, zanim zorientował się, że popełnił błąd. Wnętrznosci ochlapały wszystko dookoła, gdy umierająca kreatura nadziała się na ostry stalaktyt i zdechła. Drugi i trzeci nietoperz skończyły nie lepiej, gdy odwrotny cios ostrej, błękitnej stali zerwał jednemu z nich głowę z włochatych ramion, a potężna kontra z półobrotu odcięła cały tył następnemu. Niestety, było ich zbyt wiele. Zanim Conan zdołał zamierzyć się do kolejnego ciosu, zaszarżowały na niego cztery nietoperze. Znacznie mniejsze i lżejsze niż on, zdołały mimo wszystko wytrącić go z równowagi swym ciężarem i pędem. Potknął się i upadł, rozgniatając jednego z nietoperzy. Następny napastnik wbił szpony w ramię barbarzyńcy, upuszczając mu krwi, by zaczerpnąć jej do syta. Conan złapał włochatą szyję wolną ręką i ścisnął. Delikatne kostki chrupnęły cicho i Cymmerianin odrzucił zaduszonego nietoperza na bok. Za oszalałymi nietoperzami Conan ujrzał znajomą postać Harskeel. Mógł się domyślać, że właśnie ono za tym stoi. Hermafrodyta skoczył w stronę Conana z cienkim ostrzem w dłoni, ale nie zdołał dotrzeć na tyle blisko, żeby mu się przydało - chmara nietoperzy skutecznie broniła dostępu do barbarzyńcy. Za sobą usłyszał nagle głosy Elashi, Lalo i Tulla. - Conanie, idziemy! Gdy Conan trafił jednego z nietoperzy pięścią prosto w pysk, roztrzaskując biednej istocie szczęki razem z zębami, pomyślał, że bitwa zaczęła się obracać na jego korzyść. Jeszcze tylko kilka nietoperzy, jeden człowiek - powinni sobie z nimi poradzić. Coś krzyknęło. Był to niezmierny krzyk, jakiego Conan w życiu jeszcze nie słyszał. Szorstki, ochrypły ryk, który sprawiał, że skóra na karku niemile drętwiała. Ten straszny wrzask dobiegał gdzieś spod stropu. Zaryzykował spojrzenie w górę, bo zorientował się, że podobnie czynią Harskeel i nietoperze. Latający potwór nurkował prosto na nich. Miał długą, wąską głowę z paszczą pełną strasznych zębów, dorównujących rozmiarami ludzkim palcom i, skórzaste skrzydła rozpościerające się na pół szerokości jaskini. Conan wywinał mieczem, chcąc uderzyć w tę rzecz - na Croma, ależ była olbrzymia! - ale jakiś nietoperz próbujący uciec przed spadającym horrorem zafurkotał tuż przed nim akurat w momencie, gdy Cymmerianin szykował się do ciosu. Krawędź błękitnego ostrza wbiła się w czaszkę nietoperza, skutecznie zatrzymując jego atak. Niestety, miecz wszedł w miękką kość i uwiązał w niej tak głęboko, że ciężar nietoperza wystarczył, żeby wyrwać broń z nie dość mocnego chwytu zaskoczonego Conana. Czas się zbierać, pomyślał barbarzyńca. Puścił się biegiem w stronę przyjaciół, ale było już za późno. Szpony latającego potwora zacisnęły się na nim. Jeden otoczył jego ramię niczym żelazną obręcz, drugi zaś wbił się w skórę jego pasa. Conan poczuł, że coś unosi go w

powietrze równie lekko, jak matka unosi nowo narodzone dziecko. Łopot wielkich skrzydeł wywołał niemal huragan, podrywając szalone wiry kamieni i skalnych odłamków z podłogi.

- Uciekajcie! - krzyknął Conan do przyjaciół.

W odpowiedzi Lalo wycelował i cisnął kamieniem. Niestety, jego oko okazało się niezbyt

celne, gdyż pocisk trafił Conana w udo. - Uciekajcie! - powtórzył Cymmerianin. Był już zbyt wysoko, by zdołali go dosięgnąć, a gdy się zorientowali, nie potrzebowali

dodatkowej zachęty. Wszyscy troje wbiegli do małego tunelu, w czasie gdy Conan unosił się

coraz wyżej w powietrze, niesiony w szponach skrzydlatego demona.

Pod nim Harskeel wydało z siebie krzyk, który rozpoczął się głębokim barytonem, lecz

szybko wzrósł, osiągając brzmienie kobiecego wrzasku:

- Niiieeeeeee!

Potwór niosący Conana przechylił się na lewo i odleciał. Cymmerianin nie wyrwał się.

Upadek z tej wysokości na kamienną posadzkę jaskini w żaden sposób by mu nie pomógł.

Lepiej już zobaczyć, gdzie to coś zakończy swój lot, niż zostać zgruchotanym na miazgę.

Gniew Harskeel zniknął równie szybko, jak się pojawił, w momencie gdy zorientowało się,

że to, co skapnęło na nie z gigantycznego potwora, nie było niczym innym jak krwią rannego

Conana. To wprawdzie tylko kilka kropel, ale powinno chyba wystarczyć? A do tego miecz

leżał, utkwiony w czaszce jednego z martwych nietoperzy, niecałe trzy kroki stąd!

Harskeel już rzucało się ku tej broni, gdy nagle podleciał do niego Czerwonek.

- Zejdź mi z drogi - rozkazało.

- To koniec naszego ślepego posłuszeństwa - rzekł Czerwonek, łopocząc skrzydłami,

wyraźnie zagniewany. - Daj nam nasze zaklęcie, natychmiast!

- Oczywiście, oczywiście, jeszcze tylko chwilkę. Muszę tylko podnieść ten...

- Natychmiast!

Tego już było za wiele. Żeby jakiś głupiec przeszkodził mu w osiągnięciu celu, który leżał

w zasięgu ręki, to stanowczo za wiele! Harskeel śmignęło swym mieczem w płaskim sztychu,

wkładając w cios siłę całego ramienia. Głowa Czerwotka skropiła powietrze krwią, nakreślając czerwoną pętlę, zanim upadła i odbiła się dwukrotnie od podłogi.

Pozostałe nietoperze - pięć czy może sześć - nie wyglądały na ranne. Spojrzały po

sobie, a później na Harskeel.

- Ktoś jeszcze się niecierpliwi?

Wyglądało na to, że nikt.

Harskeel podeszło do porzuconego miecza Conana i wyrwało go z czaszki nietoperza.

Natychmiast napłynęły mu do głowy słowa zaklęcia, głęboko wryte w pamięć po tylu latach

poszukiwań. Skropiło ostrze niewielką ilością barbarzyńskiej krwi i ostrożnie nakreśliło na

swym ciele cienką linię, przecinając skórę od czubka głowy do krocza.

Ostatnie sylaby inkantacji dobiegły z ust Harskeel.

Powietrze zaczęło drgać, a ono poczuło falę zadowolenia. Zaczyna działać! Już czuło się

- nie, czuli siebie! - oddzielnie, jak dawniej. Męska połowa pojawiała się po prawej

stronie, a żeńska po lewej, w miarę jak cięcie, poprowadzone ostrzem i krwią prawdziwie

mężnego człowieka i połączone z prastarą magią zaklęcia, rozszerzało się,

tworząc dwoje  
ludzi z jednego ciała.  
Pozostałe przy życiu nietoperze gapiły się z przerażeniem. Harskeel zaśmiał się, a śmiech  
wydobył się z dwóch gardeł i dwojga ust. Sukces! Zabijało setki ludzi, bez  
rozróżnienia,  
rabowało, oszukiwało, kradło - i wreszcie, po tylu latach osiągnęło swój - nie,  
ich -  
upragniony cel! Kochankowie staną się znów parą, tak jak za dawnych czasów.  
Rozrywając to, co pozostało z elastycznej błony, która ich łączyła, stanęli  
naprzeciw  
sobie. Kobieta i mężczyzna. Uśmiechali się do siebie promiennie.  
- Co się tu dzieje? - usłyszeli nagle za plecami i obrócili się równocześnie.  
Mężczyzna  
dzierzył miecz Conana, a kobieta wąski miecz, który dotychczas należał do  
Harskeel. Ich  
oczom ukazał się nie kto inny, tylko Katamay Rey.  
- Kim jesteście? - zainteresował się czarodziej.  
- Nie twój interes - odparła szorstko kobieta.  
- Powstrzymaj swój język - nakazał jej stojący obok mężczyzna.  
- Po tych wszystkich latach?! Nie ma mowy!  
- Przecież to twoje niepowstrzymane gadanie wpędziło nas ostatnio w kłopoty -  
odparł  
mężczyzna.  
- Słucham? To przecież ty...  
- Cisza! - krzyknął czarodziej. - Nie mam czasu na takie sprzeczki.  
- Jeśli będziemy dość szybcy, to możemy go załatwić - powiedziała kobieta,  
ściszejając  
głos do szeptu.  
- Nie bądź głupia - wyszeptał w odpowiedzi mężczyzna.  
- Teraz! - krzyknęła i skoczyła na czarodzieja z mieczem gotowym do ciosu. O pół  
kroku z tyłu mężczyzna, z którym jeszcze niedawno była połączona, zdążył tylko  
pokręcić  
głową i rzucił się za nią. Jeden trup więcej nie zrobi im różnicy.  
Reyowi towarzyszyło dwóch cyklopów, ale stali w pewnej odległości. Nie zdołaliby  
zareagować odpowiednio szybko. Czarodziej podniósł ręce i poruszywszy palcami,  
zaintonował cztery ostre, gardłowe słowa.  
W chwili gdy już szykował się do skoku na czarodzieja, mężczyzna poczuł, że  
zwalnia,  
jakby jego stopy stały się płynne. Zaryzykował błyskawiczne spojrzenie w dół i z  
niejakim  
osłupieniem zauważył, że tak było w istocie - jego stopy zaczęły się rozpląwać!  
Gdy tak  
patrzył, jego nogi zatonęły w kałuży, która kiedyś była stopami. Nie czuł bólu,  
tylko zgniły  
odór wydobywający się z rzadkiej mazi.  
Mężczyzna wykręcił szyję, by spojrzeć na kobietę, z którą przez tyle lat był w  
tak  
perwersyjnie intymnej bliskości. Jej dolna połowa składała się teraz z  
identycznej mazi, a cała  
reszta tonęła szybko w bulgoczącej, cuchnącej kałuży. Na jej twarzy malowało się  
kompletne  
zaskoczenie.  
- No i zobacz, coś ty narobił! - krzyknęła z wyrzutem, głosem pełnym  
histerycznego  
szlochów.  
- Ja? Ja narobiłem?  
Były to ostatnie słowa mężczyzny, a w chwilę później dołączyła do nich ostatnia  
myśl:  
"Przekłęci niech będą wszyscy bogowie!"  
W następnym momencie para, którą kiedyś znano pod wspólnym mianem Harskeel z  
Loplain, stała się dwiema bulgoczącymi kałużami śmierdzącego śluzu na kamiennej  
podłodze  
jaskini.

XXI

Pojawienie się Deeka, i do tego w towarzystwie cyklopa, wywołało nie lada zamieszanie wśród jego ludu.

- D-deek! C-co t-to m-ma z-znaczyć?!

- Cz-czyś t-ty o-o-oszalał?

- J-jakże t-to, p-przychodzisz t-tutaj z j-jednookim!?

Jednakże mała prezentacja, polegająca na spętaniu jednego z robali i zamianie podłogi pod innymi w ślizgawkę, wzbudziła jeszcze większe zdziwienie.

- N-na w-wszystkich b-bogów!

- Z-zabierz t-to c-coś!

- Myślisz, że gotowi są nas wysłuchać?

- N-na t-to w-wygląda.

Tym sposobem robale zainteresowały się planem Deeka i Wikkela. Chociaż nie słysząc

było ogólnego nawoływania do rewolucji, pojawiły się głosy, których przedtem daremnie

wyczekiwali. Wszyscy byli niezadowoleni z rządów Chunthy, to pewne, jednak żeby istniała

realna szansa obalenia jej tyranii - w to mało kto wierzył. Ale gdyby tak robale i cyklopi

połączyły swe siły, to kto wie? Może byłoby to możliwe. Fakt, że Deek i Wikkell zdobyli aż

dwa talizmany, świadczył o istnieniu słabych punktów w magicznych pancerzach wiedźmy i

czarodzieja.

Rozgorzała gorąca dyskusja i rozmowy ciągnęły się bardzo długo. Wreszcie jednak robale

osiągnęły porozumienie. Jeśli Deek i Wikkell zagwarantują udział jednookich, cóż, wtedy z

pewnością robale chętnie ruszą do boju ogon przy ramieniu z nimi.

Deek i Wikkell spojrzeli po sobie z nieukrywaną satysfakcją. Sukces!

No, jeśli chodzi o ścisłość, to jedynie połowa sukcesu. Niemniej jednak przyrzeczenie

robali dało im do ręki potężny oręż w dyskusji z cyklopami.

Opuściwszy jaskinie ludu Deeka, obaj udali się w kierunku, gdzie leżały groty zamieszkiwane przez cyklopów.

Gdy jego porywacz szybował przez jaskinie na swych skórzastych skrzydłach, Conan zastanawiał się, które z dwojga władających magią władców odpowiadało za jego obecne

położenie. To, że albo wiedźma, albo czarodziej wysłali tę bestię, było oczywiste. Ponadto

wydawało się, że chcą go wziąć żywcem, gdyż w przeciwnym wypadku dawno by już nie żył.

Latający potwór musiałby tylko puścić go wolno. Na odpowiedniej wysokości.

Conan niedługo czekał na odpowiedź. W jego głowie zabrzmiało znowu delikatne echo:

Wkrótce będziemy w domu, mój piękny Barbarze.

Z pewnością kobiecy głos, zdecydował Conan, a ponieważ wydawał się dochodzić z wnętrza zębatego gada, domyślił się, że wiedźma w jakiś sposób przyjęła kształty tej kreatury.

Istotnie, gdy ściany jaskini zaczynały się zbliżać, a podłoga wyrastać tuż przed oczami,

trzymająca go istota skręciła i poszybowała znanymi mu tunelami, by wreszcie dotrzeć do

komnat Chunthy. Wejścia strzegły dwa wielkie robale. Conan nie mógł rozpoznać, czy to te

same, które ich goniły, ponieważ wszystkie wyglądały identycznie, ale podejrzewał, że tak.

Kreatura wylądowała na ziemi, wypuszczając Cymmerianina ze stalowych szponów, ale za

to prosto w zasięg robali. Jeden zbyt szybki ruch mógł się skończyć kłapsem któregoś z

masywnych ogonów, a Conan nie miał ochoty sprawdzać, jak potężne byłoby takie uderzenie.

Wszelkie myśli o szybkiej ucieczce umknęły jednak z jego umysłu, gdy łuskowaty gad nagle zmienił kształt. Kiedy ustało delikatne drżenie powietrza, Conan po raz pierwszy zobaczył wiedźmę. Spodziewał się ujrzeć staruchę, pomarszczoną i wysuszoną, przygiętą pod ciężarem wieków, mówiącą ochryplym głosem. To, co miał przed sobą, ani trochę nie odpowiadało jego wyobrażeniom.

Na Croma, ależ ona piękna! I naga! Jej twarz, piersi, długie, kształtne nogi, jej czarne, jedwabiste włosy... wszystko było w niej niesamowicie cudowne. Zmysłowy uśmiech wiedźmy tak wiele obiecywał...

- Szukałam cię tyle czasu - zaczęła. - Muszę z tobą bardzo długo... porozmawiać. Conan gapił się na nagą kobietę. Niewątpliwie kobieta, która tak wygląda, nie może być aż tak zła, jak o niej opowiadają, prawda?

- Chodź - rzekła - do mojej komnaty. Musisz być zmęczony walką z nietoperzami. Możesz spocząć w moim łożu i się... odprężyć. Akurat odprężania się nie było w tej chwili na liście upragnionych czynności Cymmerianina. Mężczyzna nie mógł stać w towarzystwie takiej kobiety i myśleć o odpoczynku, chyba że w odległej przyszłości. Odprężyć się? Później. Znacznie później, jako że w tym momencie znalazł się w cokolwiek odmiennym stanie. Do tego jeszcze w myślach zaszeptał mu jedwabisty głos, który niedawno zaczął słyszeć: Położymy się razem w moim łożu, siłaczu, a ja uraczę cię przyjemnościami, które wykraczają poza granice ludzkiego pojmowania rozkoszy. Chuntha odwróciła się, uświadamiając Conanowi, że widok z tyłu był równie urzekający, jak z przodu. Cymmerianin patrzył, jak odchodzi. Właściwie raczej kołysała się niż szła, a mięśnie igrały pod jej gładką i jedwabistą skórą w wielce kuszący sposób. Bez dodatkowej zachęty Conan podążył za nią. Wydawało mu się, że przypomina sobie jakieś ostrzeżenia Tulla dotyczące wiedźmy, ale te wspomnienia były zbyt ulotne w porównaniu z namacalnością kobiety, którą oglądał.

Korytarz, który Elashi, Tull i Lalo wybrali jako drogę ucieczki, okazał się ślepym zaułkiem. Kończył się nagle płaską ścianą i nie mieli innego wyboru, jak wrócić po własnych śladach tam, skąd przybiegli.

Nie uszli nawet tuzina kroków, gdy drogę zastawiło im dwóch cyklopów. Po chwili jednookie istoty rozstały się, ukazując postać Katamaya Reya.

- Ach, moi przyjaciele - powiedział czarodziej. - Przedtem tak nagle nas opuściliście, że nie mieliśmy czasu porozmawiać. Ale popatrzmy, ktoś do was dołączył! - Rey kiwnął na Lalo.

- Czy ja cię kiedyś nie widziałem?

- Nie sądzę, wpadłem tu niedawno - odparł Lalo ze zwykłym uśmiechem.

- Hmm. A tak, oczywiście, przypominam sobie. Wysłała cię Chuntha, zgadza się?

- Ani trochę, ty mózdzku wielkości fasoli!

Oniemiały czarodziej podniósł rękę, ale zatrzymał się.

- Coś mi w tobie nie pasuje... ach, już wiem! Ty jesteś przeklęty! Mój brat, Mambaya

Rey, miał kiedyś takie zaklęcie. Może go znasz?

Choć raz Lalo zamilkł ze zdziwienia.

- No, ale to nie ma znaczenia. Widzę, że wasz duży towarzysz opuścił was. A gdzie on się podziewa?

Żadne z trójki przyjaciół nie puściło pary z ust. Czarodziej wyszczerzył zęby.

- Cóż, możemy o tym jeszcze porozmawiać w moich komnatach. Wpadniecie chyba z wizytą, prawda? - kiwnął na cyklopów stojących po jego obu stronach, a ci podeszli do trojga ludzi.

Tull i Elashi zerknęli po sobie, ale Tull potrząsnął głową. Nóż i miecz nie przydadzą się przeciwko tym potworom, chyty Lalo tym bardziej. Byli w potrzasku. Conan zniknął, a sprawy nie wyglądały najlepiej.

Lud Wikkela z początku okazał więcej sceptycyzmu niż pobratymcy Deeka. Niemniej jednak obecność gigantycznego robala wzbudziła ich ciekawość.

- Słowa nic nie kosztują, bracie - powiedział jeden z cyklopów.

- Owszem - odparł Wikkel. Podniósł urządzenie tworzące sieć i wycelował w powątpiewających cyklopów. Nieoczekiwanie wystrzelił z niego cienki strumień.

- Hej!

Po chwili niedowiarek został owinięty na tyle, że nie mógł się poruszyć.

- Pomóżcie mi!

Kiedy pół tuzina innych ruszyło ku niemu, Wikkel rozsypał pod ich stopami magiczny

proszek i uczynił podłogę tak doskonale śliską, że wszyscy poprzewracali się i zaczęli się

ślizgać jak po lodzie.

- W-wydaje s-się, ż-że p-przyciągnęliśmy i-ich u-uwagę.

- O tak, zaiste.

Kilka godzin później dyskusję doprowadzono do końca. Cyklopi zgodzili się połączyć swe

siły z robalami i wziąć udział w rewolucji przeciwko wiedźmie i czarodziejowi. Tylko jak

dokładnie wyglądał jej plan i jak zamierzali go przeprowadzić? Wikkel przepchnął się

naprzód i rzekł:

- Deek i ja wszystko już obmyśliliśmy. Najpierw musicie wybrać radę wojenną, waszych

przywódców. Robale uczynią tak samo, a my obaj przedstawimy nasz plan obu radom równocześnie, żeby oszczędzić na czasie. Oczywiście, Deek i ja zamierzamy być głównodowodzącymi obu wojsk.

To rzekłszy, Wikkel odmaszerował, a Deek poszedł za nim. Do wyjściowego korytarza

odprowadził ich głośny pomruk cyklopów.

W odległości, z której tamci nie mogli ich już usłyszeć, Deek znalazł sobie kawałek skały,

na której mógłby skrobać.

- J-jaki z-znowu p-plan? N-nie m-mówiliśmy d-dotąd o ż-żadnym p-planie!

- Przecież musiałem im coś powiedzieć, no nie? Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się,

że zajdziemy tak daleko. Nigdy do końca nie wierzyłem, że nam się uda zmontować wojnę

przeciwko wiedźmie i czarodziejowi.

- N-no c-cóż, d-dopięliśmy s-swego. T-tylko c-co m-my t-teraz z-zrobimy?

- Wygląda na to, że powinniśmy ułożyć plan ataku. Masz jakiś pomysł?

- Z-zaczynam ż-żałować, ż-że k-kiedykolwiek s-s-się w-wyklu-łem - narzekał Deek. Jeśli to w ogóle możliwe, żeby ciałem oddać uczucie żalu, to tak właśnie wyglądał.

- Rozchmurz się, Deek, stara glisto. Przecież nie jest gorzej niż do tej pory. Kto wie?

Może nawet wygramy.

- N-nie p-postawiłbym n-na t-to m-mojego g-gniazda.

Wiedźma podeszła do olbrzymiego łoża, które stało na środku komnaty. Weszła na nie,

podpełzła uwodzicielsko na środek i odwróciła się na plecy. Uśmiechnęła się do Conana.

- Chodź tu, mój piękny, barbarzyński mężczyzno. Niechaj poczuje ciepło twego ciała.

Conan był już z niejedną kobietą w swym młodym życiu, ale żadna jeszcze tak do

niego

nie przemawiała. Aż zasychało mu w ustach, gdy podchodził do łoża.

Wtem usłyszał głos umysłu:

Chodź i doznaj rozkoszy totalnej, wielki człowieku. Daj mi swą siłą. Twoje ciało zdrzy dla

mnie najwspanialej na świecie, ostatni raz.

Conan zwolnił kroku. Ostatni?

- Czemu każesz mi czekać? Czyż mnie nie pragniesz?

Napełnij mnie swą męską esencją, a razem z nią - twym życiem. Szybciej, nasyc mnie!

Conan nadal podchodził do leżącej kobiety. Była nie mniej piękna i pociągająca niż

dotychczas, tyle że tym razem miał się bardziej na baczności. Ten głos w umyśle zdradzał

prawdziwe zamiary - nie zwodził, jak jej piękne słowa. Zorientował się, że danie upustu

swym żądom z tą istotą, która mimo wszystko była wiedźmą, oznaczałoby jego koniec. Ale

co miał uczynić? Pragnęła go, a gdyby odrzucił jej ofertę, nie mógł przewidzieć, jak się

zachowa. Nawet zwyczajna kobieta rozzłoszczona stawała się niebezpieczna, co więc

mogłaby z nim zrobić odrzucona wiedźma?

Co ona tam powiedziała? Chciała jego esencji? Zatem, jeśli w jakiś sposób zdołałby

uniknąć tego, czego pożądała, może udałoby mu się przeżyć.

Jak tego dokonać, o, to już zupełnie inna kwestia. Śmierć uznał jednak za zbyt wysoką

cenę za kilka momentów rozkoszy. Crom z pewnością nie pochwaliby człowieka, który

dobiłby tak głupiego interesu. Taka forma walki nie dawała się raczej porównać ze śmiercią w

bitwie, z mieczem w dłoni.

Conan poszukiwał w pamięci wspomnień śniegu i mrozu, brodzenia po pas w lodowatej

wodzie.

Te myśli wydawały się pomagać. Trochę.

- Uhm, jesteś całkiem ładna - powiedział Rey do Elashi. Pustynna kobieta stała obok

Lalo i Tulla. Czarodziej zabrał im oręż i więził ich teraz w swych prywatnych komnatach. Za

drzwiami czekała gotowa na wszystko para cyklopów.

- Nie potrzebowałem kobiet przez tyle lat - ciągnął Rey - ale mógłbym na nowo rozniecić stare ognie dla takiej jak ty.

- Wolałabym już raczej smażyć się w gorącym oleju, niż cierpieć twoje zaloty - odparła

pogardliwie Elashi.

- Co?

- Uszy ci się zapchały gliną, czy co? - krzyknął Lalo. - Pani znajduje cię odpychającym i jest to odczucie, z którym w pełni się zgadzam.

- Czy wy dwoje nie moglibyście się zamknąć? - wtrącił się Tull przyciszonym głosem.

- Nie chcecie go chyba rozgniewać. Jest bardzo potężny.

- Mądrze. W nagrodę otrzymasz szybką śmierć. Tych dwoje zaś... hmm, oni pocierpia

nieco dłużej, kiedy już wyjawia mi miejsce pobytu tego, jak mu tam... Conana?

- Spodziewam się, że Conan dawno już uciekł z tych jaskiń, daleko od ciebie i wiedźmy

- odparła Elashi.

- Mam taką nadzieję - powiedział Rey. - Bo to niebezpieczny człowiek. Dlatego nie

mogę ryzykować, żeby mi tu biegał na wolności. Pomożecie mi go schwytać, czy to się wam

podoba, czy nie. A jak się już chyba przekonaliście, mnie nie wolno lekceważyć.



Tull, Elashi i Lalo spojrzeli po sobie. To nie wróżyło dobrze. Elashi najbardziej martwiła się o Conana. Mógł być teraz w prawdziwych tarapatach.

XXII

- Cz-czy nietoperze i A-albinosy t-to z-zrobią?

Wikkel niechętnie odwrócił twarz w stronę Deeka. Siedzieli właśnie w jaskini, w której

cyklopi zazwyczaj się kapali. Mała katarakta rozlewała wodę z wysokiej półki, na której

zasiedli, i rozpryskiwała ją w stawiku poniżej. Dźwięk spadającej wody zagłuszał ich głosy

tak, że nie słyszały ich młode cyklopki, kąpiące się pod nimi w basenie.

Atrakcyjne stadko,

zauważył Wikkel i pomyślał, że wolałby być tam na dole z nimi niż tu z Deekiem.

- W-Wikkel?

- Co? Och, przepraszam, Deek. Tak, myślę, że to zrobią. Wątpię, żeby w jakiś sposób

można było użyć roślin, ale biorąc pod uwagę nasze siły, nie sądzę, by chciały nam

przeszkodzić. Spodziewam się, że wstępny podarunek w postaci kilku Albinosów i nietoperzy

może je nastawić przychylniej, ale jeśli zamierzają dalej żyć w jaskiniach, to będą musiały

dzielić z nami ryzyko zamachowców.

- N-nie m-można z-zrobić w-wina z p-pieczarek, n-nie r-rozgniatając p-przy t-tym k-

kilku m-muchomorów.

- Dobrze powiedziane, Deek. Musimy wkrótce uderzyć, jeśli chcemy utrzymać rzecz w

tajemnicy.

Wikkel zerknął w dół na cyklopki. Jedna z nich dostrzegła go i machała mu ręką. Odpowiedział podobnym gestem.

- K-ktoś, k-kogo d-dobrze z-znasz?

- Jeszcze nie. Ale jeśli przeżyjemy nadchodzącą konfrontację, mam nadzieję poznać

jądużo lepiej.

- J-jak n-na j-jednookich, w-wyduje s-się c-całkiem u-urocza.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś robalem o dobrym smaku. Musisz przedstawić mnie samicom w swym gnieździe, kiedy to się już skończy.

- T-tak, g-gdy t-to s-się s-skończy.

Minęło najwyżej kilka godzin, ale Conanowi wydawało się, że to co najmniej dni.

W

końcu wiedźma zapadła w, jak wydawało się Cymmerianinowi, długi sen z wyczerpania.

Od razu poczuł się lepiej, gdy w pośpiechu zbierał swe ubrania. Jego sakwa upadła w

pewnym momencie na podłogę z głuchym dźwiękiem, który wydał mu się strasznie głośny, i

Conan zamarł. Kilka kamieni wysypało się na podłogę, ale nie zwrócił na nie uwagi, mimo że

był wśród nich wielki szmaragd, który dała mu Elashi.

Uśpiona Chuntha nie poruszyła się w swej rozkosznej pozie, a Cymmerianin szybko zebrał

resztę odzieży i wymknął się z jaskini.

Gdy kończył się ubierać, rozważał problem strażników przy drzwiach. Jego miecz został w

jaskini, w której razem z przyjaciółmi walczył z nietoperzami. Walka wręcz z wielkimi

robalami wcale mu się nie uśmiechała. Jak miał więc ominąć tę parę? Fakt, że ustawiono je

tam, by strzegły przed intruzami z zewnątrz, a nie przed wychodzącymi ze środka. Stosując

zaskoczenie, mógłby prawdopodobnie przemknąć między nimi, zanim by się zorientowały.

Do czasu, aż by się pozbierały na tyle, by go gonić, on byłby wystarczająco daleko, a z wcześniejszych doświadczeń wiedział już, że zdoła prześcignąć te pełzające bestie.

Z drugiej strony, choć taka akcja przysporzyłaby mu natychmiastowej i znacznej przewagi nad robalami, one równie dobrze mogły nie trudzić się gonieniem go. Mogłyby po prostu pójść obudzić Chunthę, a Conan miał poważne wątpliwości, czy zdoła umknąć przed potwornym, latającym gadem, w którego potrafiła się zamieniać wiedźma. Doprawdy, dylemat.

W końcu uznał, że klucz do wszystkiego stanowi zuchwałość. Rozpoznał mowę, której używały robale, i umiał się nią niezle posługiwać. Wział głęboki oddech i wyszedł na zewnątrz przez bramę do komnat wiedźmy.

- Hej, strażę - powiedział w dialekcie, jakim robale porozumiewały się już wcześniej.

Obaj strażnicy odwrócili się błyskawicznie, wijąc się niczym gotowe do skoku węże.

- Chuntha drzemie i nie życzy sobie, by jej przeszkadzano - oznajmił. - Zostałem wysłany, żeby jej coś dostarczyć. Przepuście mnie więc.

Conan zaryzykował, iż robale założą, że jego widoczna nonszalancja świadczy o prawdomówności. Cymmerianin wątpił, żeby wielu - jeśli w ogóle komukolwiek z gości Chunthy się to udało - zdołało opuścić jej komnatę, a do tego bez jej zgody. Liczył też na to, że robale myślapodobnie i będą się lękać kwestionowania jej rozkazów. Obaj strażnicy wydawali się spoglądać jeden na drugiego, choć jakiegokolwiek narządy służące im za oczy były niewidoczne dla Conana. Cymmerianin przeżył chwilę długiego, napiętego oczekiwania...

Po czym robale, z lekkim obrotem ciała, który Conan wziął za wzruszenie ramion, uspokoiły się i wróciły do swej dawnej pozycji.

Walcząc z tym, żeby wyglądać jakby posiadał każdy cal w tych jaskiniach, Conan ruszył spacerowym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Gdy minął pierwszy zakręt korytarza, dość znacznie przyspieszył. Umknął wprawdzie z żarłocznych uścisków wiedźmy, ale musiał odnaleźć przyjaciół. Puścił się biegiem, planując stworzenie sporej odległości pomiędzy nim a wiedźmą tak szybko, jak to tylko możliwe.

Biegł zaledwie kilka chwil, gdy za kolejnym zakrętem wpadł prosto w poplątaną sieć pajęczej nici. Próbował się wycofać i wyswobodzić z pętających go więzów, ale ani nie mógł uciec, ani ich zerwać. Im bardziej się starał, tym gorsze przynosiło to efekty. Nawet jego potężne mięśnie nie mogły mierzyć się z wytrzymałością tych włókien. Nadal bezsilnie starał się wyrwać, gdy nagle ujrzał przyglądających mu się cyclopa w towarzystwie wielkiego robala.

Co tym razem? - pomyślał.

- N-nie j-jestem d-do k-końca p-pewny - zaczął Deek, obserwując uważnie męczyznę usiłującego wyrwać się z magicznej sieci.

Stojący obok Wikkela pokiwał głową.

- Rozumiem twą niechęć. Niemniej jednak ten tu wydaje się kluczem do wszystkiego.

Zarówno mój mistrz, jak i twoja pani...

- E-e-eks-mistrz i-i e-eks-pani - poprawił go Deek.

- Tak, tak, oczywiście. Nasi eks-władcy sądzili wszak, że ten męczyzna jest dla

nich z różnych względów ważny. Jak już się zorientowaliśmy, niewątpliwie jest bystry. Zdołał przecieżyć uciec czarodziejowi i wiedźmie, a to nie lada wyczyn.

- A-ale czy m-możemy m-mu z-zaufać?

- Wolałbym mieć go za sojusznika niż za wroga. Z pewnością nie pała on większą miłością do Reya ani do Chunthy. Poza tym my też mamy coś do zaoferowania, czyż nie?

- T-to p-prawda.

- Porozmawiajmy z nim zatem.

W swych komnatach Rey zabrał się do przesłuchiwania Elashi. Kazał parze cyklopów trzymać ją w żelaznym uścisku, podczas gdy sam ostrzył na kamieniu nieco zardzewiały nóż. Przesuwane rytmicznie ostrze wypełniało cichą jaskinię zimnym, zgrzytliwym odgłosem. Tull i Lalo stali oparci plecami o pobliską ścianę, do której zostali przykuci. Chociaż łańcuchy i kajdany pokryte były grubymi łuskami brązowej rdzy, żelazo nie straciło nic ze swej wytrzymałości.

Rey skończył przygotowywać nóż. Dotknął krawędzi kciukiem i, najwidoczniej usatysfakcjonowany swym dziełem, z paskudnym grymasem na twarzy ruszył w stronę Elashi, bawiąc się niedbale trzymanym nożem.

Obaj cyklopi mocno trzymali w potężnych dłoniach ramiona Elashi, ale na swoje nieszczęście zapomnieli o jej smukłych, lecz silnych nogach. Kiedy czarodziej podszedł już dostatecznie blisko, dziewczyna wymierzyła mu potężnego kopniaka.

- Ugh! - stęknął, wypuszczając z płuc większość powietrza, i zatoczył się do tyłu przy akompaniamencie pełnych podziwu gratulacji Tulla i Lalo.

Była to jednak tylko krótka zwłoka, gdyż opór Elashi w żaden sposób nie zmienił zamiarów Reya.

- Trzymajcie jej nogi! - rozkazał swym sługom, gdy wrócił mu oddech.

Mimo że kopała i wyrwała się, cyklopom wystarczył dosłownie moment, by unieruchomić ją całkowicie. Schwytna mocno z obu stron za kostkę i nadgarstek, Elashi wisiała rozciągnięta w powietrzu, zupełnie jak koc w rękach dzieci grających w "podrzuc mnie wysoko i złap".

Rey podszedł i wcisnął zaostrzony nóż za pas Elashi. Jednym oszczędnym ruchem przeciął twardą skórę i pas spadł na ziemię. Czarodziej przesunął się jeszcze bardziej i przeciął ciężką spódnice z wełny. Materiał opadł, ukazując gładką skórę jej nóg i koszulę. Jeszcze dwa cięcia i Elashi wisiała pomiędzy cyklopami naga, odziana w same tylko buty.

Czarodziej stanął pomiędzy jej szeroko rozsuniętymi nogami i przyłożył nóż do muskularnego brzucha.

- Czy teraz powiesz mi, gdzie jest Conan?

- Obyś zgnił w najgłębszym z piekieł! - wrzasnęła Elashi. Głos jej drżał, ale starała się zachować kamienną twarz.

Rey lekko docisnął nóż. Powoli zaczął przebijać miękkie ciało...

- Czekaj! - nie wytrzymał Lalo. - Ja ci powiem!

- Lalo! Zaniknij się! - krzyknęła Elashi.

Czarodziej odwrócił się od kobiety.

- Tak?

Uśmiech Lalo przepełnił się bólem, a jego obelga nie była tym razem tak pokrętna jak zwykle:

- Szalony głupcze, oszczędź ją, a powiem ci, gdzie znaleźć Conana.

- Ja nie oszczędzam nikogo. Ale mogę sprawić, że umrze szybko.

Lalo kiwnął głową.

- Dobrze. Conan ukrywa się w małej grocie niedaleko stąd. Stojący obok mnie Tull mieszkał w niej przez kilka lat.

Tull i Elashi spojrzeli na niego ze zdziwieniem i niedowierzaniem. Czarodziej pomyślał, że to reakcja na jego zdradę.

- Wyjaśnij mi, gdzie znajduje się ta grota, a przeżyjesz, dopóki moi cyklopi nie wrócą tu z barbarzyńcą.

Tull i Elashi właściwie odczytali podstęp Lalo. Tull krzyknął:

- Nic mu nie mów, zdrajco!

- Nienawidzę cię! - dodała Elashi.

Zawsze uśmiechnięty Lalo wciągnął powietrze i zaczął opowiadać Reyowi, jak dotrzeć do jaskini Tulla.

Wyraźnie zadowolony, czarodziej kazał zakuć Elashi w kajdany obok obu mężczyzn. Zebrała swoje pocięte ubrania i okryła się nimi najlepiej jak potrafiła, po czym przykucnęła na kamiennej podłodze, trzęsąc się na skutek szoku nerwowego.

Czarodziej wybiegł z komnaty, żeby poinstruować sługi, jak i gdzie znaleźć Conana.

Dopiero gdy znalazł się daleko poza zasięgiem głosu, troje więźniów rozpoczęło rozmowę ostrożnym szeptem.

- Dlaczego powiedziałeś mi, że Conan jest w mojej grocie? - spytał Tull. - Kiedy go ostatnio widzieliśmy...

- ...jakiś latający potwór porywał właśnie tego niezgułę - dokończył Lalo. - A skoro ta kreatura nie była dziełem Reya, należy przypuszczać, że nasłaa ją Chuntha. Tego raczej nie mogłem mu powiedzieć, nieprawdaż? "Conan, cóż, wiedźma go porwała...". To przypieczętowałoby natychmiast naszą zgubę.

- Lalo ma rację - odezwała się wreszcie Elashi. - W ten sposób przynajmniej kupiliśmy sobie trochę czasu.

- Poza tym - ciągnął Lalo - musiałem coś zrobić. Nie pozwoliłbym mu cię zranić. Pomimo ciągłego uśmiešku, oblicze Lalo wydawało się nieco mięknać, gdy to mówił, a Elashi uśmiechnęła się do niego.

- Dzięki ci za to.

- Nawet ktoś tak głupawy i bezwartościowy jak ty więcej ma zalet żywy niż martwy - odparł Lalo. W jego ustach brzmiało to jak największy komplement, toteż Elashi aż potrzęsnęła głową, nie wierząc własnym uszom.

- To wszystko zaczyna mnie już denerwować - stwierdził Tull.

Pozostali wydawali się z nim całkowicie zgadzać.

- Co zrobimy, kiedy Rey odkryje, że Conan nie jest wcale tam, gdzie powinien? - spytała Elashi.

- Spróbujemy dalej go zwodzić - wyszeptał Lalo. - "Poszedł sobie? No pewnie. Przecież mówił, że jeśli nie będziemy tam na niego czekać, to pójdzie do wodospadu, gdzie pierwszy raz spotkaliśmy Tulla". A później może wyślemy go jeszcze gdzieś indziej.

- Z pewnością zorientuje się po jednym, najwyżej dwóch razach. To raczej ryzykowny plan - zauważył Tull.

- Lepszy taki niż żaden - rzekła Elashi. - Poza tym, co mamy teraz do stracenia? Tak, to była kwestia, której żadne z nich nie chciało omawiać ani nawet zbyt długo się nad nią zastanawiać. Zwłaszcza gdy siedzieli w komnacie złego czarodzieja przykuci kajdanami do zimnej ściany.

XXIII

Conan widział zbliżające się do niego dwie istoty, ale nie mógł ani się bronić,

ani uciekać.

Gdy dziwna para podeszła na odległość dwóch kroków, zatrzymała się.

- Chcemy z tobą pomówić - odezwał się jednooki gigant.

Cymmerianin spojrział na swe spętane ramiona. W tym stanie, schwyty w lepka sieć,

mógł się tylko zgodzić.

- Słucham - odrzekł, jak by miał jakiś wybór.

- Sprawy nie wyglądają tak, jakbyśmy chcieli - zaczął cyklop. - Zamierzamy to zmienić.

- P-potrzebujemy t-twojej p-pomocy - dodał robal, po czym obaj wyjaśnili, o co im chodziło.

Mimo że jego podstawowym celem było odnalezienie przyjaciół i ucieczka z tej przeklętej

krainy tak szybko, jak to tylko możliwe, oferta tych dwóch mogła przynieść pewne korzyści,

które Conan musiał poważnie rozważyć, szczególnie w obecnej sytuacji.

- Znasz więc nasz cel - rzekł cyklop. - Jeśli pomożesz nam go osiągnąć, ty i twoi

przyjaciele odejdziecie wolno z naszym pozdrowieniem.

- A jeśli się nie zgodzę?

- M-możemy c-cię t-tu z-zostawić, a-abyś z-zgnił - odparł robal w swej skrobiącej mowie.

Tak, pomyślał Conan, to najpotężniejszy argument.

- A zatem - zdecydował - pomogę wam. Zarówno wiedźma, jak i czarodziej uczynili mi wiele złego, odkąd tu przybyłem. Jeśli nadarzy się okazja, chętnie wyślę ich do Gehenny.

Cyklop, który przedstawił się jako Wikkel, kiwnął głową i odwrócił się do robala:

- Widzisz? Mówiłem ci, że będzie rozsądny.

To rzekłszy, jednooki wyjął jakieś drewniane pudełeczko i skierował je w stronę oplatanego siecią lepkich nici Conana. Po chwili pajęczyna zaczęła odrywać się od jego ciała,

wsysana w jakiś sposób do wnętrza drewnianego urządzenia. W kilka sekund później całość

zniknęła, uwalniając Conana.

Magia, bez wątpienia. Absolutnie mu się to nie podobało. Decyzja jednak już zapadła. Bez

względu na powód, można było wierzyć jego słowu. Gdy raz złożył obietnicę, nie łamał jej

nigdy.

- Nasi zwiadowcy donoszą, że twoi przyjaciele zostali schwytani przez czarodzieja -

powiedział Wikkel.

- Czy są cali?

- Owszem, i sądzę, że przez jakiś czas tak pozostanie... Przynajmniej dopóki czarodziej

myśli, że mogą go doprowadzić do ciebie.

- Dlaczego jestem tak niezmiernie ważny dla wiedźmy i czarodzieja?

- K-kto t-to w-wie? - doszła jego uszu odpowiedź robala, zwanego Deekiem.

- Myślę, że ma to związek z jakąś przepowiednią - wyjaśnił Wikkel. - Z jakiegoś powodu i wiedźma, i czarodziej śmiertelnie się ciebie boją.

- Nie rozumiem dlaczego, nie władam przecież magią. Jestem tylko zwykłym człowiekiem.

- Człowiekiem, to zgoda. Ale na pewno nie zwykłym. Wyrwałeś się z rąk czarodzieja, a

później uciekłeś od wiedźmy, przeżywszy noc w jej łóżu - to czyni, jakich przed tobą

jeszcze nikt nie dokonał.

- G-gdyby n-nie t-ty, n-nie b-byłoby n-naszej r-rewolucji, n-nic b-by s-się n-

nie z-

zdarzyło.

Conan wzruszył ramionami.

- A wszystko chyba przez to, że znalazłem się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

- Jakakolwiek byłaby tego przyczyna - rzekł Wikkell - nie ma już teraz znaczenia. We trzech ruszyli korytarzem. Conan zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Pomoga mu oswobodzić przyjaciół. Zamierzali przeprowadzić szturm, a wtedy on mógłby skorzystać z zamieszania. A jeśli da radę zarżnąć przy okazji czarodzieja, to tym lepiej. Deek i Wikkell opowiedzieli mu o swoich poczynaniach w ciągu ostatnich kilku dni, a Conan dodał do tego relację z własnych przygód. Wyglądali na pełnych zachwyty, mimo że opowiedział swą historię niemal od niechcienia, bez żadnych przechwałek. Parę chwil później kilka ślepych Albinosów nadeszło z przeciwka skalnym korytarzem. Conan sprężył się, ale Wikkell szybko zapewnił go, że nie ma się czego obawiać, gdyż Albinosy były teraz sojusznikami cyklopów i robali. Wiedźma i czarodziej nawet nie zdawali sobie sprawy ze skali rewolucji, która miała w nich uderzyć. Jedna z białych istot podeszła bliżej i przemówiła do Wikkella w języku, którego Conan nie rozumiał. Po chwili cyklop przywołał dłonią drugiego Albinosa. Ten podszedł posłuszenie, niosąc na ramieniu jakiś przedmiot, coś, co Conan zauważył już wcześniej: jego miecz! Albinos wręczył broń Wikkelowi, który złapał ją tak, jak człowiek trzymałby długi nóż. Odwrócił się do barbarzyńcy i podał mu miecz.

- Proszę, to ci się powinno spodobać. Albinosy znalazły go pomiędzy dwiema kałużami zgniłej mazi na podłodze jaskini, z której pewnie porwała cię Chuntha - mówiąc to, Wikkell zadrżał nieco.

- Coś nie tak?

Wikkell potrząsał głową.

- Chyba wiem, skąd wzięły się tam te dwie kałuże. Wzbudzają we mnie raczej niemiłe wspomnienia.

Conan sięgnął po miecz i nie pytał o przyczynę niepokoju cyklopa. Cymmerianin zauważył jednak, że opuściła go umiejętność słyszenia myśli. Podejrzewał, że przyczyna tego niecodziennego talentu związana była z którymś kamieniem skradzionym Chunthi, a pozostawionym zapewne podczas pospiesznej ucieczki z jej komnat. Szkoda, że go stracił, ale z drugiej strony zawsze była to magia, a ona na dłuższą metę przynosi więcej kłopotów niż korzyści. Jego stosunkowo niewielkie dotychczas doświadczenie w kontaktach z magami nauczyło go, że nawet ci, którzy wiedzieli, jak odprawiać tajemne rytuały, często znajdowali się z ich powodu w nieliczych kłopotach. Z pewnością istniały sprawy, z którymi ludzie nie powinni igrać.

Conan uniósł ciężki miecz i uśmiechnął się. Oto coś, na czym człowiek może polegać. Potężne ramię, zimne żelazo i zręczność... tak, za to oddałby wszystkie czary świata.

Chuntha zbudziła się z sennego odrętwienia. Uśmiechnęła się do siebie i przeciągnęła rozkosznie...

Nagle usiadła raptownie, zaskoczona. Gdzież był barbarzyńca? Czemu nie leżał obok niej,

martwy z wysiłku, tak jak powinien?

Teraz, gdy się w pełni rozbudziła, zauważyła, że nie odczuwa, jak zawsze dotychczas, zwiększonej energii, która powinna była przyjść wraz z wyssaniem męskich esencji z Conana.

Czuła się nasycona, owszem, ale nie wzmocniona. Co się mogło stać?

Skoczyła na równe nogi i przedelfilowała nago do wyjścia z komnaty. Na zewnątrz leżeli

dwaj strażnicy, rozplaszczeni w pozycji wypoczynkowej.

- Gdzie jest mężczyzna? - głos Chunthy uciał, niczym nożem, ich błogi spokój.

- P-poszedł p-przynieść, cz-czego s-sobie ż-życzyłaś, p-pani - odrzekł jeden lękliwie.

- W-wedle t-twego, p-pani r-rozkazu, p-powiedział...

- A wy go wypuściliście? Tak po prostu? Głupcy! Polecicie za to do wapiennej jamy, już

ja się postaram! - zawirowała i wbiegła z powrotem do komnaty. Nikt jeszcze nigdy nie

zdołał przespać się z nią i odejść sobie, nikt! Była zbyt łagodna, chciała, żeby starczył na

długo - to był jej błąd. No dobrze, schwyta go z powrotem i żadne z jego sprytnych sztuczek

na nic się już nie zdadzą, nieważne, jak byłyby przyjemne! Conan, bo tak się zwał, był już

martwy!

Rey ciągle miał nadzieję, że wszystko obróci się na jego korzyść. W końcu przecież złapał

troje ludzi wałęsających się po jego jaskiniach, a dwoje innych zamienił w papkę. Jeśli dobrze

się orientował, pozostał tylko jeden - Conan. Fakt, przepowiednia koncentrowała się

głównie na nim, lecz właśnie w tej chwili pół tuzina jego cyklopów maszerowało, by go

schwytać. Rey poszedłby sam, ale miał dziwne przecucie, że lepiej będzie, jeśli pozostanie w

sercu swych posiadłości, tam gdzie posiadał największą moc. Gdy słudzy sprowadzą Conana,

zamierzał szybko zabić wszystkich czworo i zakończyć ten przykry epizod. Z początku chciał

przedłużyć ich cierpienia, dla własnej satysfakcji, jednak teraz wydawało się to zbyt

ryzykowne. Zamieni ich w kałuże i koniec, pomyślał. Będzie mógł wrócić do swych zwyczajnych zajęć.

Chuntha, choć świadoma ryzyka, zdecydowała się ponownie metamorfować w latającego

gada. Poszybowała w powietrzu, przepełniona gniewem i wstydem, że przegrała grę, w której

była największą mistrzynią... i to z kim?! Ze zwykłym mężczyzną, do tego barbarzyńcą.

Potwór sunął w powietrzu pod sklepieniem jaskini, omiatając bystrym wzrokiem okolicę w

poszukiwaniu ofiary.

Gdy Conan i jego nowi towarzysze szli wijącymi się korytarzami, w pewnym momencie

stanęli naprzeciw grupy pół tuzina cyklopów. Na widok człowieka największy z nich, który

zdawał się nimi dowodzić, rzucił kilka ostrych słów, najpewniej rozkaz.

Pozostali cyklopi

przegrupowali się i ruszyli na Cymmerianina.

Barbarzyńca dobył miecza i przygotował się na nadchodzącą śmierć. Skoro już musi udać

się do Szarych Krain, na Croma, zabierze kilku z nich ze sobą!

- To nie będzie potrzebne - powiedział Wikkel, powstrzymując Conana uniesieniem ręki.

Ten jednak, mimo zachęty towarzysza, nie zwolnił uścisku na rękojeści miecza i

nadal

mierzył jego ostrzem prosto w gardło zbliżającego się cyklopa. Wikkel wyszedł przed niego i zawołał do przywódcy w gardłowym, ostrym języku, jakiego Conan nigdy wcześniej nie słyszał. Wielki cyklop odpowiedział i wywiązała się

między nimi krótka dyskusja, po której oddział został odwołany.

Conan porzucił pozycję bojową i opuścił miecz.

- Co im powiedziałaś?

- Że wywołujemy rewolucję przeciwko wiedźmie i czarodziejowi. Ktokolwiek się nam sprzeciwi, z pewnością zginie, podobnie jak ten, kto zadrze z moim małym przyjacielem

miecznikiem, to znaczy z tobą. Jalouri, przywódca gwardii Reya, powiedział mi, że jego

lojalność wobec maga nigdy nie była zbyt niezłomna i że będzie szczęśliwy, pomagając nam,

jak tylko potrafi najlepiej.

- Mądrze z jego strony - odparł Conan.

- Nie trzeba być rybą, żeby wiedzieć, w którą stronę płynie rzeka - zauważył Wikkel.

Conan schował swój miecz do pochwy.

- Prowadź, przyjacielu.

Drużyna, powiększona teraz o sześciu, ruszyła w dalszą drogę.

- Chyba zdołam precyzyjnie przebić dłonie przez kajdany - wyszeptała Elashi. - Są na mnie za

luźne.

- Głupi pomysł - powiedział Lalo. - Ani Tull, ani ja nie możemy tego uczynić, a jaki

pożytek da nam tylko twoja wolność? Czy sądzisz, że potrafisz przemknąć obok czarodzieja i

jego straży?

- Może i nie - odparła poirytowana Elashi - ale w tej jaskini może być coś, czym potrafiłabym was uwolnić. Wtedy przynajmniej spróbowaliśmy zabić maga, jeśli tylko

znajdziemy jakąś broń.

- Ten jej pomysł ma pewne zalety - zastanowił się Tull. - Jeśli już muszę opuścić ten

świat, chciałbym zabrać ze sobą kilku z nich.

Lalo tylko spojrzał na nich z politowaniem i wzruszył ramionami. To była jedna z jego

drobniejszych obelg.

Elashi zaczęła się wiercić i szarpać kajdany na przegubach. Zdarła sobie skórę o zardzewiały metal i poczuła wilgoć własnej krwi na dłoni. Dwaj mężczyźni ujrzeli wkrótce,

jak zdołała ją wyciągnąć. Lewa ręka wyszła już łatwiej, gdyż miała prawą do pomocy, a i tak

krwawienie popłynęło z licznych zadrapań. Nadgarstki bolały ją niemiłosiernie, ale nie martwiła się

tym, biorąc pod uwagę, co mogłoby ich wszystkich niedługo czekać.

Cicho i ostrożnie zaczęła przekradać się do wielkiego kufra stojącego po drugiej stronie

komnaty. Czy w środku nie znalazłoby się coś, czego mogłaby użyć?

Pomyślała nagle o Conanie. Czy znalazł swój koniec w paszczy potwora, który porwał go

w powietrze? Miała nadzieję, że nie. Mimo jego licznych wad, Elashi lubiła Conana bardziej,

niż sądziła. Oczywiście, nie był tak dowcipny jak Lalo, który mimo swej klatwy okazał się

bardzo przyjemnym towarzyszem. Niemniej jednak myśl o śmierci Conana bardzo ją niepokoiła. Tyle razem przeszli, a poza tym był przecież taki młody. Byłaby to wielka

strata...

Nie martw się teraz o to, powiedziała sobie. Cokolwiek mu się stało, musisz utrzymać się

przy życiu.



Przyspieszyła swe ostrożne kroki, zbliżając się do wielkiej skrzyni.

XXIV

W największej jaskini, jaką do tej pory widział, Conan ujrzał zebrane dosłownie tysiące

różnych istot: robale, cyklopi, nietoperze i Albinosy - byli tu wszyscy.

Trzymali się co

prawda w oddzielnych grupkach, ale zdarzały się wyjątki. Niski pomruk rozmów

niósł się po

całej grocie.

Wikkel i Deek podeszli do krawędzi skalnej półki, na której stali, cyklop wziął

głęboki

oddech i wykrzyczał w stronę zgromadzonych:

- Hej, bracia! Słuchajcie!

Basowe brzęczenie ustało, gdy wszyscy zwrócili uwagę na Wikkela. Ten jednak,

zamiast

kontynuować, uczynił rozmyślną pauzę wypełnioną oczekiwaniem tłumu. Dopiero

wtedy

przemówił.

- Nadszedł czas, abyśmy przywrócili w naszym świecie pradawny ład - zaczął

pompacyjnie, a jego głos grzmiał, niosąc się do najdalszych zakątków olbrzymiej

jaskini. -

Ci, którym służyliśmy tak długo, muszą odejść na zawsze!

Z tłumu wyrwał się głośny wiwat, pohukiwania, krzyki i wysokie gwizdy.

Niewątpliwie

przyciągnął ich uwagę.

- Wasi dowódcy przekażą wam polecenia. Wiedźma i czarodziej nie zrezygnują tak

łatwo

z kontroli w Czarnych Grotach. Są potężni, to fakt, ale nadszedł ich czas!

Kolejna fala entuzjazmu przeszła po zebranych szeregach, tym razem jeszcze

głośniejsza.

Wikkel cofnął się.

- N-niezła m-mowa - przyznał Deek.

- Mam tylko nadzieję, że nie ostatnia - odparł Wikkel. Spojrzał na barbarzyńcę:

-

Gotowy?

- Tak - kiwnął głową Conan. Uśmiechnął się. Oto coś, co lubił: bitwa, bez

żadnych

dodatkowych komplikacji.

Albinosy otrzymały rozkaz równoczesnego ataku na siedziby wiedźmy i czarodzieja.

Nietoperze oraz oddziały robali i cyklopów miały je wspomagać. Ponadto

nietoperze latałyby

pomiędzy oboma frontami jako kurierzy i zwiadowcy. Gdzieś pośród tego

zamieszania Conan

zamierzał znaleźć przyjaciół i uwolnić ich. Dość prosty plan. Jego ulubiony

rodzaj. Mógł

zawieść, naturalnie, ale przynajmniej nie z powodu jakiegoś nieprzewidzianego

skrętu

serpentyny intryg, która nagle wygięła się w odwrotną stronę.

Conan poprowadził Wikkela i Deeka najkrótszą drogą do komnat Katamaya Reya.

Elashi przekopywała się przez zawartość kufra, odrzucając przedmioty, które nie

wyglądały na przydatne. Nagle znalazła zapieczetowaną fiolkę i odwróciła się, by

pokazać ją

Tullowi i Lalo.

- Mam to otworzyć?

- Lepiej nie - doradził Lalo. - Nie wiemy, co siedzi w środku, a może to być

coś,

czego nie chcielibyśmy blisko poznać.

Elashi pokiwała głową i odrzuciła buteleczkę na stos wyciągniętych z kufra

ubrań.

Dalsze poszukiwania zaowocowały znalezieniem różdżki ze świecącego metalu.

Przedmiot

grubości małego palca Elashi był na tyle krótki, że mogła go zmieścić pomiędzy

kciukiem i

palcem wskazującym szeroko otwartej dłoni. Na jednym z końców miał jakąś małą

wypustkę  
w kształcie klamki. Ciekawa, jaką też funkcję może spełniać takie urządzenie,  
Elashi  
przycisnęła klameczkę. Na szczęście nie zwróciła przeciwnego końca w swoją  
stronę -  
celował on przypadkowo w stertę ubrań. W tym samym momencie z różdżki  
wystrzeliła jasna  
wiązka światła, która z sykiem trafiła w stos materiału. Cały stos stanął w  
płomieniach.  
Elashi upuściła różdżkę na ziemię.  
- Na Mitrę!  
- Lepiej trzymaj się od tego z dala, panienko - ostrzegł Tull.  
- Nie, głupcze - sprzeciwił się Lalo. - Dawaj to tutaj.  
- Chcesz, żebym znowu tego dotknęła? A co jeśli wybuchnie kolejną błyskawicą?  
- Mam nadzieję, że tak właśnie robi - odparł Lalo. - A przy okazji rozwali  
łańcuchy,  
którymi nas przykuto. Gdzie ty masz głowę, dziewczyno? Pospiesz się, zanim  
czarodziej  
przyjdzie sprawdzić, co za hałasy tu wyprawiamy!  
Elashi podniosła magiczną różdżkę, nie zważając na palące się ubrania i tańczące  
pomarańczowe płomienie, które zaczęły wypełniać komnatę. Podbiegła ku uwięzionym  
przyjaciołom.  
Pod postacią latającego gada Chuntha kołowała wysoko nad skrzyżowaniem dwóch  
głównych tuneli i obserwowała niecodzienny widok: dużą grupę Albinosów, wyraźnie  
gdzieś  
się spieszących, a zaraz za nimi spore stadko nietoperzy.  
O co tu chodziło? Albinosy i nietoperze razem?  
Chuntha zastanowiła się i, jak do tej pory nie zauważona, oczekiwała na dalszy  
ciąg.  
Bo działo się tu znacznie więcej: za tymi dwiema grupami podążali w równych  
szeregach  
robale i cyklopi! Setki odwiecznych wrogów maszerujących wzdłuż korytarza, jakby  
zostali  
zrodzeni z jednej matki.  
Na bogów!  
Cokolwiek spowodowało ten fenomen, Chuntha natychmiast pojęła, że taka  
współpraca  
mieszkańców jaskiń nie mogła obrócić się na jej korzyść. Prawdę mówiąc, mogła  
znaczyć  
tylko jedno: kompletną katastrofę. W dodatku jedynym miejscem, do którego  
prowadził ten  
korytarz, była jej komnata, a sądząc z ich wyglądu, nie zamierzali po przybyciu  
paść na  
ziemię i zapewnić o swym oddaniu i lojalności.  
Niech to Sensha strzeli! Przepowiednia dotycząca niespodziewanej klęski  
sprawdziła się,  
mimo wszystkich jej wysiłków, by temu zapobiec!  
W obecnej sytuacji, owinięta zaklęciem, na którego długotrwałości nie mogła  
polegać,  
Chuntha nie miała ochoty wypróbować swej mocy w konfrontacji z tym  
nieobliczalnym i  
wrogim tłumem. Poza tym większość magicznych artefaktów leżała (bezpiecznie?) w  
jej  
strzeżonej komnacie.  
Czyżby to sprawka Reya? Nie, pomyślała, to mało prawdopodobne. W jakiś sposób  
przyczynił się do tego Conan, co sugerowała wróżba. Przeróżające, że człowiek  
bez pomocy  
żadnego czarnoksiężstwa mógł spowodować podobne wydarzenia. Mało, że oparł się  
jej  
cielesnej magii, to jeszcze teraz coś takiego...  
Charakterystyczną cechą mądrej wiedźmy było to, że zawsze wiedziała, kiedy  
należało  
opuścić scenę wydarzeń. I właśnie nadszedł odpowiedni moment do wyruszenia w  
podróż.

Lepiej zapomnieć o Conanie, czarodzieju, jaskiniach i wszystkim, co się z nimi wiązało.

Chunthi nie podobała się zbytnio perspektywa przegranej, ale zdecydowanie mniej podobała się jej wizja śmierci.

Niewidoczna dla tych poniżej, magiczna kreatura odleciała ze zwiększoną prędkością.

Elashi wymierzyła koniec różdżki w łańcuchy przykuwające Lalo do ściany. Zamknęła oczy i wcisnęła miniaturową klamkę.

Nic się nie stało.

Pustynna kobieta otworzyła oczy. Jeszcze raz wcisnęła dźwignię. Z różdżki doleciał ich jakiś cienki jęk.

- To tyle, jeśli chodzi o twój pomysł - rzekł Tull. - Wygląda na to, że w środku był tylko jeden piorun.

- Niekoniecznie - odparł Lalo. - Może potrzebuje po prostu trochę czasu, żeby zgromadzić magię. Poczekaj nieco i spróbuj jeszcze raz... Chyba że masz akurat gdzieś indziej pilną sprawę do załatwienia, he?

Po krótkiej chwili Elashi ponownie wycelowała różdżkę w łańcuch i wcisnęła wystającą z niego klamkę. Oczekiwała, że nic się nie stanie, ale przypuszczenia Lalo okazały się słuszne: jasna błyskawica przecięła powietrze i uderzyła w żelazne ogniwa. Dziewczyna znowu upuściła urządzenie, ale magia zdążyła już zadziałać. Łańcuch przykuwający Lalo do koła w ścianie rozpadł się pod uderzeniem oślepiającej energii.

- Czarodziej musi być chyba głuchy - zauważył Tull, gdy Lalo schylał się, by podnieść magiczną różdżkę.

- Może gdzieś sobie poszedł - zasugerował Lalo. - Szuka pewnie muszek, którym mógłby wyrwać skrzydełka. - dodał, podnosząc z ziemi czarodziejski przedmiot. - Cierpliwości, Tull, stary głupcze. Zaraz cię uwolnimy.

Lalo poczekał chwilę - odpowiednio długo, żeby, jak mu się zdawało, naładować ponownie różdżkę - i wypróbował ją na łańcuchach Tulla. Zgodnie z przewidywaniami, magia zadziałała tak jak poprzednio i żelazne okowy opadły na ziemię. Byli wolni!

Rey spał głęboko, ale mimo wszystko echo tak potężnej magii w pobliżu zdołało go obudzić. Raczej czuł coś niż słyszał, gdy wynurzał się z błęgiego letargu. Jako pierwszy dotarł do jego świadomości smród palonych ubrań. Skąd mógł dolatywać? W przesiąkniętych wilgocią jaskiniach z trudem udawało się rozpalić i utrzymać ogień, tym bardziej więc nic nie mogło zapalić się samo. Ale z pewnością czuł zapach spalonej wełny, i do tego bardzo blisko!

Więźniowie. Musieli uczynić coś nieprzewidzianego.

Rey westchnął. Nie mógł nawet zmrużyć oka, żeby mu zaraz nie przeszkodzą. Dość już tego. Zamierzał utrzymać ich przy życiu, by dzięki nim schwytać Conana, ale nie za cenę własnej szkody. Zabije wszystkich natychmiast, a później będzie się martwić, jak schwytać barbarzyńcę.

Zerwał się z łóżka i ruszył do komnaty, w której zostawił więźniów. I niemalże zderzył się z nimi w drzwiach.

Wszyscy troje zdołali w jakiś sposób wyzwolić się z okowów! Stali o kilka kroków od niego i najwidoczniej zamierzali go opuścić. Uniósł ramiona, przygotowując się do rzucenia

czaru.

- Stójcie, gdzie stoicie! - zakrzyknął.

Jeden z nich, przeklęty mężczyzna z wiecznym uśmiechem, wycelował coś w jego stronę. Czarodziej natychmiast rozpoznał swoją różdżkę błyskawic. Jeśli miała wystarczająco

ładunek, czekały go kłopoty.

- Gorąco! - krzyknął nagle Rey, przebierając w powietrzu palcami. Uśmiechnięty człowiek krzyknął i odrzucił różdżkę, która świeciła teraz pomarańczowym światłem

rozgrzanego metalu.

- Przysporzyliście mi wystarczająco dużo kłopotów - stwierdził Rey. - Wkrótce się

was pozbędę. Przekażcie pozdrowienia przeklętym duszom w Gehennie.

Jednak gdy ponownie podniósł dłonie, by roztopić trójkę przyjaciół, jakiś hałas zakłócił

jego koncentrację. Brzmiało to tak, jakby ktoś nadchodził ku jego komnatom głównym

korytarzem. Wielu ktosiów, jeśli chodziło o ścisłość. Czy to cyklopi sprowadzili już Conana?

Nie, jeszcze na nich za wcześnie. Więc kto?

Hałas narastał i brzmiał teraz jak pełna triumfu pieśń.

Należało wyjrzeć i zobaczyć, co się tam stało. Rey nie spodziewał się, by dwaj strażnicy

poradzili sobie z czymś bardziej skomplikowanym niż obżeranie się i wypróżnianie.

- Zostańcie tutaj! - nakazał więźniom. - Przystąpcie choć krok za ten próg, a z pewnością tego pożałujecie.

To mówiąc, odwrócił się i wyszedł, by sprawdzić, o co chodziło z tym hałasem.

Chuntha знаła kilka dróg na powierzchnię. Żałowała, że nie może wrócić do swych komnat i zabrać przynajmniej najulubieńszych przedmiotów, ale zdawała sobie sprawę ze

szczęścia, jakie jej się przytrafiło. Zdołała wszak z łatwością uciec. Owszem, mogłaby odeprzeć

długotrwały atak, byleby tylko miała czas się przygotować, przewidziawszy jego nadejście.

Bez wątpienia przy okazji przeredziłaby znacznie szeregi niedoszłych rewolucjonistów. Z

drugiej jednak strony nie miałoby znaczenia, że zabiła ich setki, skoro następni by ją

pokonali.

Szybując wzdłuż korytarza i modląc się do rozmaitych ciemnych bóstw o to, żeby zaklęcie

utrzymało swe działanie, dopóki nie będzie już jako tako bezpieczna, Chuntha nie mogła

oprzeć się ciekawości. Jak też Conan zdołał zainspirować taką rewolucję?

Jedno z ukrytych wyjść do świata zewnętrznego leżało nieopodal siedziby czarodzieja. A

teraz znajdowało się po prostu najbliżej i wiedźma pomyślała, że miałyby szansę przemknąć

się tam w ludzkiej postaci. Czemu nie? Widok czarodzieja borykającego się z problemami

przynajmniej tak wielkimi, jakie ona miała, powinien ogrzać jej mroczną duszę.

Gad, w którym ukrywała się wiedźma, zmienił kurs i skręcił w jedno z odgałęzień dużego

korytarza.

Katamay Rey dotarł do drzwi wejściowych swej twierdzy i wyjrzał.

To, co zobaczył, przepełniło go pełnym grozy osłupieniem. Horda ślepych Albinosów

szarżowała w jego stronę, a za nimi czerniało w powietrzu ogromne stado nietoperzy.

Na Łuskowate Jaja Seta! A cóż to jest! ?

Dwaj zwykle stojący u drzwi strażnicy gdzieś zniknęli.

Rey wskoczył z powrotem do środka, czując narastającą panikę. Nie przeżył tych wszystkich stuleci jako kompletny głupiec. Wkrótce miał paść ofiarą ataku, więc

jeśli chciał  
przeżyć jeszcze z setkę, lepiej żeby coś wymyślił. I zrobił.  
Z upływem czasu stałem się coraz bardziej arogancki, zdał sobie sprawę. Wieki  
temu,  
kiedy pojawił się w Czarnych Grotach, był znacznie ostrożniejszy. Ustawiał  
pułapki, by  
ustrzec się przed takim właśnie atakiem, ale w miarę mijających dekad i stuleci  
niemal  
zapomniał o tych przedmiotach. Wiele z nich na pewno się popsło, a te, które  
wymagały  
magii, straciły moc. Jednakże istniała jedna, której nigdy nie naruszył.  
Rey pospiesznie przypomniał sobie tekst starego zaklęcia, upewniając się, że  
robi to  
prawidłowo. Wyszedł przed bramę i stanął z twarzą zwróconą ku nadciągającej  
armii.  
Albinosy nie potrafiły widzieć, ale miały świadomość jego obecności dzięki  
rozwiniętym  
innym zmysłom.  
Biegły teraz z krzykiem w jego stronę, a zaraz za nimi podążały nietoperze.  
Rey głośno wypowiedział magiczną inkantację starożytnego zaklęcia, wznosząc ręce  
ku  
stropowi.  
Nagle korytarz napełnił się rykiem niezliczonych ton skał, spadających z  
wiekowego  
sufitu. Do hałasu lawiny dołączyły wkrótce krzyki tych poniżej. Strop nie  
załamał się  
całkowicie, a skały nie spadły wszystkie naraz, ale położenie atakujących  
czyniło  
niemożliwym dla nich uniknięcie kaskady głazów, które spadały na nich niczym  
deszcz.  
Pomimo wilgoci wokoło unosiły się kłęby pyłu. Rozległy się jęki rannych i  
konających,  
przynajmniej tych, którzy zdołali wydać jeszcze choć tchnienie. Krew pryskała i  
spływała po  
ścianach. Zaiste, ciężki to był deszcz.  
Kiedy opadła ostatnia skała, korytarz miał znacznie wyższe zarówno podłogę, jak  
i strop.  
Nową podłogę w całości pokrywały okrutnie zmiażdżone ciała zabitych. Dwa, może  
trzy  
Albinosy uniknęły pułapki, a kilka nietoperzy latało w pobliżu, zataczając  
bezmądrze koła,  
ale atak został przerwany.  
Rey szczerzył zęby w uśmiechu zadowolenia... dopóki nie zobaczył pierwszego  
szeregu  
robali i cyklopów wspinających się na rumowisko. Na Seta i wszystkie półdemony!  
XXV  
Ogień, który spalił stertę ubrań, powoli przygasał, gdy nagle usłyszeli głośne  
"pop!".  
Wszyscy troje równocześnie odwrócili się na ten niespodziewany odgłos i gapili  
się w  
dogasające światło tłące się materiału.  
- Co to było? - spytał Tull.  
Elashi potrząsnęła przecząco głową.  
- Pewnie fiolka, którą rzuciłaś na stos ubiorów, właśnie pękła - wyjaśnił Lalo.  
Nie dokończył jeszcze zdania, gdy z przygasającego ognia podniosły się jadownicie  
wyglądające, czarne opary. Ciemne kłęby wydawały się nie związane z żarem  
płomieni i  
absolutnie nie wyglądały jak normalny dym. Gdy wszyscy troje stali mocno  
zaniepokojeni,  
wijąca się czerń poderwała się i jęła pełznąć w ich stronę, pulsując w jakimś  
niesłychalnym  
rytmie.  
- Hmm - mruknął Lalo. - Wcale mi się to nie podoba.  
- Co możemy zrobić? Przecież czarodziej zabronił nam pod groźbą wychodzenia z

komnaty - odrzekła Elashi.

- Lepszy już demon, którego znamy, niż ten, o którym nic nie wiemy -  
odpowiedział

Lalo, wskazując głową na paskudny dym, płynący z wolna w ich kierunku. - Poza  
tym, o ile

dobrze słyszę, to czarodziej ma teraz ręce zajęte czymś zgoła innym niż my.

Ani Tull, ani Elashi nie spierali się z taką oceną sytuacji. Czarna chmura rosła  
z każdą

chwilą, zajmując już pół obszernej komnaty.

Cała trójka skoczyła do wyjścia.

Conan szedł korytarzem obok Wikkela i Deeka. Przed nimi sufit zawalił się ze  
strasznym

grzmiotem, grzebiąc większość nietoperzy i Albinosów. Czarodziej nie był, jak się  
okazało,

całkiem bezbronny. Cymmerianin schował miecz, by móc sprawniej przedzierać się  
między

zwalonymi głazami, które pokryły całą podłogę.

Wiedźma, jako latający gad, podfrunęła bliżej krwawych wydarzeń i przysiadła na  
wysokiej półce skalnej. No, no. Ten Bękart niewątpliwie miał nieliczne problemy.

Gdyby tylko

zaczarowana bestia potrafiła się uśmiechnąć, z pewnością by to teraz zrobiła.

Chuntha

postanowiła poczekać tu jakiś czas i poobserwować. Wydawało się, że czarodziej w  
końcu

dostanie to, na co zasłużył, a takiego widoku nie chciała przegapić.

Z biegiem lat Rey postradał znaczną część swej wiedzy, ale był czas, gdy mógł  
uchodzić

za najzdolniejszego czarownika, o jakim kiedykolwiek słyszano. Przywoływał teraz  
z pamięci

stare klątwy i zaklęcia, poszukując takiego, które położyłoby definitywny kres  
temu

zuchwałemu powstaniu. Pamiętał, jak kiedyś przywołał demona, trzysta, może  
czteryście lat

temu, wielkiego potwora o przerażającym wyglądem. Tak, wystawi go przeciwko tym  
podłym robalom i zdraźliwym cyklopom, a wtedy dopiero zobaczą!

Gdyby zdołał przypomnieć sobie słowa tej przeklętej inkantacji...

Tull, Elashi i Lalo wybiegli aż do przedpokoju i dopiero tu wyhamowali i  
zatrzymali się.

Czarodzieja nigdzie nie było widać.

- Na zewnątrz, musi być na zewnątrz - wydyszała Elashi, wskazując na bramę.

- Nie możemy tam wyjść - zauważył Tull.

- Cóż, nie wątpię, że ta czarna mgła za nami zatrzyma się w otwartych drzwiach,  
przez

które właśnie wyszliśmy - stwierdził Lalo głosem pełnym ironii.

Elashi potrząsnęła głową. Miał rację. Tylko co teraz zrobić?

Doskonałe miejsce obserwacyjne dało Chunthi świetny widok na rozgrywające się  
wydarzenia. Ten Bękart, trzeba mu to przyznać, miał kilka sztuczek ukrytych w  
rękawie.

Wiedźma przyglądała się z respektem, gdy wewnątrz pentagramu, pośpiesznie  
nakreślonego

na ziemi przed komnatą czarodzieja, powietrze zaczęło wirować i przybierać  
nieziemskie

kształty. Coś przywoływał, to pewne, a ona wiedziała, że efekt takiego zaklęcia  
nie przyniesie

nic dobrego rebeliantom.

Ale zaraz... co to znaczy? No nie, czyżby... Conan! Wspina się właśnie na  
obaloną skałę

w towarzystwie cyklopów i robali...

Przez moment gniew Chunthy omal nie pchnął jej do poderwania się do lotu i  
rozszarpania

przeklętego barbarzyńcy dosłownie na strzępy, ale opanowała się. Lepiej odczekać  
chwilę i

zobaczyć, jak radzi sobie czarodziej, pomyślała. Nie ma sensu popełniać głupstw.

Powód, dla którego Rey wybrał tę właśnie okolicę na swoją siedzibę, mając do

wyboru  
tysiące innych jaskiń, był prosty: magia zmagazynowana w prastarych skałach była tu  
niezwykle skumulowana i potężna. Czar, który mógłby wyczerpać wszystkie zasoby  
jakiegoś  
innego miejsca, wykorzystywał zaledwie ułamek potencjału tej szczególnej  
okolicy. Dlatego  
właśnie czarodziej dysponował wystarczającą mocą, by przywołać demona.  
Wewnątrz pentagramu powietrze zawirowało i zaczęło zmieniać barwy z żółtawej na  
purpurową i odwrotnie, niczym płynny siniak po potężnym ciosie. Rozległ się  
głośny huk i  
nagle w magicznym kręgu z oślepiającym rozbłyskiem pojawił się demon, jeden z  
pomniejszych sług Seta, o imieniu Tunk. Rozmiarem przewyższał dwukrotnie  
największego z  
cyklopów, a ważył chyba ze trzy razy więcej. Z jego stóp i łap wyrastały czarne  
pazury  
wielkości sztyletów, a jego - bo męskość stwora nie pozostawiała wątpliwości  
nawet dla  
kogoś o słabym wzroku - paszcza rozwarła się w straszliwym grymasie i wydała  
ogłuszający ryk. Zęby jak kły dzika błyskały w oślepiającym świetle  
towarzyszącym jego  
przybyciu, a dźwięk, który z siebie wydobył, mógł konkurować tylko z odgłosem  
żelaznych  
pancerzy uderzających o siebie z wielką siłą.  
Wygląd Tunka powstrzymał nadciągającą hordę cyklopów i robali tak skutecznie,  
jakby  
dobiegli właśnie do końca smyczy przywiązanej im do szyi.  
- Idź i zabij ich wszystkich! - rozkazał Rey. - Wzywam cię twym prawdziwym  
imieniem, Tunku, i nakazuję ci posłuszeństwo.  
Tunk oczywiście nie miał wyboru. A ponieważ dodatkowo rozsadzał go gniew  
spowodowany tym, że wyrwano go prosto z bardzo interesującego spotkania z  
demonicą w  
Gehennie, bez względu na rozkaz i tak by kogoś zabił. Wyskoczył z pentagramu ku  
oszołomionym robalom i cyklopom.  
Wikkel aż wciągnął powietrze z przerażenia, gdy ujrzał potworną zjawę  
wyrastającą przed  
czarodziejem. Szła teraz prosto na niego, a widok małej postaci Conana  
przycupniętego na  
szczyście nowo powstałego wzgórza pomiędzy nim a bestią wcale nie dodawał  
cyklopowi  
pewności, że pożyje długo, kiedy to coś tu dotrze. Na grzbiecie poczuł lodowaty  
dreszcz i  
zaczął macać nerwowo pas w poszukiwaniu broni, jakiegokolwiek, byle tylko użyć  
jej  
przeciwko potworowi.  
Conan musiał być równie zaskoczony i przerażony jak on, pomyślał cyklop i  
zerknął na  
towarzysza, ale okazało się, że człowiek, mniejszy od demona więcej niż  
trzykrotnie, stał z  
podniesionym mieczem w pozycji bojowej.  
Zadziwiające, że ten malutki człowieczek śmiał stanąć do walki z takim behemotem  
uzbrojony w coś, co wyglądało jak drzazga błękitnej stali. Zamierzał bronić swej  
straconej  
pozycji i nikt, kto widział jego zachowanie, nie mógł ukryć podziwu zmieszanego  
ze  
zdumieniem, że znalazł się ktoś na tyle głupi, by sądzić, iż zdoła przeżyć.  
Monstrum dotarło do podnóża skały, na której tkwił bez ruchu Conan, i zaczęło  
się  
wspinać.  
Problem w tym, że gdy to coś skończy z Conanem, weźmie się w następnej  
kolejności za  
Deeka i Wikkelę.  
Czarna mgła wypełzła przez drzwi za plecami trojga ludzi, po czym rozpląnęła się  
po

podłódze jak jakaś lodowata, gęsta maź.  
Tull, Elashi i Lalo przeszli przez przedpokój, byle jak najdalej od tej złej czerni, aż do wyjścia. Na zewnątrz zobaczyli czarodzieja kierującego atakiem jakiejś piekielnej bestii przeciwko armii cyklopów i robali, i - tak! - Conanowi!  
Niestety, nierówność ich szans wręcz biła w oczy. Gigantyczne rozmiary potwora sprawiały, że Conan wyglądał jak miniaturka, przycupnięta na szczycie skały z uniesionym wysoko mieczem. Demon ryknął głosem podobnym do gromu i ruszył.  
Rey pozwolił sobie na uśmiech triumfu. Spróbujcie się z tym, głupcy! - pomyślał, gdy Tunk szarżował na Conana i jego skazanych na zagładę przyjaciół.  
Chuntha, która obserwowała to, starając się nie zdradzić swej kryjówki, nie mogła opanować podniecenia, gdy zobaczyła demona przygotowującego się do zniszczenia Conana i rebeliantów. Zapowiadało się krwawe przedstawienie... i bardzo pasjonujące.  
- Z-zróbże c-coś! - zaskrobał Deek.  
Wikkel podszedł z naczyniem pełnym jasnego proszku, ukradzionym z komnaty czarodzieja. To na nic, chociaż... zaraz, tak! To może zadziałać!  
Natychmiast zdał sobie sprawę, że będzie miał tylko jedną szansę, i w dodatku znikomą.  
Musiał perfekcyjnie wyczuć odpowiedni moment, ponieważ najmniejszy błąd spowodowałaby śmiertelną katastrofę. Ale z drugiej strony nie miał specjalnie szerokiego wachlarza możliwości. Lepsza niewielka szansa niż żadna.  
- Conan! - krzyknął Wikkel. - Gdy znowu krzyknę, odskakuj na bok!  
- Co? - Conan nie odwrócił się, tylko bacznie mierzył wzrokiem monstrum zbliżające się do niego po zboczu.  
- Po prostu zrób to! Mam plan!  
Conan zastanowił się. Może zdołałby zadać jakąś poważną ranę tej... "rzeczy", która na niego nacierała, ale nie miał szans zabić jej od razu, zanim rozszarpałaby go jedna, uzbrojona w potworne pazury łapa. Jeśli Wikkel rzeczywiście coś wymyślił, on nie miał nic przeciwko wypróbowaniu tego. Zawsze zdąży umrzeć, wymachując mieczem, jeśli już do tego dojdzie.  
- Dobra! - odkrzyknął Cymmerianin i mocniej ugiął kolana.  
Rey obserwował, jak posłuszny mu demon pędzi w górę. Jeszcze tylko jeden skok i będzie miał Conana w zasięgu pazurów, a wtedy... szerokiej drogi!  
- Teraz, Conanie! - wrzasnął cyklop z za barbarzyńcy.  
Czy to przypadkiem nie Wikkel, jego dawny asystent? Rey nieco się zdziwił. Myślałem, że nie żyje...  
W tej samej chwili zobaczył, że Conan pospiesznie uskakuje na bok, potykając się i koziołkując przy lądowaniu, i usuwa się demonowi z drogi. Nieważne, Tunk zajmie się nim po zabiciu cyklopa i robala.  
Wikkel zamachnął się nagle, jakby coś rzucał. Co on wyprawia? Rey nic szczególnego nie widział... zaraz, coś tam zamigotało w zielonym świetle, jakiś proszek...  
Cyklop także uskoczył na bok, a stojący przy nim robal błyskawicznie odpełził w drugą stronę - w ostatniej chwili, zanim Tunk wylądował w miejscu, gdzie dotychczas stał Conan.  
Stopy demona wyjechały niespodziewanie spod niego i ciężko upadł na grzbiet. Ze swoją wagą powinien grzmotnąć o skałę i tak pozostać, ale on zamiast tego podskoczył



na śliskiej  
podłodze jak płaski kamień rzucony na wodę, raz i drugi (tym razem odbił się  
wyjątkowo  
wysoko) - i poszybował w powietrzu niczym pokraczne ptaszysko. Na nieszczęście  
dla  
niego, Tunk nie występował teraz w postaci latającego demona, toteż jego lot  
coraz mniej  
przypominał ptaka, a coraz bardziej spadający kamień.  
Wreszcie runął na kamienną podłogę u podnóża skały, po przeleceniu chyba  
pięćdziesięciu  
kroków w powietrzu, z wysokości jakichś czterech.  
Rey poczuł, jak ziemia zadrżała mu pod stopami, gdy Tunk uderzył o nią z  
impetem. Taki  
upadek pozbawiłby życia każdego żyjącego kiedykolwiek człowieka i prawdopodobnie  
każde  
stworzenie zrodzone przez naturę. Nawet demon nie wyszedłby z takiego upadku bez  
szwanku, jeśli występował w cielesnej postaci.  
Ale Tunk był wyjątkowym demonem i mimo że pozbieranie się mogło okazać się dla  
niego dość bolesne, powstałby za moment lub dwa, oszołomiony, ale rozwścieczony  
jak  
nigdy dotąd. I nie mógł na to wpłynąć nawet fakt, że siła jego uderzenia  
straciła ze stropu  
kilka solidniej zamocowanych skał, które oparły się wcześniejszemu zakłęciu  
czarodzieja.  
Bo właśnie zupełnie nieoczekiwanie spadły na dół z hukiem dwa głazy wielkości  
domu.  
Jeden wylądował wprost na powalonym Tunku, wbijając go w skałę, tak jak człowiek  
wbija  
gwóźdź dużym młotem.  
Drugi kamień, nieco większy od pierwszego, trafił dokładnie w to samo miejsce i  
wbił  
swego poprzednika jeszcze głębiej w ziemię, lądując z hukiem na jego czubku.  
Utworzony  
kształt przypominał wielką, grubą pieczarkę, wyrosłą nagle wśród opadającego  
pyłu.  
Nawet potęga demona miała swoje granice, Rey zdawał sobie z tego sprawę. Tunk  
nie  
wydostanie się tak szybko, o ile w ogóle kiedyś mu się uda, spod tych głazów.  
Czarodziej rozejrzał się i zobaczył podnoszącego się Conana z mieczem w dłoni.  
Lepiej  
wycofać się do swych komnat, zdecydował, i przemyśleć następny ruch.  
Natychmiast!  
Czarne opary rozpełzły się już po prawie całym przedpokoju. Elashi, Tull i Lalo  
skupili się  
przy wyjściu, z przerażeniem obserwując ciemną masę sunącą w ich kierunku.  
- Musimy się stąd wydostać, i to zaraz! - krzyknął Lalo.  
Po czym wszyscy troje odwrócili się i skoczyli do wyjścia - w tym samym  
momencie,  
gdy czarodziej wbiegł przez nie z drugiej strony. Cała czwórka skłębiła się i  
upadła.  
Na szczęście pęd trojga więźniów wystarczył, by wypchnąć wszystkich na zewnątrz.  
Kiedy  
próbowali się rozplatać, usłyszeli nagle przeraźliwy skrzek, skądś już im znany.  
To latający  
gad, który wcześniej porwał Conana...  
Chuntha nie mogła już dłużej wytrzymać. Czarodziej, głupi Bękart, nie zdołał  
zabić  
Conana i powstrzymać ataku! Przywołany przez niego demon leżał teraz  
rozplaszczony pod  
stertą kamieni, a Conan - ten nędzny, zepsuty, piękny barbarzyńca - nadal żył!  
Tego już za wiele. Jedyne mężczyzna, który zawstydził ją w łóżku, musi umrzeć,  
oto  
początek i koniec wszystkiego. Wiedźma skoczyła w powietrze i poszybowała w  
locie, który

chciała zakończyć ze szponami wbitymi w serce Conana. Wrzeszcząc z przepęlniającej ją pierwotnej wściekłości, gadzina nurkowała... Conan ruszył biegiem do swych przyjaciół i leżącego upadłego czarodzieja. Jeszcze dziesięć, pięć kroków, już za chwilę dopadnie ich i - na Croma! - jego miecz spadnie na głowę maga. Uniósł ostrze do zadania śmiertelnego ciosu... Nagle jego uwagę odwrócił wrzask spod stropu. Spojrzał w górę i dostrzegł zaczarowaną wiedźmę, spadającą prosto na niego. Natychmiast zorientował się, że nie zdoła dobiec do maga, zanim jego samego dopadnie latający gad. Szczęśliwym ciosem mógłby odciąć mu skrzydło, pomyślał, ale wydawało się bardziej prawdopodobne, że zębata paszcza dosięgnie go pierwsza. Cóż, przyjmie swój koniec jak mężczyzna, z mieczem w dłoni. Odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z nowym zagrożeniem. Teraz cię mam! - pomyślała Chuntha. Przygotuj się na śmierć, Conanie! Znajdowała się już może pięć kroków od niego i spadała jak kamień, gdy nagle czar skrywający jej prawdziwy wygląd przestał działać. W jednej chwili była przerażającym potworem, pamiętającym wczesny świt życia na ziemi, a w następnej łuskowaty kształt zniknął. Chuntha wrzeszczała nadal, teraz już głosem przerażonej kobiety. Conan dostrzegł zmianę, błyskawiczną jak mrugnięcie okiem. To, co było zębatym monstrem, stało się nagą kobietą o włosach zmierzwionych przez pęd powietrza, która jednak nadal spadała prosto na niego. Cymmerianin był oszołomiony. Nie na tyle, żeby nie uskoczyć z trajektorii lotu wiedźmy, ale dość, by nie przeciąć jej przy okazji mieczem. Okazało się to zupełnie bez znaczenia. Wiedźma Chuntha grzmotnęła o ziemię z mniejszą siłą niż demon Reya, ale całkowicie wystarczającą, by zakończyć jej dni na tym świecie. Odbiła się tylko raz i znieruchomiała. Z tyłu jej nagi kształt wydawał się nienaruszony, ale twarz i cały przód zmieniły się w czerwoną miązgę poprzetykaną roztrzaskanymi kośćmi. Na oczach przyglądającego się jej Conana piękno gładkich pleców, pośladków i nóg wiedźmy zwiędło, równie szybko jak suchy liść wrzucony do ognia. Po chwili nic prócz czarnych popiołów nie pozostało z ciała utrzymywanego przy życiu długo po tym, kiedy powinno było umrzeć. Wiedźma Chuntha przestała istnieć. Conan odwrócił się do czarodzieja. Żył jeszcze i gdyby Cymmerianin szybko się tym nie zajął, mag urządziłby mu taki koniec, jaki przed chwilą spotkał Chunthę. Lalo i Tull pomagali wstać Elashi, podczas gdy czarodziej zdołał pozbierać się sam. Spojrzał na zbliżającego się Conana, potrząsnął głową i skoczył w drzwi swej komnaty. Conan rzucił się w pogoń. Lepiej powstrzymać go teraz, gdy nie zdążył jeszcze przygotować magicznego kontrataku. - Conan nie! - krzyknęła Elashi. - Nie wchodź tam! Cymmerianin był może kilka kroków od portalu, gdy usłyszał ostrzeżenie. Wyczuł w jej głosie przerażenie i zmienił raptownie kierunek. Poślizgnął się, hamując, i upuścił miecz. Musiał wystawić przed siebie obie ręce, żeby nie walnąć głową w ścianę przy wejściu. Gdy to czynił, usłyszał ze środka wysoki, przeraźliwy, nieludzki wrzask czarodzieja.

Coś go dopadło.

Co za niezemska kreatura siedziała tam w środku?

W następnym momencie Katamay Rey wyszedł ze swej komnaty, mijając nieprzytomnie barbarzyńcę.

Conan nie miał całkowitej pewności, czy to był czarodziej. Istota, która przesunęła się koło

niego, tonęła w kłębowisku czarnych, pożerających ją płomieni. Ciało skwierczało jak tłuszcz

rzucony na gorącą patelnię, a wrzaskom człowieka nie było końca.

Conan podniósł swój miecz i ruszył w stronę czarodzieja. Zabicie go teraz byłoby z

pewnością aktem litości, choć Cymmerianin nie taką miał motywację.

Uniósł miecz.

Rey wiedział już, że umiera. Na Czarną Zgniliznę nie wymyślono odtrutki. Spali go na

popiół w ciągu kilku chwil. Nawet najpotężniejsze zaklęcia uleczające nie zdołałyby opóźnić

śmiertelnego procesu choćby o sekundę.

Przejęty bólem i gniewem, Rey zaakceptował swój koniec. Umierał i nic nie mógł na to

poradzić. Ale, na Seta, zabierze ze sobą wszystkich dookoła, niech go Gehenna pochłonie!

Nawet umierający czarodziej był potężny, a magowie nie umierali tak szybko, wówczas

nawet gdy byli pożerani przez Czarną Zgniliznę. Miał dość czasu, by zabić ich wszystkich i

zwalić im tę jaskinię na głowy.

Ostatnim przytomnym wysiłkiem Rey przywołał wszystkie swe moce. Niepowstrzymana, taka energia mogłaby zniszczyć wszystko w promieniu pół dnia drogi we wszystkich kierunkach.

Conan zatrzymał się nagle w pół kroku z mieczem uniesionym do ciosu. Zupełnie jakby

uderzył o ścianę z ubitego pierza albo napotkał jeden z potężnych wichrów szalejących w

jego ojczyźnie, takich, o które duży mężczyzna mógłby się oprzeć bez obaw, że upadnie.

Ileokroć próbował zrobić krok do przodu, natychmiast odpychała go niewidzialna, sprężysta

bariera. Co to znaczy?

Czarodziej zaczął nagle świecić pod powłoką czarnych płomieni. Czerwone, żółte i niebieskie promienie wystrzeliły z jego ciała, oświetlając ponurą grotę

jasnością dnia tak

białego, jakiego nie widział jeszcze żaden śmiertelnik.

Skały zadrżały i zaczęły podskakiwać i fruwać wkoło torturowanej postaci maga.

Rozległo się dziwne brzęczenie, jakby skrzydełek milionów pszczoł.

Conan poczuł, że ogarnia go słabość, zamieniająca jego kończyny w ołowiane sztaby.

Niczego nie pragnął teraz bardziej, niż położyć się i odpocząć.

Trzaskająca wiązka wystrzeliła z twarzy czarodzieja albo przynajmniej stamtąd, gdzie

Conan przypuszczał, że była jego twarz, i przecięła powietrze w kierunku jednego z cyklopów

po drugiej stronie korytarza. Jednooki eksplodował, na tysiące kawałeczków, jakby był ze

szkła.

Wokół Conana powietrze wydało się nagle wypełniać lodem, by w następnej chwili rozgorzeć jak we wnętrzu pieca. Potem żar ostygł, ale on nadal nie mógł się ruszyć.

Cymmerianin zdał sobie sprawę z wielkiego zagrożenia. Czarodziej, bez względu na swoją

kondycję, pozostawał bardzo niebezpieczny. Musiał go zabić albo wkrótce wszyscy zginą.

Brnąć w głąb niewidzialnej bariery, Conan powoli przesuwiał się do przodu. Stopa po

stopie, stopa po stopie - tylko po to, by zaraz zostać wypchniętym poza miejsce, z którego zaczął. Z każdą sekundą czuł się coraz bardziej zmęczony. Gdyby mógł odpocząć choć przez chwilę, tylko kilka uderzeń serca, wtedy skończyłby to... Nie! - nakazał sobie w myśli. Jakikolwiek odpoczynek teraz byłby jego ostatnim. Brzęczenie narosło, a promienie pojaśniały, zmieniając czarodzieja w postać, na którą nie można było spojrzeć, nie ryzykując natychmiastowej ślepoty. Wszędzie wokoło strzelały trzaskające promienie i wysadzały w powietrze cyklopów i robale. Jeden z nich omal nie trafił Conana - aż poczuł na ramieniu bijący od niego żar. Sufit jaskini zadygotał, wtórując drżącym ścianom i podłodze. Conan zamknął oczy. Nawet przez zaciśnięte powieki dostrzegał oślepiający kształt czarodzieja. Jeszcze raz rzucił się na niewidzialną barierę, przywołując całą swą siłę. Cymmeriański młodzik z trudem opuścił swe ostrze, wiedząc, że nie zdoła zadać zamasztyego ciosu. Naparł na ścianę z piór, brnął naprzeciw magicznemu wichrowi, posuwając się kawałek po kawałeczku, aż mięśnie jego nóg napęczniały wśród trzeszczących z wysiłku ścięgien. Z sufitu zaczęły spadać kamienie, ale Conan nie zwracał na nie uwagi. Kolejny kroczek, malutki, niczym małego dziecka. Buty ślizgały mu się na szorstkim kamieniu, ale już tylko siłą woli przepychał się dalej, prac w dół i do przodu, chwytając ziemię pod stopami najlepiej, jak mógł. Tuż za nim zawałiła się ściana i jeszcze więcej gładów spadło z sufitu. Poczul drżenie kamiennej podłogi. Jeszcze chwila lub dwie i to trzęsienie ziemi pogrzebie ich wszystkich... Choćby nie wiem jak się starał, Conan nie zdołał przesunąć się ani o włos. Czubek jego miecza znajdował się zaledwie o dłoń od świecącego maga, ale równie dobrze mógłby być tysiące mil stąd. Wtem ponad nieludzkimi jękami umierającego czarodzieja przebił się pojedynczy głos, przecinający jak nóż ogłuszającą kakofonię, głos Lalo - przeklętego. - Wiedziałem, że mu się nie uda. To taki słabeusz! Conan nie mógł już dłużej powstrzymać gniewu. Wszystkie dotychczasowe obelgi Lalo zebrały się razem i dolały oliwy do jego płonącej wściekłości. Słabeusz? Słabeusz!!! Na Croma, ja ci pokażę słabeusza! Szalejąc z gniewu, Conan napiął wszystkie mięśnie w ostatnim, totalnym wysiłku. Wbił się w magiczną tarczę, brnąc powolnym, jak na taki wysiłek, ale pewnym krokiem naprzód. Czubek błękitnego miecza dotknął gnijącej postaci czarodzieja w miejscu, gdzie powinno znajdować się serce, zatrzymał się na najkrótszą z chwil, po czym wdarł się w ciało, rozcinając tętniącą pompę. Krew trysnęła jak fontanna, zalewając Conana. Po upływie, jak się wydawało, wieczności czarodziej osunął się na podłogę. Światła przygasły, brzęczenie przycichło, a ściany i sufit uspokoiły się. Cisza po upadku Reya była niemal namacalna. Na chwilę milczenie zostało przerwane. Bez śladu ironii w głosie Lalo powiedział cicho:

- Cóż, uznaję swój błąd.

Po czym przez jakiś czas nikt nie miał nic do powiedzenia.

XXVI

Wikkel i Deek zbliżyli się do szczątków czarodzieja leżących na kamiennej podłodze i

wpatrzyli się w nie. Na ziemi zobaczyli tylko trochę czarnego proszku - oto co zostało z tak

potężnego kiedyś maga.

Kilku innych cyklopów i robali również podeszło, by popatrzeć na pył i popiół, które

niegdyś były czarodziejem i wiedźmą.

- Wygraliśmy - stwierdził Wikkel.

- Z-zaiste.

Cyklopi, wraz z towarzyszącymi im robalami, zbliżyli się do Wikkela.

- Co mamy teraz robić? - spytali.

I w ten oto prosty sposób Wikkel i Deek znaleźli się w roli władców.

Conan schował miecz do pochwy i podszedł do przyjaciół.

Lalo podniósł się i postanowił zajrzeć do wnętrza komnaty czarodzieja.

- Czarny dym zniknął - powiedział. - A wiedźma i czarodziej nie żyją dzięki tobie

Conanie. Jesteś wyjątkowo przedsiębiorczy.

Cymmerianin potrząsnął z niedowierzaniem głową. Czy to uszy płatają mu figle?

Czyżby

Lalo powiedział mu właśnie komplement bez cienia ironii? Począł na słowne cięcie, ale

zawiódł się. A kiedy Lalo odwrócił się do wszystkich, zobaczyli coś jeszcze dziwniejszego:

Lalo przestał się uśmiechać. Elashi zareagowała pierwsza.

- Lalo! Twoja twarz!

Lalo dotknął dłonią swych ust. Uśmiech powrócił, ale tym razem był inny.

- Klątwa! Ona... ona zniknęła!

Elashi podbiegła i objęła go.

Tull i Conan spojrzeli po sobie. Wreszcie Tull orzekł:

- Musiała to sprawić śmierć czarodzieja.

Conan skinął głową. Patrzył, jak Elashi i Lalo obejmują się, ale nie czuł cienia zazdrości.

Wydawali się sobie przeznaczeni, a jego ścieżka i tak wkrótce rozeszłyby się ze ścieżką

pustynnej kobiety.

Lalo i Elashi przerwali nagle i odwrócili się zakłopotani w stronę Conana.

Wojownik uśmiechnął się szeroko.

- Nie przejmujcie się! - zawołał. - Macie moje błogosławieństwo. - A w duchu pomyślał sobie: Zobaczysz Lalo, jeszcze kiedyś zaczniesz to postrzegać jako przekleństwo.

Jej język jest równie ostry jak kiedyś twój, a ona nie potrzebuje do tego magii.

Wikkel i Deek zbliżyli się do Cymmerianina. Cyklop uśmiechnął się.

- Wiele ci zawdzięczamy, Conanie - powiedział. - Bez ciebie nadal bylibyśmy niewolnikami. Jak możemy ci się odwdziaczyć?

Conan nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

- Pokażcie mi, jak stąd wyleźć - odparł.

- Z-zrobione - zaskrobał robal.

A potem Conan, Tull, Elashi i Lalo zostali wyprowadzeni długim i krętym, wznoszącym

się w górę korytarzem. Na jego końcu przyćmione, zielonkawe światło grzybów przebijały

jasne, niemal namacalne promienie światła dziennego - światła ze słonecznego świata na

zewnątrz.

- Tam - pokazał Wikkel. - Oto wyjście do waszego świata. Conan skinął głową i wyciągnął ku niemu otwartą prawą dłoń.

Wikkel zrozumiał ten gest i jego własna wielka dłoń zgmiotła rękę Conana w potężnym

uścisku. Obaj uśmiechnęli się do siebie.

- Pokój z tobą, Conanie.

- Ż-żegnaj - dodał Deek.

Tull, Elashi i Lalo zdążyli już pobiec do wyjścia i wspinali się na powierzchnię, gdy Conan odwrócił się i ruszył za nimi. W sakwie przy pasie nadal miał garść drogocennych kamieni, którymi zamierzał podzielić się sprawiedliwie ze wszystkimi. Zbyt mało to, by którykolwiek z nich bogaczem, ale wystarczy, żeby zapewnić im wino i strawę przez jakiś czas. A mimo że z pojedynku z wiedźmą i czarodziejem wyszli zmęczeni, nic im się nie stało. Mogło być znacznie gorzej i Conan chyba jeszcze nigdy tak się nie cieszył z końca kolejnej przygody.

Prostując się dumnie, Conan z Cymmerii wyszedł z wnętrza ponurych jaskiń ku promieniom słońca. Zamrugał kilka razy, oślepiwszy swe odwykłe od światła oczy w pełnym blasku dnia.

Kilka kroków dalej czekali na niego przyjaciele, ale on przez chwilę pragnął delektować się ciepłem słońca na twarzy i chłodnym wiatrem rozwiewającym jego czarne włosy. Wolny!

Nareszcie!

Uśmiechnął się i odszedł od wejścia do jaskiń. Ani razu nie spojrzął do tyłu.